

*Nakładowi naukowemu JW. Pani Generałowej
Hrabiny Łamoyńskiej w Zakopanem,
dla pożytku i rozrywki uczeniście ofiaruje*

O GOSPODARNOŚCI

autor

W OBRĘBIE GMINY

opowiedział

KAZIMIERZ LANGIE.



W KRAKOWIE,

NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.

1892.

III 150
E

O GOSPODARNOŚCI W OBREBIE GMINY

opowiedział

KAZIMIERZ LANGIE.



W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1892.



16822

ODBITKA Z „KRAKUSA“.

W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

I. Biedna wieś.

Nad jedną z większych rzek w Galicyi, prawie w środku kraju leży wieś Dąbrówka. Osady liczy blisko sto chat, ludności z górą pół tysiąca; ornej ziemi sami włościanie posiadają 800 morgów, a oprócz tego 30 morgów niezłych łąk i 342 morgi pastwisk. Przez środek błonia przepływa potok, niedaleko ztamtąd wpadający do rzeki. Kościół i karczma jak zwyczaj w środku wsi.

Pomimo że ziemia niezgorsza, w połowie gliniasta a w połowie piaskowa, pomimo pastwisk tak obszer-nych, pomimo położenia wsi dobrego — nie było w tem siole szczęścia.

Potok, który gdzieindziej na korzyść swoją obróci-liby ludzie, tu klęską był prawdziwą: co roku, raz gdy śniegi w górach topniały, a drugi raz około św. Jana, występowała woda z jego niskich brzegów i zatapiała nie-tylko pastwisko całe, ale i łąki i pół niżej położonych kawalki. Siano prawie corocznie zamulone, nie szło na zdrowie bydłom, a wyziewy z zabagnionych błoni szkodziły ludziom. Febra nie wychodziła ze wsi, a i cholera kilka razy straszne w niej spustoszenie spra-wiła.

Do niezdrovia ludności przyczyniały się też i mieszkania niezdrowe. Chaty niskie, wilgotne, zaduszne i dymne; zamiast okien dziury małe, jedną szybą niedbale zatkane; jedna izba o wiecznie wilgotnej, glinianej podłodze, służyła za schronienie całej gospodarza rodzinie — zaraz obok chlew z krowami, cielęciami i wieprzkiem — a z drugiej strony komora ciemna i zimna, w której statki chowano. Gdy zima była twarda, a ciepło z komina nie wystarczało na ogrzanie izby, wprowadzano do niej na noc krowę, by oddechem swoim powietrze w izbie ogrzała. I nie pomyśleli ci ludzie biedni, że wraz z tą ciepłą odrobiną wprowadzali do mieszkania truciznę, która zabijała im dzieci — a nie było nikogo, coby ich w tem oświecił i przed niebezpieczeństwem przestrzegł... Pod tapczanem, na którym rodzina cała sypiała, trzymano jeszcze kartofle zesypane, które grzejąc się tamże i gnijąc, drugą trucizną do płuc śpiących ludzi wnosily. Trzecią trucizną był dym, unoszący się kłębami pod pułapem izby, i gryzący w oczy każdego, kto się do niego nie przyzwyczaił.

To też mało było ludzi zdrowych w Dąbrówce, a dzieci to już po kilkadziesiąt umierało co wiosny. Ksiądz proboszcz przy okazji częstych pogrzebów, zwracał uwagę gospodarzy na szkodliwość zaduchy w mieszkaniach, radził kominy wysokie i piece lepsze stawiać, a okna większe podawać — ale słuchać tych rad mądrych nikt nie chciał. — „A zkałdby człowiek biedny opału nastarczył“ — odpowiadali jedni. — „Po co nam tam nowe wymysły“ — dopowiadali drudzy. — „Ojcowie nasi w takich się chatach porodzili i nas

wychowali, to i naszym dzieciom lepszych nie potrzeba“.

Nie lepiej jak ze zdrowiem ludzi, było też i ze zdrowiem zwierząt w tej wiosce. Na pastwisko goniono razem wszystko, co było we wsi: konie, krowy, owce, świnie i gęsi. Choć wiadomo przecież ludziom doświadczonym, że koń chorzeje długo, jeśli pierze gęsie półknie przypadkiem z trawą — że świnie zdychają od wążania gnoju i potu końskiego — że gdzie owca trawę wyskubie, tam niema już po co schylić się krowa — a gdzie gęsi nałajnią, tam wcale już trawa nie rośnie. Choć wiedzieli to wszystko ludzie starsi, nikomu na myśl nie przyszło coś w tem odmienić. Gdy większość błonia wodą zalana była, po suchszych pagórkach w gromadę zbite wszystkie te zwierzęta, jedne drugim szkodziły, ale najeść się do syta żadne nie mogło. Gdy woda opadła a zostało po niej błoto, to znowu wszystkie zwierzęta miśliły je nogami jakby ciasto w nieckach i zadeptywały każdą trawkę młodą, wyłazającą z ziemi... Inne wsie zazdrościły Dąbrowianom tych pastwisk obszernych, a oni z nich pożytku rzetelnego nie mieli. Bywały tygodnie takie, że paszy na nich jest w bród, i wtedy poodgryzały się trochę biedne wygłodzone bydła. Po tych jednak nadchodziły dni biedy, już to z posuchą długotrwałą, już ze słą i zalewem. Najgorsza bieda zaczynała się z porą zimową, bo siana z łąk było bardzo niewiele, i to po większej części zamulone i kwaśne. Samą słą prawie żyły bydła przez ośm zimowych miesięcy, ale i tej słomy brak czasem bywał wielki — tak, że często już w lutym i w marcu, nim jaka trawka pokazała się z pod śniegu, potrzeba było bydło gnać na błonie, żeby w chlewie z głodu nie zdechło.

Takie też i było to bydło: konięta drobne i słabe, gdy wiosna nastąpiła, po czworo zaprzęgając, pluga pociągnąć nie mogły. Krowy jak haki chude, kości skórami powleczone tylko, nierzadko dragami w chlewie dźwigać było potrzeba. Ledwie że duch się w nich przekolał do wiosny, a gdzieżby jeszcze o dojeniu ich myśleć. Świniom to jeszcze najlepiej powodziło się przez zimę, jeżeli którego roku zarodziły kartofle, a źle zachowane gnily w izbie lub w dole. Ale i tym urywało się często, i co nabrały trochę mięsa na siebie przez 4 miesiące, to potem w ciągu kilku tygodni postu pochudły znowu jak szczypy, — więc uprzędając by się nie zmarnowały, jak najprędzej, za cobądź, w miasteczku sprzedać je trzeba było.

Nielepiej jak w chałupie i w chlewie, działo się też i w polu. Już mówiliśmy, jak słaby bywał każdej wiosny zaprzęg. Nie mogąc rady dać samemu, sprzęgali się gospodarze niekiedy po dwóch i trzech do pluga. Jedni chcąc opóźnienia uniknąć, orali ziemię swoją za wcześnie, nim z wilgoci zimowej obsiłała. Wjeżdżali z plugiem w błoto, siali i błotem zasmarowywali nasienie, i dlatego nie rodziło im się. Inni, co się mieli za mądrzejszych i czekali obeschnięcia roli, nie mogli w porę dostać pomocy od sąsiadów — więc znowu zapóźniali się z siewem, i znowuż dlatego niewiele z niej zbierali.

Od źle żywionych bydląt nawozu było mało — a i ta odrobina marniała jeszcze w większej połowie, przez niedbalstwo lub nieświadomość ludzką. W zimie, jak długo tylko można było, nie wyrzucali ludzie nawozu z pod bydląt dlatego, żeby cieplej było w chlewie. Ale że ścielić nie było czem, bo słoma na paszę nie wystarczała, więc gnój się palił pod bydłem i uby-

wało go z połowa. Gdy już się przepełniło w chlewie tak, że krowy rogami dotykały pułapu, a więc koniecznie już część gnoju wyrzucić z chlewu trzeba było — wyrzucano go na podwórko, albo do dołu wykopanego opodal, albo na kupę pod okapem dachu. Woda deszczowa, tak tu jak tam, wypłukiwała z nawozu wszystko co najlepsze — i całe strumyki posoki czarnej płynęły z gnojowisk tych na pastwisko, a ztamtąd do rzeki. Aż gdy pora nadeszła wywożenia nawozu w pole: wozilo się słomsko chude, wodą wymyte a wiatrem wysuszone, albo znowu błoto jałowe ociekające z fury przez całą drogę. Oczywiście że nigdy gnoju takiego na większy pola kawał nie wystarczyło — a i ten co wywieziony, niewielkim był dla wyjałowionej ziemi posiłkiem.

Utrzymywał się też w Dąbrówce zwyczaj stary a niemądry: że gnój wywożony składano na polu w małe kupki, które nierozrzucone po miesiącu i dłużej niekiedy leżały. I znowu tutaj plukał je deszcz i wysuszały wichry — a gdy przyszło do rozrzucania, to litą słomę i jak trzaska powysychane łajniaki, roztrząsałeś widłami. Co tylko było tłuszcieszego w tym gnoju, to albo popłynęło gdzieś z wodą deszczową z pochylego pola, albo wsiąkło w to jedno miejsce, na którym kupka leżała. Tak też i zboże potem, kupkami rzadkimi tylko na tem polu rosło.

W dodatku do tego wszystkiego, lenistwo dziwne jakieś opanowało wszystkich ludzi w tej wiosce. Dzieci bose, na pół nagie, gromadkami całemi uganiały się za żróbkami po pastwisku. Dziewki i parobcy nasłuchiwali tylko, czy muzyki jakiej nie słyhać w karczmie. Kobiety starsze biegały co tydzień do miaste-

czka odległego o milę, umiając zawsze upozorować zreżnie konieczność tej bieganiny: to po soli szczyptę, to po sadło zajęcze na lekarstwo, to do tkacza któremu motki dały, to do szewca po buty — a zawsze pod zapaską ukryły coś przed mężem, co na sprzedaż do miasteczka wynosiły: albo przedziwa garstkę, albo kurę, albo prosa kwartę, albo choć kilka jaj... Gospodarze znowu, jak zima długa, od zmierzchu do późnej nocy przesiadywali w karczmie. Gdzieniektóry to i przespał się tam noc całą, gdy był trunkiem zmożony, i dopiero nad ranem do chałupy powracał. Tam to wśród gawędy sąsiedzkiej, przy kieliszku, wszczynaly się za zwyczaj klótnie i spory sąsiedzkie. Tam zaprzepaszczały się sumienia ludzkie i zatracala się godność człowieka — boć wiadomo, że człowiek pijany gorszym nieraz od nierozumnego bydłęcia się staje! Tam nieprzytomnemu człeku dopisywał niesumienny szynkarz kieliszki i półkwatery jakoby wypite, po dwa mu za jeden rachując. Tam od wódki na kredyt pitej, rozpoczął się ten długi szereg długów, które później lichwiarskiemi procentami zwiększone, doprowadzały gospodarzy do ostatecznej ruiny, do nędzy — i z ziemi, z ojcowizny, wydziedziczyć ich miały.

A już jarmarku żadnego w okolicznych miasteczkach nie opuścił Dąbrowianin żaden — i znani oni tam byli wszyscy z klótności, próżniactwa, pijaństwa i z interesów nieuczciwych, jakie często robili.

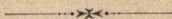
Tak wyglądała wieś Dąbrówka przed laty może czterdziestu. I szeroko na okolicę całą rozeszła się smutna tej wsi sława. Zapytać tylko było: Gdzie największa bieda? — Odpowiadano: w Dąbrówce. Gdzie próżniactwo największe? — w Dąbrówce. Gdzie pijaków

najwięcej? — w Dąbrowce. Gdzie pola najmniej ro-
dzą? — w Dąbrowce. Gdzie drogi zawsze najgorsze?
gdzie kłótnie sąsiedzkie? gdzie kradzieże najczęstsze,
gdzie procesów najwięcej, gdzie egzekucye podatkowe
najczęstsze? — zawsze wszystko w Dąbrowce.

Nie dziwnego, że do takiej wsi najchętniej przy-
bywali ajenci niesumienni, którym płacono za to, by
ludzi bałamucili, bogactwa bez pracy im obiecywali, a
w rzeczywistości do bardzo ciężkiej pracy, niewolników
amerykańskim spekulantom werbowali. I nie było też
roku ani jednego, żeby dwóch lub trzech próżniaków
w Dąbrowce nie dało się ajentowi takiemu zbałamucić.
Marnowali za pół darmo sprzedając krwawą pracę swych
ojców, oddawali siebie i dzieci swoje na usługi ajento-
wi niepocziwemu, który nietylko że przez drogę pie-
niądze wszystkie jakie mieli od nich wyłudził, — ale
jeszcze potem w kraju dalekim zamorskim biednych
ludzi tych na całe życie innym ludziom bezbożnym
w niewolę zaprzedawał.

I najczęściej słuch ginął we wsi o tych zaprzeda-
nych ludziach. Nikt we wsi nie wiedział, co się tam
z nimi działo. Niekiedy tylko po latach przyszedł od
nich list, w którym opisywali swoją biedę i swoje nie-
szczęścia. To znowu czasami ajenci chcąc więcej łatwo-
wiernych dla zysku swojego nałapać, fałszywe listy ja-
koby od tych emigrantów do swojaków we wsi przy-
syłali, chwając kłamliwie, że im się bardzo dobrze
w Ameryce powodzi. Czasem i pieniędzy trochę do li-
stów takich wkładano, na dowód, że tam o bogactwo
nie trudno — i znowu na takie listy oszukańcze dali
się we wsi nowi głupi ludzie brać, i znowu ajentom na

niewolę prowadzić się dawali... A wieś polska, jak była biedna, tak ubożała jeszcze bardziej przez to wychodźstwo ludzi z niej; i przez sprzedawanie ziemi ojczyściej obcym handlarzom, którzy frymarczyli nią dalej, nie o dobro ni ziemi tej ni gminy całej nie dbając.



II. Piętnaście lat później.

Przez lat piętnaście nie się w tej wsi na pozór nie zmieniło. Jak płynęła rzeka tak płynie — strumień jak zalewał blonia i obrywał pola, tak samo broi i teraz. Bydło takie samo głodne i nędzne; pola tak samo nieurodliwe, tylko jeszcze więcej wyjałowione; dzieci chorują i mrą tak samo jak przed piętnastu laty, a i starzy tak samo lubią jarmarki i karcznię... Na pozór więc nie się w Dąbrówce nie zmieniło — ale zmieniło się wiele rzeczy tymczasem w świecie, co i na tej wiosce koniecznie się odbić musiało.

Zmian takich zaszło w kraju naraz aż kilka, a każda z nich odczuć się dała po wioskach: Najprzód zaprowadzono w monarchii całej powszechną służbę wojskową — więc na czas krótszy wprowadzie, ale znacznie więcej ludzi niż przedtem, brać zaczęto w rekruty. Podatki z ziemi i z domów znacznie podwyższone zostały. Sądownictwo zmienione. Włościanom otworzono drogę do urzędów autonomicznych. Cesarz pozwolił, żeby mieszkańcy wsi i miast sami radzili o dobru swojej gminy i swojego powiatu. Władze rządowe odstąpiły urzędowi autonomicznemu opiekę nad drogami krajowymi, szkoła-

mi i szpitalami. W opiece tej i w naradach tak gminnych jak powiatowych, włościanie na równi z dziedzicami brać mogą udział. Mogą być wybierani do Rad gminnych, do Rad powiatowych i do Sejmu, który jest Radą kraju całego.

Dotychczas rząd opiekował się rolnikami nieoświeconymi, i jak dziecię małe za rękę ich prowadził. Więc tego i owego nie wolno było ludziom wiejskim czynić bez pozwolenia rządu: ani gruntów rozdzielać, ani nowych budynków stawiać, ani długów na grunt zaciągać, ani części dziedzictwa swego uprzedać, ani weksłów podpisywać... Naraz wszystkie te zakazy w roku 1868 prawodawstwo zniosło, rozumując, że kiedy włościanie zdolni są rządzić gminą, i udział brać w rządzeniu majątkiem powiatu — to i swoim prywatnym majątkiem pewnie rozumnie już zarządzać potrafią — a przeto dalszego niańczenia i nadzorowania władzy nie potrzebują.

Ślicznie to wszystko prawodawcy obmyślili, tylko jedną maleńką w swej rachubie popełnili omyłkę:

Oto rachowali oni, że już dwadzieścia lat od zniesienia pańszczyzny ubiegło, i że włościanie nie przymuszani teraz do pracy na dworskim łanie, dużo czasu wolnego mieli — a więc przez lat 20 mogli się wiele nauczyć i zmądrzeć.

Widzieli ci prawodawcy dookoła Wiednia, jak chłopci zaraz szkoły popostawiali, sprowadzili sobie nauczycieli, a starzy i młodzi do nauki się garnęli, i wkrótce dwa razy lepiej niż przedtem na polach swoich gospodarować zaczęli. Prawodawca myślał, że wszędzie i w każdym kraju i w każdej wsi, tak samo się dzieje... Gdyby był przed wydaniem tego pięknego prawa zaglądnął do Dąbrowki — byłby przekonał się, że jest

w błędzie: że tu tak starzy jak i młodzi niczego się przez te 20 lat nie nauczyli, że nie lepiej nie gospodarują na swoich polach, jak za czasów pańszczyzny — ba często gorzej jeszcze, bo nie czując nad sobą przymusu, wielu folgowало wrodzonemu lenistwu, a wszyscy nie mieli już jak dawniej śmiałości, zapędzić się do dworu po pomoc, gdy bydlę padnie, stodoła zgorzeje, lub inne jakie nieszczęście na gospodarza spadnie. Byłby przekonał się uczony prawodawca, że w Dąbrówce gospodarze czasu wolnego bardzo dużo miewali, ale na co innego a nie na uczenie się go obracali; że w karczmie, na jarmarkach, na próżniactwie go spędzali, i ubodzy i nieoświeceni byli tak samo teraz, jak przed laty dwudziestu.

Ze wszystkich zmian zaszłych w onym czasie w ustawodawstwie państwowem, najciężej zaważyła na losie gospodarzy w Dąbrówce ta zmiana, która ogłosiła wolność każdemu dysponowania swoim majątkiem.

Nie można zaprzeczyć, że to prawo nowe jest bardzo piękne, i pożytecznem a nawet błogosławionem w swych skutkach okazaćby się mogło — gdzie ludzi pracowitych a rozumnych zastało.... Ale w Dąbrówce nie wielu było takich! Za ledwie dwóch czy trzech z drukowanego przeczytać coś umiało — rachować nie umiał nikt — arendarz sam rachował za wszystkich i wszystkich był doradcą. To też i piękna ustawa ona, co dobroczynną dla innych ludzi była, dla Dąbrowian zgubą się stała.

Po co tu rozpowiadać szeroko rzeczy, które wszystkim są znane — bo w każdej niemal wsi w kraju naszym, gdzie tylko naród tak rozpróżniaczony był jak w Dąbrówce, działo się jednakowo i na podobny sposób:

I arendarz, co wódkę na borg dawał, i kramarz z miasteczka, który sól kredytował, i lichwiarz okoliczny, który pieniądze kiedyś na opłacenie podatku pożyczyl — słowem wszyscy ci, którzy dobroczyńcami chłopca się mienili, a dotąd długi swoje zawsze z grubą lichwą, to zbożem, to sianem, to bydłociem, co roku sobie odbierali — teraz obawiając się, żeby ich drudzy nie uprzedzili, spadli na dłużnika swojego wszyscy naraz, domagając się od niego rewersu albo weksłu.

I byli tacy, co tłumaczyli chłopkowi ciemnemu, że co to kosztuje położyć na papierze znak krzyża świętego — i podsuwali do podpisania rewersy, na których często większe sumy pieniędzy zapisane były, niż dług istotnie wynosił. A chłopiec nasz czytać nie umiejąc, a zdrady nie podejrzewając, podpisywał w dobrej wierze fałszowane rewersy.

Byli inni, co spoiwszy wpierw chłopka i wmówiwszy w niego niebывałe sumy długów, do notaryusza go wiodli, i tam urzędownie weksle podpisywać sobie kazali.

Byli jeszcze inni, co zliczywszy długi dawne, obiecali jeszcze sto reńskich dodać zaraz, jeżeli podpis na te i na tamte dostaną. Jakżeż tu było gospodarzowi wstrzymać się od podpisania świstka papieru, skoro za to stówkę całą zapłacić obiecywano. — „Jakoś to się tam spłaci po dawnemu pomalu“ — myślał sobie niejeden — „ale co użyję teraz, to użyję! Stówka przecie mi na długo wystarczy“.

Ale nie pomalu i nie po dawnemu nastąpić teraz miały spłaty. Wszakże włościanin uznany przez prawo za dojrzałego i rozumnego człowieka, powinien był znać ustawy, i wiedzieć jakie skutki pociąga za sobą podpisanie dokumentu prawnego.

Droga była krótka: lichwiarz szedł z rewersem lub wekslem do sądu — a sąd wydawał wyrok, że ponieważ termin przyrzeczony upłynął, przeto cały dług *zaraz* musi być spłacony. Kto nie miał czem zapłacić, tego grunt sprzedawano przez licytację.

Ludzie głupi w Dąbrówce nie wierzyli zrazu, żeby lichwiarz, który dotąd zawsze był przyjacielski i grzeczny, teraz miał się okazać tak niemiłosiernym. Nie wierzyli, żeby sąd nie ulitował się nad ich dolą, gdy pójdą i pięknie się pokłonią... Aż kilka rzeczywiste dokonanych sprzedaży i wyrzuceń gospodarzy z ojcowizny, otworzyło ludziom oczy.

Więc dalejże dopiero ci, na których podobna kolej niebawem przyjsć miała, rozglądać się gdzieś za ratunkiem, za pomocą, za radą pocziwą. Ale rada sama nie zbawi tam, gdzie pieniędzy *zaraz* potrzeba. Dziedzie Dąbrówki był sam w podobnychże kłopotach, więc ratować biednych ludzi pieniędzmi nie mógł... Ale pisał do tych panów, którzy w Sejmie we Lwowie radzą: że bieda po wsiach jest wielka, że lichwa niezmiernie ludzi uboży, i że w krótkim czasie *wszystką* im ziemię z posiadania wydrze. Więc jak zaczęli panowie w Sejmie nad tą biedą radzić, tak uradzili prawo *przeciwno lichwie*, i prosili Cesarza, żeby to prawo przez nich uchwalone dla Galicyi zatwierdził: żeby odtąd nie wolno było od długów rachować zbyt wysokich procentów.

Ulga to już dla biednych ludzi była wielka — bo długi ich nie narastały odtąd tak prędko i w takie ogromne sumy — ale zawsze to, co się już winno i procenta umiarkowane, jakie wolno było lichwiarzowi pobierać, trzeba było spłacić koniecznie, bo inaczej grunt, chałupę i dobytek cały można było utracić.

Otóż ratowali się ludziska w Dąbrówce na rozmaite sposoby: Jedni, co uczciwшему lichwiarzowi, sprosili się na czas dłuższy ze splatą, zapychając mu tymczasem gębę to cielęciami, to zboża miarą, to puszczając mu gruntu część w dzierżawę bezpłatną za poczekanie.

Drudzy obliczyli sobie, że taniej ich kosztować będzie, sprzedać zaraz komu jeden lub dwa morgi na własność, zbyć się tym sposobem odrazu lichwiarza i uratować resztę ojcowizny.

Trzeci znowu zasłyszeli, że jest we Lwowie bank jakiś nowy, założony umyślnie na to, żeby włościan w kłopotcie takim będących ratować — więc niektórzy udał się tam o pomoc. — „Wiele potrzebujesz pieniędzy?“ pytano go w Banku. — „Dwie stówki papierków“ odpowiedział Wojciech. — „Dlaczegoż nie żądasz trzy?“ odpowiedziano. „My ci damy i 400 reńskich na twoje 16 morgów, jeśli zechcesz“... Jakże tu niebrać więcej, kiedy sami chcą dawać, pomyślał rozumny Wojciech z Dąbrówki. I lichwiarza spłace i bydłę jakie przykupię, i podatki zaspokoję, i jeszcze mi na hulankę sporo grosiwa zostanie. ...„To proszę o 400“ powiedział.

I ten ze wszystkich wyszedł najgorzej. Do dwóch lat z gruntu wyleciał, żona ze zmartwienia umarła, dzieciśka ludzie porozbierali, a on sam w jednej koszuli, bosi, poszedł do żydów na służbę.

Tak wyglądały rzeczy w Dąbrówce przed dwudziestu laty. Długów nie miało zaledwie tylko kilku gospodarzy, którzy byli pracowici i trzeźwi, a żony mieli gospodarne i z lichwiarzami znajomości się strzeegli. Na uszczuplonych ojcowiznach, ale także bez dłu-

gów już, siedziało jeszcze kilku, którzy to woleli urznąć pole, by resztę ziemi ratować, a pomiędzy mieszczanami w sąsiedztwie znaleźli na swoje morgi kupców. Reszta gospodarzy we wsi zadłużona była po uszy — wydziczenie im groziło.

III. Wieś bogata.

Do wsi swojej rodzinnej powracał niedawno jeden z tych nieszczęśliwych, którzy to przed dwudziestu laty dali się uwieść słodkim słówkom niesumienego ajenta — uwierzyli mu, że w Ameryce można bez pracy i bez pieniędzy dojść prędko do wielkiego bogactwa — i pozwolili się chytremu człowiekowi, jak stado bezrozumnych baranów, poprowadzić daleko z ojczyzny swojej za morze: na niewolę, na wyzysk nieludzki, na trud niewypowiedziany i na nędzę ostatnią...

Wędrowiec nasz wracał wymizerowany, zmęczony, obdarty i chory. Zaledwie pozszywane jakieś lachmanów strzępy, okrywały nagość jego ciała. W Ameryce utracił żonę i dzieci, które z nędzy poumieraly — utracił wszystek grosz, jaki zabrał ze sobą z ojczyzny — utracił zdrowie i siły w długoletnim szamotaniu się z biedą na obczyźnie — jednym słowem utracił wszystko: okrom życia, okrom wiary świętej, w jakiej się urodził, i okrom miłości ziemi swojej rodzinnej, do której niezmierna na obczyźnie opanowała go tęsknota.

O głodzie, bo tylko leśnemi owocami się żywiąc, dowlókł on się nieborak z głębi Ameryki do Nowego

Jorku, miasta co już leży nad morzem. Tam wprosił się na służbę okrętową, przyrzekając za darmo najcięższe spełniać posługi, byle go tylko do Europy odwieźli. Po wylądowaniu w niemieckim mieście portowem Hamburgu, puścił się pieszo w drogę ku wschodowi nieba; o żebranym chlebie przeszedł cały niemiecki kraj, gdzie się z nikim po ludzku rozmówić nie umiał — aż dopiero na Szląsku, z radością nieopisaną, posłyszał pierwsze dźwięki rodzinnej swojej mowy polskiej.

O śmierci bliskiej już myśląc ze znużenia, dobywał ostatnich sił: by nie ustać w drodze i nie zemrzeć gdzieś na obcej ziemi, a do swojaków koniecznie się dowlec, i kości swe położyć w kochanej rodzinnej swej wsi.

Ostatnich tchów dobywając, już zbliżał się do dobrze niegdyś znajomych sobie okolic. — „Jeszcze byle za ten las, jeszcze tylko na tę górkę jak wyjdę“ — myślał sobie — „to ujrzę już rodziną moją wieś Dąbrówkę, w której co prawda wiele kiedyś biedy zaznałem — ale pomimo to kocham ją jak matkę rodzoną — bo dziś kiedym zmądrzał przez życie, widzę jasno jak na dłoni, że to nie ona winna była temu, żem ja w niej był ubogi i biedny, tylko winną temu była moja własna głupota, moja nieopatrność, moje lenistwo i mój własny niestatek... O Boże! gdybyś mi tak dzisiaj moje młode lata powrócił, i dał mi napowrót w ręce ten ziemi ojczystej kawałek, który dawniej w Dąbrówce miałem, a przed dwudziestu laty za marne pieniądze sprzedałem — o ileż lepiej jabym dzisiaj tych darów Bożych używać potrafił, i jakże czułbym się na tej mojej ziemi szczęśliwym!“

Tak rozmyślając sobie, przeszedł dość długi las i wyszedł pomału na oną górkę ostatnią, z której to

już prosto do Dąbrówki miał wejść... Lecz jakież widok przedstawił się jego oczom zdumionym, odmienny wcale od tego, jaki się ujrzeć spodziewał:

W samym środku na pagórku kościół biały zdaleka widny. Młodemi drzewami obsadzony był dookoła. I widać za ciasny być musiał dla parafian, bo świeżo znać przybudowano część głównej nawy od wschodu.

Za nim i przed nim jak okiem zasiągniesz, stoją domostwa jakieś schludne, bielone, z oknami porządnymi, z kominami murowanymi — a nad wejściem do każdego domu błyszczy złocista ze świętym Floryanem tabliczka. Dom od domu dosyć daleko, — ale pomiędzy nimi przestrzeń niepusta: zielone sady jakby wiankiem otaczają biały dworek każdy — a drzewa w tych sadach, choć młode, widocznie rodzą już od lat paru smaczne owoce. Dalej ogrody warzywne na grządkach równiutkich i ślicznie oplewionych. Przy niektórych i chmiel bujny wysoko się wspina na tykach. W każdym sadzie najmniej po kilkanaście uli pszczelnych, a są i takie, gdzie do półkopy jużbyś ich naliczył. Za każdym domkiem stodoła o chrościanych wprowadzie ścianach, ale prosto stojąca na słupach mocnych i słomą grubo poszyta. Obok stajenka i wozówka. Podwórko czysto umiecione, tylko w kącie starannie ułożona stertka gnoju na każdym. — „Czy mnie oczy nie mylą?“ woła sam do siebie podróżny, który zupełnie co innego zobaczyć się spodziewał... „Czy to miasteczko jakie? Czy to dwórów pańskich kolonia cała? A wszakżeż tu niedawno wieś Dąbrówka była! Pamiętam jak dziś, wszak żyłem tu przed laty dwudziestu. Kościół w tem samym miejscu, ten sam, tylko wtedy był mniejszy trochę, odrapany, szary i dach miał mocno podziurawiony. Ale domów

tych nie było, drzewka jak wieś długa i szeroka nie było ani jednego, tylko chaty krzywe, nędzne, w ziemię wlaźle, jedno przy drugim się tuliły, a dokoła nich kałuże, gnojówki i błota, że przejść człowiekowi było trudno... Czy czary, czy uroki jakie? Co się tu stało? Co za zmiany dziwne zaszły w tej wsi?“

Poszedł na wzgórek pod kościół. Ztąd widok rozlegał się daleki, w jedną stronę na pola i góry widne za niemi, w drugą stronę na wioski okoliczne, na rzekę, na potok i na błonia szerokie.

Ale gdzie podziały się te pastwiska błotniste, przez świnie zawsze poryte? gdzie bydło chude, co się po tem błoniu płałało? Ani śladu jednego ani drugiego. Niskie brzegi potoku podwyższył w kilku miejscach ochronny wał. Błonie całe dawne, dziś poprzerzynane błyszczącymi od wody rowami, zamieniło się na łąki prześliczne, po wzgórkach zaś na ogrody warzywne. Nad samym potokiem, w najniższym miejscu wyrósł niski gaik jakiś, którego przedtem nie było: to wiklina na 30 morgach, w rzędy posadzona, na koszykarskie wyroby.

Bydło nie chodzi już po tem błoniu oddawna. Latem i zimą trzymają je gospodarze na stajni, tylko do wody i dla użycia ruchu wypędzają je na godzinę codzień na umyślnie na ten cel zostawiony i ogrodzony wygon. Dla krów sadzą w polu buraki, marchew pastewną, kukurudzę amerykańską i sieją koniczynę i trawy.

Paszę zieloną, koszoną zadają bydłu za drabinę latem, a buraki siekane z sieczką i plewami zimową porą do żłobów. To też krówki piękne i tłuste, każda choćby dziś zdatna na rzeź. Ale rzeźnikowi nie sprze-

dałby ich gospodarz żaden, bo pożytek dają mu wielki. Dzieci mają mleka ile chcą, a za masło same każdy gospodarz bierze dziś po kilka reńskich co tydzień. Od dobrze żywionego bydła gnój dwa razy tłściejszy, a że nie gubi go bydłę po pastwisku, więc gnoju tego trzy razy więcej jest teraz, niż go dawniej bywało. Jak go w pole wożą i zaraz rozrzucają i zaraz przyorują, to aż pachnie na okolicę całą.

A jak się to rodzi teraz w Dąbrówce na tych gnojach! Ugory zarzucili ludzie całkiem, bo niepotrzebne już teraz, a i po cóż ma ziemia co trzeci rok próżnować, kiedy co roku podatki z niej płacić potrzeba. Spróbawawszy przekonali się gospodarze wszyscy, że ziemia odpoczywać nie potrzebuje, byle tylko dobrze ją obrobić i nawozem oddać jej to, co się ziarnem i słomą z niej wzięło. Więc w miejscu ugorów dziś konieczny czerwono kwitnące, wyka dla krów na zielono, trawy wyższe aniżeli na łąkach, grochy kwitnące tak rzęście, że cały łanek jak śnieg bieleje między zielonemi zbożami. A te zboża jak ława, gęste, bujne, o liściu ciemnym z wiosny, a kłosiste latem, że aż się dusza raduje!

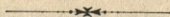
Podróżny nasz oczom własnym nie wierzył, takie odmiany dziwne widział. Szukał karczmy, żeby się czego od ludzi dowiedzieć. Aliści patrzy—w miejscu, gdzie karczma obdarta dawniej była, stoi budynek niby ten sam, ale świątecznie jakoś odświeżony i czysty.

W miejscu, gdzie dawniej krzywo szyld jakiś wisiał, z nagwazdanem malowidłem i podpisem: *Wisink pod goralem, na kobzie gralem* — dzisiaj czyta napis wielkimi literami „GOSPODA CHRZEŚCIJAŃSKA“. Wchodzi do środka — i znowu dziwy: Izba duża jedna

i druga czysto wybielona, ławy pod ścianami dokoła. Żyda niema, brudu niema, szynkfasu niema, tylko stół na środku, a na nim pisma i książeczki różne. Żywego ducha teraz w tych izbach nie było. Idzie do izby trzeciej, a tam sklep cały: i wódka i piwo i sól i towary różne, do jedzenia i do ubrania i do gospodarki potrzebne. W czwartej dopiero mieszkanie kobiety, która te towary sprzedaje.

„Co to wszystko znaczy? Co za zmiany tu zaszły? pyta kobiety, która usłyszawszy gościa w sklepie, wyszła ze swego mieszkania. — „Tu niema zmian żadnych“ — odrzekła — „to wszystko już oddawna tak u nas“.

Wtem dzwony i śpiewy pobożne dały się słyszeć na dworze. Wędrowiec przypomniał sobie, że to dziś święto Bożego Ciała, i pożegnawszy szynkarkę podążył do kościoła.



IV. Wytłomaczenie zagadki.

Procesya właśnie obchodziła kościół do okola. Ewangelie święte czytał kapłan przy umajonych ołtarzach. Lud świątecznie ubrany, tłumnie te ołtarze oblegał, naprzemian to kobiety, to mężczyźni pobożne pieśni śpiewali, a dzieci kwiatki sypały księdzu pod nogi.

I po strojach i po minach i po obliczach zdrowych poznać odrazu, że tym ludziom nie musi być bieda na świecie, a i w modłach ich zanoszonych do Boga, więcej czuć było dziękczynienia niż prośby.

Wszystko to dziwne naszemu wędrowcowi się wydało, jemu, który dawniej Dąbrówkę znał i ludzi w niej, obrzękłych na twarzy od pijaństwa, brudnych, obdarto ubranych i o bladej chorowitej cerze. Chciał znowu pytać, ale nie śmiał przeszkadzać ludziom w modlitwie... Gdy naraz cichutko zrobiło się w kościele, ksiądz Wikary ukazał się na ambonie. Kazanie było wzruszające, tak że połowa ludzi popłakała się na niem. Po pięknym wytlumaczeniu pamiątki świętej, jaką kościół w dniu dzisiejszym obchodzi, przeszedł kaznodzieja na dzieje wsi i zgromadzonego ludu. „Wy starsi bracia moi, pamiętacie, mówił, jak tu było przed dwudziestu laty w Dąbrówce. Na okół cały nie było gorszej, nie było biedniejszej wsi. Dzieci wam wymierały, starzy chorzeli ciągle, bydło ginęło z nędzy i głodu, pola nie rodziły, ziemniak jedynym był chlebem naszym powszednim — chleb żytni zdrowszy, ledwie od świętaście jadali. Podatków co roku nie było czem płacić; w długi lichwiarskie popadliście, i wy, i was młodszych ojcowie. W rozpacz y zły duch często zle sposoby ratowania się podszeptywa ł ludziom, z rozpacz y oddało się wielu pijaństwu, obrazie Boskiej i złości przeciw ludziom. Kłótnie sąsiedzkie i procesy niszczyły was do reszty — zdawało się już, że kara Boża nieuchronna zawisła nad głowami naszymi... A dzisiaj co? Na okolicę całą zapytaj: gdzie urodzaje najpiękniejsze? — odpowiedzą ci że w Dąbrówce. Gdzie było najlepsze? w Dąbrówce. Gdzie chłop i jak we dworach mieszkają? w Dąbrówce. Gdzie najzdrowsza okolica? w Dąbrówce. Gdzie ludzie długów niemają? w Dąbrówce. Gdzie procesów niema? w Dąbrówce. Gdzie się wszystkie dzieci uczą? w Dąbrówce. Gdzie ludzie

najwięcej pracują? w Dąbrówce. Gdzie najlepiej się żywią? w Dąbrówce. Gdzie oszczędności poskładane mają na przypadek klęsk jakich? w Dąbrówce. Gdzie najochoczej a bez obrazy Bożej po pracy się bawią? w Dąbrówce!

„I cóż to zmieniło Was tak ludzie kochani? przypomnijcie sobie, powiedzcie, opowiadajcie drugim, jakie to tajemnice były tej ogromnej w Was zmiany?

„Już to przede wszystkim łaska Boża, która umyśli Wasze oświeciła i opamiętać się Wam pomogła — ale i zasługa własna Wasza jest wielką: żeście zrozumieli głos Boga odzywający się w duszach Waszych; żeście usłuchali rady ludzi poczciwych, których Pan Bóg w miłosierdziu swoim na ratunek Wam zesłał, i żeście siłą dobrej woli pokonali złego ducha, który już opanowywać Was zaczął.“

„Mamże wymienić te tajemnice, których inni znaleźć nie mogą, a które Was tak odmieniły w przeciągu niespełna lat dziesięciu? Wszak znacie je tu wszyscy: Rozum i uczciwość, rachunek, oszczędność i praca! Głoście to między braćmi Waszemi po sąsiednich wsiach. Wpajajcie to dzieciom Waszym od pierwszej ich młodości. I sami nie zapominajcie do śmierci o tych rzeczach czterech, które nabyć może łatwo każdy, kto tylko zechce — a które są warunkiem szczęśliwości ludzkiej na ziemi.“

„Wszak nie przybyło Wam znikąd ziemi. Przeciwnie ubyło Wam jej w ostatnich czasach niemało. Przed laty 20 było tutaj dziewięćdziesiąt chat — a dzisiaj 150 gospodarstw mamy we wsi. Dziś więc niejedyn z Was ma mniej gruntu niż miał sam, albo ojciec

jego przed 20 laty. Bo niektóry z Was na spłacenie długów odsprzedać był zmuszony część ojcowizny swojej, innych wielu podzieliło się gruntem z rodzeństwem... A przecież i mieszkacie lepiej i żyjecie dziś lepiej, i grosz odłożony na czarną godzinę ma już dziś każdy z Was, nawet i taki co niewięcej jak 3 morgi ziemi posiada.“

„Zkądże więc przyszliście do bogactwa tego? Oto do ziemi, od której dawniej wymagaliście, by Was sama przy ladajakiej uprawie żywiła, dołożyliście teraz rozumną i uczciwą *pracę*, i obok pracy nauczyliście się *oszczędzać*.“

Więc płacz był wielki w kościele na taką mowę, bo jeden przypomniał sobie rodziców już w grobie spoczywających, inny dziatki, które przedwcześnie pochował, a już wszystkim przed oczy stanęła ta nędza, jaką przebywali dawniej, ta trwoga kiedy ich z gruntów judasze wyrzucać mieli, i ta nieprzezorność własna, w jakiej przez lat tyle nieopatrznie żyli. I podniesionym w górę wzrokiem i westchnieniami serdecznie dziękowali Bogu, że ich na lepszą drogę sprowadził i szczęścia dziś używać im daje.

„Ale jakżeż to wszystko się stało?“ — szepnął po kazaniu wędrowiec do obok stojącego starego gospodarza: „Wytłomaczenie mi ojcze, bom ja obcy i głupi na to wszystko, co widzę i słyszę.“ — „Ej długo by o tem gadać“ odrzecz tamten. „Tyle Wam powiem, że wszystko, co jest dziś dobrego we wsi naszej, to sprawił Janek mądry, ten oto, co na procesyi wraz z dziedzicem księdza pod rękę pod baldachimem prowadził, a teraz tam na lewo przy ołtarzu w kapo-

cie szarej stoi. Póki pamięć ludzka nie wygaśnie, póty i imię Janka mądrego w zapominkę u nas nie pójdzie i z pokolenia w pokolenie z wdzięcznością wspominate będzie. Kiedyś swobodnym czasem opowiem Wam całą historię “

V. Historia życia Janka.

Będzie lat temu ze 40, mieszkał w tej wiosce Bartłomiej Głowacki, gospodarz zamożny, posiadacz 20 morgów gruntu, 4 koni, 4 krów i kilku sztuk jałowizny. Oprócz gospodarki rolnej znał się na kołodziejstwie, zimowemi wieczorami siadał na kobylicy i strugał ośnikiem szprychy, dzwona i dyszle, obtaczał i wiercił piasty, potem składał to w półwozia, na które zawsze znajdowali się kupcy. Co nie sprzedał w domu, to wioził od czasu do czasu do miasteczka, na jarmark; ludzie widzieli, że robota porządna, więc i co było gotowego, kupowali od ręki, i jeszcze zamówienia naprzód robili. Z żadnego jarmarku nie wrócił Bartłomiej bez kilku reńskich w kalecie, a i zboża miewał co roku więcej, niż z rodziną i czeladzią mógł przejeść, gdy zaś niewidywano żeby w karczmie siadywał, lub na niepotrzebne zbytki pieniądze tracił, przebąkiwali ludzie, że stary sknera składa, i że jedynak syn jego będzie kiedyś bardzo bogaty.

I on sam tak myśleć musiał, bo w owych czasach, kiedy to jeszcze przymusu do nauki po wsiach nie było, on przecież Jasia swego pragnął czegoś więcej nad to

co sam umiał nauczyć. A że do dworu sprowadzono właśnie nauczyciela, by uczył panicza małego, a panicz ten w równych z Bartłomiejowym Jasiem był latach, — więc w prośbę kołodziej stary do pana, by i jego synowi razem z Kaziem paniczem uczyć się czytać pozwolił. Trwała tak kilka lat ta nauka wspólna, Jaś był pojętny, często sam się prędzej nauczył i jeszcze Kaziowi pomagał — po nauce zabawa odbywała się razem, chłopcy się polubili wzajemnie, — a gdy Kazia małego ojciec do miasta do gimnazyum odwoził, prosił i Jaś ojca swego ze łzami, żeby mu także z nim jechać pozwolił. Ojciec rad był, że synowi zasmakowała nauka, ale obawiał się kosztów nad siły, jednak pan pomódz w części obiecał, i pojechali chłopcy obydwaj.

Rozmaite były między rodzicami Jasia narady tymczasem, czy też na dobre wyjdzie mu ta nauka, i co też robić on będzie po ukończeniu szkół? Matka by rada była, żeby na księdza poszedł, ojciec Bóg wie jakie tam dla jedynego dziecka swego roił nadzieje, ale nie mawiał o nich. To tylko pewne, że odtąd jeszcze stał się pracowitszym i oszczędniejszym, niebyło tygodnia prawie, żeby nie dołożył srebrnego pieniądza do skarbu, który przed żoną nawet w tajemnicy chował. A wtedy często wyrwało mu się ciężkie z piersi westchnienie: „Jasiu, Jasiu, tylko nie zmarnuj kiedy tej ciężkiej ojca krwawicy“.

Jaś wspólnie z Kaziem ukończył gimnazyum, uczył się dobrze, otrzymał stypendyum, czem i ojcu i opiekunowi swemu znaczną w kosztach utrzymania swego przyniósł ulgę — a gdy Kazio jechał do Dublan, by w tamtejszej szkole rolniczej nauczyć się gospodarstwa postępowego, rzecze do niego Janek: „Poradź przyja-

cielu, co ja teraz z sobą mam począć? Na księdza, jak matka doradza, nie czuję powołania w sobie; na adwokata, jak koledzy namawiają, nie mam także ochoty; na doktora... chciałem wypróbować się, poszedłem wczoraj z kilku kolegami do sali, gdzie trupy dla nauki krajali — ale nie mogłem przewyciężyć się, o mało nie zemdlałem. Ja chyba pojedę z tobą, gospodarki się uczyć. Co prawda, różnica między nami wielka: ty będziesz miał na czem gospodarować, bo ci ojciec folwark duży zostawi, — gdy ja na 20 morgach gdzieś będę miał pole zastosować to, czego mnie w Dublinach nauczą? Ale tyle lat uczymy się już razem, żal mi rozstawać się z tobą; nie na swoim, to na cudzem jako rządea, mogę być przecie zawsze ludziom użyteczny; a przecie to natura jak wilka do lasu, tak rolnikowego syna do roli ciągnie; namyśliłem się, stypendyum większe mam przyrzeczone już, pojedę z Tobą.“

Przyjacieli pochwalił to postanowienie, pojechali i znowu 3 lata uczyli się razem. Koleżeństwo lat dziecinnych tu zmieniło się między nimi w przyjaźń serdeczną, tak że już trudno byłoby im się z sobą rozstać. Wieczorami często naradzali się z sobą jak dalej życiem swem pokierują, jak pracować będą nietylko dla korzyści własnej, ale i dla krajowego pożytku, jak gospodarstwo staroświeckie w folwarku według zasad postępowych poprawić trzeba będzie — a jak znowu ludzi na wsi oświecać, do oszczędności i pracy zachęcać, a przykładem dobrym do lepszej gospodarki nakłaniać...

Rozmawiali o tem coraz częściej, przypominali sobie co głównie nędzy ludzkiej po wsiach jest przyczyną, zastanawiali się nad środkami, jakimi przeci-

wko niej należałoby działać, i cały umysł obydwu tych młodzieńców na ostatnim roku zajęty już tylko był tą myślą, żeby po skończeniu nauk spłacić dług społeczeństwu, z pośród którego wyszli. Kazio wiedział już, że cały ciężar utrzymania gospodarstwa rodzinnego spadnie na niego, bo ojciec jego umarł przed rokiem; matka otoczona sześciorgiem dzieci małoletnich jeszcze prowadziła dalej starym trybem gospodarkę przy pomocy ekonoma starego, — ale była to dla niej praca i nad siły i nad rozum kobiecy. Pisała mu też, że czeka z podwójnem utęsknieniem powrotu jego, by zdjął z niej ciężar ten przygniatający i pomógł pracę ojcowską z kłopotów wydzwignąć.

Kazimierz z obawą pewną spoglądał w przyszłość, czy pomimo nauki nabytej potrafi sprostać zadaniu jakie mu los narzuca. „Ileż to majątków szlacheckich naszych, za mojej już pamięci przeszło w ręce lichwiarzy i przybłędów różnych, skutkiem niedbalstwa i niegospodarności dawnych właścicieli... Czyż ja potrafię ocalić spuściznę ojcowską od zaguby, czy będę w każdej okoliczności wiedział jak sobie poradzić? Słuchaj Janku! Za miesiąc kończy się nasza nauka, obydwu nauczyliśmy się tu z książek i opowiadania wiele, ale obydwu mało znamy gospodarstwo rolne z praktyki. Jeszcze nikt mądrym gospodarzem z samej książki nie był, a i niema w świecie książki, któraby na wszystkie kłopoty jakie w gospodarstwie człeka czekają, gotowe przepisywała lekarstwo. Naukę więc książkową, koniecznie uzupełnić obaj musimy nauką praktyczną, na zagonie. Czy ci tu, czy tam tę praktykę odbywać, pożytek jednakowy. Ot wiesz co, jedź ze mną do Dąbrówki, tyś w wielu rzeczach odemnie by-

strzejszy, będziesz pomagał mnie w gospodarce mojej, a i bliżej ojca swojego będziesz, który staruszek, jak mi piszą z domu, bardzo już za tobą tęskni.“ Młodzi ludzie decydują się prędko: Janek uściskał dłoń przyjaciela i przyrzekł towarzyszyć mu. „Ale na jeden rok tylko — dodał po chwili — bo chciałbym przecież i lepsze gdzieś gospodarstwa potem zobaczyć.“

Radosna to była chwila i dla matki Kazia i dla Jankowego ojca, gdy po długim niewidzeniu ściskali synów przybyłych, którzy już zostać mieli przy nich na stałe.



VI. Rozmowa ojca z synem.

Stary Bartłomiej jał syna wypytywać, czego to on tak długo po tych szkołach się uczył? co dalej robić z sobą zamyśla? bo pewnie chłopskiej siermięgi wstydzić się już będzie i grunt ojcowski sprzeda, jak tylko ojciec oczy zamknie. Łzy potoczyły się staremu po twarzy zmarszczkami pooranej — czy to z uciechy, że dziecko dawno niewidziane w pańskim stroju i z pańską nauką w głowie przed sobą widzi. Czy może obok szczęścia tego i żal mu się zrobiło tego zagonu, który po przodkach swych odziedziczył, przez lat tyle potem własnym oblewał, od skiby do skiby tyle razy ręką własną przewrócił.. Któż zgadnie myśli staruszka? I Janek może nie odgadł ich w całości, ale przypuszczenie to drugie, jak nam się nasunęło, nasunęło się także i jemu, a te dwie łzy ojcowskie zabolowały go

w sercu: „Ojcie! ja nie puszcę z rąk nigdy tego ziemni kawałka, na którym od wieków rodzina nasza siedziała“ — odpowiedział głosem wzruszonym. „Wdzięczny Ci Ojcie całe życie będę za to, żeś mi światło nauki oglądać pozwolił. Ale ślubowałem sobie, że tego, com się z łaski Twojej nauczył, nie użyję samolubnie na własną tylko korzyść, lecz pragnę wiedzę moją podzielić się z tymi, którzy dostąpić jej nie mogli. Nie będę za zyskami osobistymi się upędzając, po szerokim świecie szukał szczęścia dla siebie — lecz zostanę w tej wiosce, w której na świat przyszedłem, i na roli, która mnie od dziecka żywiła. Wielu z młodych kolegów moich marzy dla siebie o losach i karyerach świetnych; inni kraj cały, inni ludzkość całą chcą zbawić — ja za cel życia wytknąłem sobie zadanie skromniejsze, bo tylko wydobyć z nędzy, uszczęśliwienie, mieszkańców mojej wioski rodzinnej.“

Nie rozumiał dobrze Bartłomiej stary ani zapalu, ani słów swego syna. Ale wypowiedziane zdanie ostatnie utkwilo mu w umyśle. „Wydobyć z nędzy, uszczęśliwić wioskę, powiadasz? a jakież ty środki masz na to? Czy już rachuby robisz na tę grosza trochę, którą przez życie całe uskładałem dla ciebie — i tę pracę moją rozrzucić chcesz między gawiedź, która przeproźnowała i przebaraszkowała swe życie? Jeżeli tak, to zawiedziesz się mój synu. Pracowitością i oszczędnością uskładało się talarów i cwancygierów trochę, ale nie na tom ja od ust nieraz odejmował sobie, byś ty głupiem sercem dobrem rozmarnotrawił je na podarunki dla ludzi, którzy tego niewarci — i zresztą nie wystarczy to na usunięcie ani dziesiątej części tej nędzy, jaka w wiosce się naszej rozsiała. Wojciech, Ignacy i Tomasz już

przepili i przejedli swe ojcowizny; żyd je kupił za psie pieniądze, a oni do miasta innym żydom służyć poszli. Franciszek i Marcin w karczynie co wieczór czas przy kieliszku spędzają, gospodarkę ich djabli biorą i tylko patrzeć, kiedy sąd zjedzie grunta ich sprzedać, a ich z chat rodzinnych wypędzić. A o reszcie ludzi cóż ci powiem? Niema podobno ani jednego gospodarza, żeby w długach nie siedział, przez lichwę długi te z dniem każdym rosna, za lat 10 może mało kto we wsi naszej przy ojcowiznie zostanie.

Choćbyś dziesięć razy tyle pieniędzy znalazł po mej śmierci, jak znajdziesz — to i tak nie wyratowałbyś wsi od całej biedy. A choćbyś i wszystkie długi tych ludzi pospłacał — to nie uratowałbyś ich i tak, bo oni za lat kilka pozadłużają się na nowo i zginą jednakowo!“

„Ależ ojcze, ja nigdy o pieniądzach Twoich nie myślałem, nie wiedziałem nawet, że masz jakie. Nie o pieniężnej też myślałem ja pomocy. Wiem, że dla wielu żadnego ratunku już niema; wiem, że wielu innym nie na wiele przydać się mogę. Ale są przecież między sąsiadami naszymi tacy rozsądniejsi i uczciwsi, którzy chcieliby o poprawie losu swego pomyśleć, tylko nie wiedzą, jaką drogą wziąć się do tego, a w każdym razie jest we wsi naszej dzieci dużo, z których kiedyś gospodarze i gospodynie być mają. Tym to ja chcę pracę moją poświęcić, gorącym słowem i przykładem dobrego gospodarstwa na lepszą drogę skierować — a jeżeli jeszcze i Ty ojcze drogi rady i pomocy swojej mi nie odmówisz, a Pan Bóg usiłowaniom naszym pobłogosławi, ufam, że praca nasza nadaremna nie będzie, i że za naszych dni dobrobyt w wiosce naszej zakwitnie.“

„Dałby to Bóg, rzecze stary. Błogosławię pocziwym twym zamiarom, ale nie mam wielkiej nadziei. Wy młodzi zawsze za wiele i w siły swe i w dobrą wolę ludzi wierzycie. Jam stary już, trzeźwiej na świat patrzę niż ty, niedowiarkiem zrobił mnie wiek mój, a może i ludzie zrobili. Ale jakże ty w tem poczynać sobie myślisz? Co robić? Czego uczyć tych ludzi chcesz? Na co tu nauk innych, jak te, które ksiądz co niedzielę z ambony prawi, byle tylko ludziska słuchać go chcieli... Bojaźń Boża, praca, a wstrzemięźliwość — ot i byłaby szczęśliwość na ziemi. Ale kiedy ludziom nie podoba się ni jedno, ni drugie, ni trzecie, jakże niema być biedy? Nie zdoła przekonać ich ksiądz, to i ty synu nie poradzisz. Szkoda twojej mitregi i słów na to straconych.“

„Ojczy, ja tak źle o ludziach nie sędzę. Mnie się zdaje, że im nie dobrej chęci, lecz wiadomości brak, jak sobie na biedę zaradzać. Głowie nienauzonej do myślenia niedosyć jest mówić o czymś, ale i pokazać jej trzeba rzeczywisty tego, co się mówi, pożytek. Ksiądz naucza słowem, ja tego samego chcę ich uczyć przykładem; ksiądz głosi Słowo Boże, więc nie każdy ułomny człowiek wznieść się może odrazu do tej wysokości, żeby je pojąć i wypełnić mógł. Ja chcę głosić im prawdy ludzkie, o wiele do wykonania łatwiejsze, które jakkolwiek potrzeb ciała więcej niż potrzeb duszy dotyczą, przecież prawdom w kościele głoszonym nietylko nie sprzeciwiają się w niczem, ale owszem może do jaśniejszego ich zrozumienia prowadzą.“

„O czymże chcesz ty im mówić?“ — „O gospodarności mój Ojczy.“ „Alboż to oni na gospodarce się nie znają, byle tylko pracować im się chciało.“ — „Oj nie znają Tatuuiu, nie znają. Gdyby znali różnicę dobrej

gospodarki a zlej, toby dziś tacy biedni nie byli — toby te rozległe nasze pastwiska nie leżały tak marnie, toby wodzie co roku zalewać się i brzegów rwać nie pozwolili, toby nie siali zboża po zbożu na lichu sprawionej roli, toby nie morzyli bydła biednego głodem w zimie, toby nie marnowali nawozów, tej podstawy bogactwa rolnika, i nie pozwalaliby z każdym deszczem odpływać gnojówce z podwórek swych do rzeki. Ale ja im i o czemś więcej jeszcze opowiadać chcę, bo o gospodarności w ogóle, nie o samej gospodarce rolnej. Ja wiem, że między sąsiadami naszymi trafiają się niektórzy, co gospodarować umieją na swej roli, dobrze zorać potrafią, wczas zasieją, o bydło dbają, tym też i rodzi się lepiej trochę niż innym, ale co o gospodarności, to podobno żaden z nich dobrego pojęcia niema“.

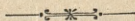
„A cóż to jest ta gospodarność? — pyta stary. Czyż to nie wszystko jedno co dobra roli uprawa?“

„A niejedno Tatuniu — bo gospodarność to znaczy mądre zużytkowanie i czasu i pieniędzy i sił własnych i zasobów pracą zdobytych, wydobyć ze wszystkiego jak najtańszym kosztem jak największych korzyści. A to umieć powinien nietylko rolnik, ale każdy człowiek, który pracą swoją rodzinę ma utrzymać.“

„To jakże ty chcesz synu, żebym ja ci dopomagał w tem, czego sam nie umiem — bo mię nie uczono?“

„Was Ojeze drogi lepszy nauczyciel uczył niż mnie — bo czas, wiek i doświadczenie w ciągu życia nabyte. Mogę ja umieć niejedną rzecz, która Wam Tatuniu wyda się nową, ale umiecie też i Wy niejedno, o czem ja dopiero od Was uczyć się będę.“

Oprócz tego Was zna oddawna, poważa i ufa Wam gromada nasza cała — gdy jam jej prawie obcy. Pomóż mi Ojcie wiareę wzbudzić w sercach tych ludzi, że ich kocham, ich dobra pragnę i dla ich pożytku chcę pracować. Oni Tobie Ojcie ufają, przy każdych wyborach nowych Ciebie na wójta chcą. Dotąd odmawiałeś im zawsze. Teraz nie uchylaj się Ojcie, ja Tobie i w gospodarce i w urzędowaniu młodemi silami dopomagać będę — a Wy Tatuniu dopomagajcie mnie w przedsięwzięciu mojem: swoją powagą, znajomością ludzi miejscowych i doświadczeniem, co go macie przez lata.“



VII. Co tam słyhać we dworze?

Janek szczerze się zabrał najprzód do pomagania przyjacielowi swemu Kazimierzowi — obecnie już dzieźdźcowi Dąbrówki. Gospodarstwo w folwarku zastali opuszczone, role zachwaszczone i jałowe, bydła mało i takie same nędzne jak u włościan.

Budynki przez ojca podpierane i po gospodarsku jako tako łatane, teraz wskutek ekonomicznego niedbalstwa do upadku się chyliły. Do długów mężowskich wdowa (a matka dzisiejszego dziedzica), nowe przypożyczyć musiała, bo na podatki i na procenta i na utrzymanie rodziny licznej, nie wystarczało tego, co folwark dawał dochodu. W trudnem więc położeniu znalazł się młody gospodarz narazie i niejedną wieczór długie zeszedł mu na naradzie z Jankiem: jakby tu z kło-

potów się wydobyć i większe na przyszłość korzyści z majątku tego wyciągnąć.

Janek tak mu powiedział: „Żeby gospodarstwo zaniedbane poprawić, trzeba dużo w nie włożyć pieniędzy— bo świętą prawdę mówią na wsi ludzie starzy, że *ziemia to jest dobra mać, ale jej wprzód trzeba dać*. Trzeba dać jej robotę dobrą — a ta kosztuje wiele. Trzeba w nią rzucić nasienie zdrowe i czyste — a to także są pieniądze. Trzeba ją gnojem dobrze smarować— ale żeby go mieć dostatek, trzeba bydła przykupić sporo, a dla tego bydła znowu przykupić paszy, bo domowa nie wystarczy. Na to wszystko potrzeba pieniędzy dużo, musisz się o nie postarać.“ — „Ja wiem sam, odpowie Kazimierz, że pieniędzy potrzeba, ale zkadże ich wezmę? Pożyczyć więcej nie zechce mi już nikt; nawet balbym się robić więcej długów, bo skądże potem brać na opłatę tylu procentów? Chyba kupców na tę sośninę młodą poszukać i sprzedać wszystką na sągi“.

„A pfe!! zawoła na to Janek. Grzechem by było takie zmarnowanie młodego lasu, który w swoim czasie piękny grosz kiedyś dać ci może. Toby nie ratunek był, ale zguba majątku. Wiesz co? Myślę i myślę i nie mądrzejszego nad to wymyśleć nie mogę: odprzedaj część pól tych co gorsze i co od folwarku najdalsze. Powiadał mi ojciec mój, że tu we wsi tym sposobem kilku gospodarzy wyratowało się od nacisku lichwiarzy, którzy gwałtem nastawali na to, żeby im całą ojcowinę sądownie sprzedać, bo sami kupić ją chcieli. Dłaczegożbyś i ty nie miał tego sposobu użyć na lepsze zagospodarowanie tego, co ci zostanie — a może i na spłacenie choć części długów starych?“

„Alboż to wierzyciele pozwolą mi odprzedać część folwarku, kiedy na całym dłużym mają zhipotekowane?”

„To pogadaj z nimi. A jak nie, to odprzedaj ziemi tyle, żebyś spłacić mógł całkiem tych, coby ci przeszkadzali“.

„Alboż to kupca znajdę na pole liche, bez budynków i dalekie?”

„O co o to, to wierzaj mi, że obawy niema. Teraz mieszczanie z miasteczka dopytują się ciągle we wsi, czyby im kto gruntu nie sprzedał. Ogłoś tylko, to i zdalsza ludziska się zbiegną i gotówką zapłacą. Co do tego, że te pola są liche, to jesteś mój kochany w błędzie. Liche są one tak długo, póki w twojem posiadaniu, bo od folwarku leżą o pół mili, ani dziad, ani ojciec twój gnoju na nie nie woził i ty nie powieziesz nigdy, boby ci się nie opłaciło. Ale niechno człowiek pracowity posiędzie je, pobuduje się na nich, uprawia porządnie a nawozem od czasu do czasu zasili, to zobaczylbyś, że nie gorzej na nich rodzić się będzie jak tutaj na zagumienku“.

„Dobra myśl, odpowie pan Kazimierz — ale przecie to jakoś może nieładnie zaczynać gospodarkę od uszczuplania ojcowizny. Co matka na to powie? Co krewni i sąsiedzi wygadywać będą?”

„Matki zdanie uszanuj, ale jestem pewny, że jak jej rzecz całą wytłomaczysz, to rozumna kobieta zgodzi się i bronić ci nie będzie. A o to, co ludziska dalsi powiedzą — nie pytaj — tak jak oni nie pytają, czy tobie się to podoba, że oni lasy marnują, dłużym na zbytki robią i majątki rodzinne tracą. Zresztą czyż nie rozumniej odciąć to, co pożytku nie przynosi, a oczyścić i uratować rdzeń majątku — aniżeli szamotać się parę

lat, walczyć z biedą bezowocnie, w długie zaleść lichwiarskie i zaprzepaścić w końcu wszystko?“

„A wieleżbyś myślał, żeby odprzedać można?“

„O to dopiero wyrachować pomalutka musimy: wiele morgów sprzedać *musisz*, żeby potrzebną ilość pieniędzy otrzymać — a wiele sprzedać *możesz*, żeby znowu gospodarstwa głównego nie osłabić“.

I pokazało się z mapy i obrachunków, że bez szkody dla gospodarstwa około 200 morgów można będzie odprzedać, bo jeszcze przeszło 400 morgów roli samej oprócz łąk dworowi się zostanie. A jak wzięli liczyć i przerachowywać na wszystkie strony, pokazało się, że dobrze na tych 400 morgach gospodarując, będzie miał pan Kazimierz dwa razy tyle z nich dochodu niż teraz ma z 600 morgów.

Uradzili wszakże, że niema potrzeby całych 200 morgów sprzedawać, bo zdaje się, że pieniądze ze sprzedaży stu morgów na wszystkie potrzeby na razie wystarczą. A więc plan ułożony został taki: że gospodarstwo porządne zaprowadzi się na wybranych 400 morgach; sto morgów rozparceluje się na małe kawałki i sprzeda się ludziom; drugie sto morgów zachowa się jeszcze jako rezerwę od wypadku, a tymczasem po dawnemu bez żadnych nakładów gospodarować się na nich będzie. Jak rzekli tak zrobili. Towarzystwo kredytowe ze względu, że już dług dawny przez amortyzację kilkunastoletnią się zmniejszył, nie stawiało przeszkody odprzedaży stu morgów. Wuj Kazimierza, choć miał dług po Towarzystwie, także na tę odprzedaż zezwolił, a dwóch żydów spłacić postanowiono pieniędzmi ze sprzedaży uzyskanemi.

Ludzi do kupna ziemi chętnych zgłosiło się więcej niż było potrzeba, a płacili zaraz na stół to papierowemi pieniędzmi, to srebrnemi zaśniedzialemi, które Bóg wie jak długo w schowkach ukryte u nich leżały... i koniec końców po zapłaceniu obu długów lichwiarskich zostało się panu Kazimierzowi jeszcze kilka tysięcy reńskich, które na poreparowanie budynków, na przykupno potrzebnego bydła, paszy i narzędzi rolniczych aż nadto wystarczyły. Majątek w ziemi zmniejszył się na obszar— ale na pieniądze i na dochód niemniej był wart jak pierwej.

Teraz gdy było już czem opędzać się biedzie, wzięli się obaj przyjaciele do obmyślenia płodozmianu dla pól dąbrowieckich odpowiedniego, i do rozumnego zastosowania w gospodarstwie nowem wszystkiego tego, czego ich w szkole dublańskiej uczono. Przedewszystkiem zaś kierowali się tą zasadą: żeby więcej dbać o pomnożenie paszy dla bydła, aniżeli zboża na sprzedaż, bo wierzyli, że gdy w folwarku paszy będzie obfitość, to zboże samo coraz będzie lepsze i z mniejszego kawałka pola urodzi się go więcej, niż przy braku paszy z wielkiego. *Mało siał, a dużo zbierać*, to była ich co do zboża zasada. Zaprowadziwszy porządek w gospodarstwie rolnem, wziął się pan Kazimierz z zapalem do urządzenia tych pomniejszych gospodarskich gałęzi, co to każda z osobna niby niewielkie zyski daje, a przecie razem wzięte znacznie dochód z gospodarstwa podnoszą.

Takimi ubocznemi gałęziami gospodarstwa wiejskiego, któremi nikt rozsądny gardzić nie powinien, są: chów bydła, chów świń, chów drobiu, gospodarstwo nabiałowe, pasieka, ogrody warzywne i sad.

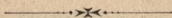
Zadziczały, zarośnięty i opuszczony sad stary, kazał zaraz pan Kazimierz ogrodzić, drzewa stare z mchu oczyścić, z wilków poobcinać, ziemię koło nich wzruszyć i o łokieć do pni gnojem na zimę obłożyć. Uschnięte drzewa wyrzucono, młode na ich miejsce wsadzono. Wstęp bydłu i świniom do sadu został wzbroniony. Szkołka młodych szczepów założona, a na siewki z ziarenek i pestek grzedy osobne wyznaczone. Resztki pasieki niegdyś licznej, a dziś bez opieki do kilku zaledwie pni zredukowanej, postanowił także młody dziedzic od zatury ocalić. Stolarzom kazał ule porobić nowe według wzoru księdza Dzierżona; po okolicy gdzie kto miał na sprzedaż wiele pni zakupił i pasiecznika znaczącego się na tem pszczolem gospodarstwie przyjął.

Wiedząc zaś z nauki swojej, że żadna roślina u nas hodowana większego z ziemi dochodu nie da jak chmiel, którego piwowarzy potrzebują do piwa — założył zaraz za sadem chmielnik dwumorgowy w pierwszym roku, obiecując sobie co roku o jeden mórg pola go powiększać. Nie straszły pana Kazimierza uwagi przez sąsiadów robione: że chmiel to roślina grymaśna, że pracy wiele koło siebie wymaga i pilności i starania wielkiego.

„Ja wiem, odpowiadał, że bez pracy nie będzie kołaczy i że chcąc dorobić się czegoś, pilności i starania żałować nie można. Ale wiem też i to, że ze wszystkiego najdrożej chmiel mi za tę pracę moją zapłaci“.

Odstawił więc do tego parobka młodego a pojętego i uczył go przez rok cały jak się chmiel sadi, jak się ziemia pod niego sprawia, jak ją pilnie przez całą wiosnę plewić i wruszać powinno, jak chmiel tyczyć, jak wilki obcinać, jak podwiązywać na tykach.

A potem znowu jak się ze zbiorem szyszek chmielowych i z ich suszeniem obchodzić. I za lat kilka tak chłopca wyuczył, że ten potem już uczył drugich i w całym pańskim chmielniku dozorował i jeszcze ludziom na wsi podobne plantacye tej pożytecznej rośliny zakładał.



VIII. Dalsza historia Janka.

I błogosławił Pan Bóg pracy dwóch tych młodzieńców. Gospodarstwo rolne na folwarku co roku stawało się lepszem, z każdym rokiem bydła przybywało, z nim nawozy mnożyły się, a na tych znowu zboża rodziły się coraz piękniejsze. Każdego też roku pieniędzy więcej brał pan Kazimierz za sprzedane ziarno, bydło i inne gospodarskie produkty, a każdego również roku przy przeglądaniu rachunków znalazł, że jeszcze to i owo w wydatkach zaoszczędzićby się dało: bądź to wyrzekając się chwilowych przyjemności takich, bez których łatwo obejść się można było, bądź to przez sprowadzenie maszyny jakiej, która kosztowniejszą pracę ludzką zastępowała, bądź kupieniem siewnika, który ziarna nasiennego oszczędzał, bądź naprawieniem drogi polnej, na której wiele sił sprzężaju marnowało się bezpożytecznie — bo to wszystko byle rozumnie obrachowane do oszczędności należy. A tak na każdej rzeczy przyrabiając *setki*, a na każdej znowu oszczędzając choć *dziesiątki*, tworzyły się z tego razem tysiące reńskich, które znowu można było na dalszą poprawę gospodar-

stwa, albo na spłacenie długów starych, albo na umieszczenie w kasie oszczędności obrócić.

I sąsiedzi dalsi z powiatu i ludzie bliżsi z tej samej wsi z podziwieniem patrzyli na te zmiany na lepsze, jakie się na folwarku dokonywały. „A to ci się oni oba przecie czegoś mądrego w tej tam szkole dublańskiej nauczyć musieli“ — mówili sobie ludzie — kiedy takie teraz urodzaje robić potrafią na tej ziemi, która niedawno jeszcze gorzej od naszej rodzila“.

„Trzebaby się tego Janka Bartłomiejowego zapytać kiedy, mówił niejeden, jakich to czarów oni używają, że im się bydło tak wiedzie i zboże takie śliczne rośnie na polu?“

Na to też tylko Janek czekał, żeby ludzie ciekawie się zaczęli i wiary do niego nabrali. Przez cały czas ten gospodarowania na folwarku nie zapomniał on o postanowieniu swoim, które ojcu kiedyś objawił. Miał on na myśli ciągle biedę współbraci swoich i przeżywał dniami i nocami nad tem, jak tu się wziąć do rzeczy i jak do rozumu i sumienia ludzi przemówić. Ale wiedział to dobrze, że ludzie, co księdza nauki niewiele sobie ważą, jemu też nie uwierzą odrazu, póki bieda nie przycisnie ich mocniej — i póki jego nie poznają lepiej, że umie od nich coś więcej i że im dobrze życzy.

Pojedynczo przy robocie dworskiej i przy innych okazjach mówił Janek nieraz to z tym, to z owym gospodarzem ze wsi. Doradzał im inaczej z nawozem robić, to inaczej orać, to chwasty z pola wygubiać... I zdawało mu się czasem, że przekonał człowieka i że rada jego usłuchaną będzie. Ale gdy człowiek ten do kar-

czmiska wszedł i tam z innymi ludźmi się zgadał o tem, co mu Janek mówił, drudzy zaraz zakrzyczeli i przerobili człowieka. — „Wierzylibyście tam ciarachowi“, zawołali jedni. — „Wun choć chłopski syn z panami się zadaje“, mówił arendarz, „nie wiercie jemu nie, bo wun was panom sprzeda“. — „Ba i w pańską odzież się przebrał“, odezwał się ktoś inny. — „Nasi ojcowie tak gospodarzyli, to i my tak będziemy, co nam ta po nowych wymysłach“, dorzucił czwarty.

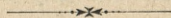
„Ale wasi ojcowie potrzeb tyle nie mieli, podatków nie płacili i nie pili tak jak wy, pracowitsi i oszczędniejsi od Was byli, więc choćby i chyblo im kiedy zboże, to wystarczało na życie. Ale wam nie wystarcza już dzisiaj, a za rok, dwa jak się nie weźmiecie na pazury, to ziemia wysunie wam się z pod nóg!“

Na gromki ten głos obejrzeni się wszyscy — a to Bartłomiej stary stał na progu; zajrzał tylko, jakby kogo szukał, a usłyszawszy rozmowę nie mógł się wstrzymać, żeby nie powiedzieć im prawdy. Powiedziawszy to, wyszedł zaraz, bo jak wiadomo, w karczmie siadywać nie lubił.

„Oto! już i on się od swego syna nauczył“, rzecze arendarz — ale nie słuchajcie ich... Jak wam potrzeba będzie pieniędzy na podatki, to ja wam pożyczę. Napijcie się jeszcze“.

I pili dalej, a Jankowe gadanie poszło na nie, jakby groch rzucał o ścianę.

Janek wiedział to, smucił się tem i przemyślał, jakby tu trafić do przekonania ludzi, a ochronić ich od bałamuctwa tych ludzi, którzy ojcowizny im wydrzeć, a sami je posiadać pragnęli.



IX. Janek zostaje gospodarzem.

Bartłomiej stary przypatrywał się pilnie tymczasem synowi, śledził postępy, jakie gospodarka jego na pańskim folwarku robiła i długimi godzinami o tem i o owem z nim gadał. Czasami prowadził Janka na pole swoje i niby się go radził, coby i jak na niem robić — ale to na to tylko, żeby wybadać, ile też tam rozumu gospodarskiego jest w młodej syna głowie — bo mu zrazu sam nie bardzo dowierzał. Ale dalej dalej, gdy Janek nie tylko powiadał, *co* robić trzeba, ale mądrze i na rozum wytłómaczyć umiał, *dłaczego* to tak lepiej, a nie inaczej... a jeszcze bardziej gdy w drugim roku zaraz zobaczył, jak się dworskie gospodarstwo dziwnie pod ręką jego syna poprawia... uwierzył wreszcie, że „Jankowa nauka nieglupia“.

Ale nim doszło do tego, kilka prób w pierwszym zaraz roku musiał Janek przechodzić:

Bartłomiej siewał kawałkami i pszenicę. Janek radził ją z wiosny podrzeć mocno żelaznymi bronami, czem twierdził, że i ziemia się wzruszy i mysie nory pozasypują i popękania ziemi zagładzą i chwasty szkodliwe wytępią. Oburzył się na to stary: „Kto widział zbożu młodemu tak dokuczać! a toćbyś mi pszenicę całą zmarnował!“ „No to tatuniu pozwólcie mi jeden niewielki kawałeczek na próbę. Zobaczycie potem, czy będzie jaka różnica“. Bartłomiej po długich prośbach zgodził się, sam kółkami odznaczył pas nieszeroki, jak zagon, który synowi pobronować pozwolił. Janek uprosił jeszcze pasek taki drugi, ale dalej od pierwszego, bo

powiedział, że dopiero przekonanie będzie lepsze, gdy między dwoma składami bronowanemi jeden niebronowany zostanie. Wziął konia z jedną broną, przejechał het i jedzie napowrót. A Bartłomiej aż się za głowę chwycił: „A miejże sumienie Janku — wołał — patrz z korzeniami powydzieraleś pszenicę. Nie pozwolę więcej na takie zberezeństwo!“ Janek przybiegł, ojca w rękę ucałował i prosił: „No a choćby się i zmarnował ten zagonek pszenicy, to niech się wam zdaje tatuniu, żeście mi go podarowali. A ja przejadę go jeszcze raz het i nazad, bo cztery brony dopiero ziemię należycie spulchnią. Co się wydrze, to się wydrze — ale co zostanie, to obaczycie, że rozkrzewi się tak, że w dwójnasób za tamte wydarte krzaczki zapłaci“. Cóż było na takie gadanie? Bartłomiej stary westchnął, podumał, ręką machnął i rzekł: „Ha to niszczy dalej, kiedyś się tak zawziął — wszak to niczyje po mnie, jeno twoje“. Janek bronowania dokończył, przejechał po 4 razy jeden i drugi skład. Ojciec markocił się przez dni kilka na niego, tak mu żal było powyrywanej pszenicy. — Aliści za kilka tygodni cała wieś schodziła się oglądać, taka była różnica między bronowanemi a nietykanemi składami; a Bartłomiej sam schylał się i rachował, ile to ździebeł nowych z jednego krzaka puściło, i ludziom pokazywał a opowiadał: „Oto tu, widzicie te kolki, sam je dla poznaki własną ręką wbijałem... No ktoby się był spodział... Taki to ta jego nauka nieglupia“.

To znowu w innem miejscu przedstawiał Janek: „Tatuniu, tu jest pole takie, które potrzebuje głębszego zorania, a przywalcowania ciężkim walcem po siejbie. I pługa, co głębiej bierze, i walca konnego pożyczę od dziedzica, a zobaczycie, jaki urodzi się jęczmień“. —

„No to zrób ty po swojemu pół pola, a ja drugie pół po mojemu. Zobaczymy, przy kim będzie prawda“. Przeciwił się ojciec w orce, ślicznie ziemię wyrobił, bo przecieć nie chciał być pobity przez syna. Ale starał się też i Janek jak najlepiej swoją połowę sprawić, żeby pokazać ojcu, że to nie bzdurstwo, co go w szkołach uczyli.

Zasiali jednego dnia i obadwa po ćwierci. Jęczmień powschodził jednakowo, już tryumfował stary, że różnicy żadnej nie widzi. — Aliści nastala potem posucha bardzo długa: na Bartłomiejowej połowie ziemia zeschła na kamień, piórka jęczmienia zwiędły i rosnąć przestały, gdy Jankowa utrzymała pod wierzchnią skorupą wilgoć, pole się zaruniło i potem cieniem już własnym jęczmień ziemię od suszenia ochraniał. Przy wymłocie po żniwie pokazało się: że z ćwierci wysiewu na Bartłomieję połowie urodziło się 3 ćwierci — a na Jankowej także z ćwierci przeszło 2 korce jęczmienia.

I znowu Bartłomiej stary rad nie rad zakonkludować musiał, że „nauka Jankowa jakaś niegłupia“.

Sumował, rozważał coś, myślał — to do syna do dworu zabiegał, to znowu do siebie go kilka razy przyzywał — znać było, że chce mu coś ważnego powiedzieć, to znowu się rozmyślał — a może tylko na później jeszcze odkładał... Kilka razy znowu sam w chałupie zamykał się na długo — a ludzie czy podpatrzyli gdzie szparą jaką, czy na domysł tylko pletli, że pieniądze srebrne przeliczał...

Aż razu jednego zdecydował się na coś. Parobka posłał po syna, przyjął go z miną dziwnie uroczyście — i tak mu prawie zaczął:

„Nie od dzisiaj ja patrzę na roboty twoje, odkądś ze szkół powrócił. Drugi rok już przyglądam się tobie i z rozkoszą w sercu widzę, że nie popsuli mi cię ludzie, żeś darmo chleba Bożego nie jadł, że szkoła na złe ci nie wyszła, że obcowanie z panami nie przewróciło ci w głowie; że stanem wieśniaczym, z któregoś wyszedł, nie pogardzasz jak drudzy, co nauki lizną, a o panów się obetrą; i że dla ojca starego choć prostego człowieka, masz w sercu poszanowanie tak jak to Pan Bóg przykazał“.

„Otóż nie boję się, żebyś mnie z chałupy wygnał kiedy — jak to niedobre dzieci czasem robią. Nie boję się, byś mi łyżki strawy pożałował, albo starości mojej nie uszanował i mną kiedy potyrał. Nie boję się, żebyś ojcowiznę zmarnował — bo widzę, że masz rozum lepszy od mojego, a przyrzekłeś, że i po śmierci mojej gruntu rodzicielskiego nie sprzedasz, lecz sam go dalej obrabiać będziesz... Więc nie czekając śmierci, która i tak pewnie niedługo już każe mi na siebie czekać — ja ci dzisiaj za życia grunt mój cały oddaję. Dla siebie wymawiam tylko kąć ciepły w chałupie, mój warsztat kołodziejski, strawę i szanowanie moich starych lat“.

Rozplakał się Janek słysząc taką mowę. Przypadł ojcu ręce i nogi całować, nietyle mu za grunt, jak za zaufanie jego dziękując. Rozplakał się i Bartosz stary i żałował tylko w duszy, że żona jego nieboszczka nie doczekała tego pięknego dnia i nie może z nim pospołu cieszyć się mądrością i poczeiwością syna.

„Ja stary, niedołężny — rzecze po chwili — ciężko mi już pracować teraz jak za młodszych lat; a tu

i dobytek marnieje i rola dziezeje, jak sam człowiek nie najrzy i sam nie przyłoży ręki. Na ciebie teraz pracować kolej, mój synu, a na mnie czas odpocząć. Pan Bóg błogosławić w pracy ci będzie, bo przykazań Jego słuchasz, a i ludzie sprzyjać ci będą, boś ty dla nich uprzejmy i grzeczny. Jedno jeszcze dołożyć chciałem: Zrzuc z siebie suknie te pańskie, bo ich do roboty szkoda, a i ludzi one w oczy koła. Jeżeli chcesz, żeby ci wierzyli i żeby cię słuchali, to ubieraj się jak oni — bo to naród jest głupi, myśli, że suknia stanowi człowieka“.

„I jeszcze jedno po głowie mi chodzi: Gospodarka bez gospodyni, to jak wóz, u którego brakuje koła. Chłop gospodarzy co prawda w polu, ale co doma, to chłop podpira jeden tylko węgiel, a trzy inne trzyma niewiasta... Otóż Janku mój, trzeba ci się będzie obejrzeć i za żoną. Ale gdzie ty jej szukać sobie zamysłasz mój synu? Czy po jedwabnych paniach, jakie widywałeś po miastach, nie będziesz ty miał wstępu do dziewczuchy w welniaku?“

„Ej na to czas jeszcze tatuniu. Nie myślałem dotąd o tem“.

„To pomyśl synu, pomyśl, i to pomyśl głęboko, nimbyś głupstwo jakie miał zrobić. Uczynisz jako zechcesz, bo ja ci już do rozkazania nie mam. Ale przestrzegam, nie spinaj się między pany, bo jedni wyśmieją i odepchną — a gdyby i nie, to trudniej między nimi niż między naszymi o gospodynię dobrą, jakiej tobie potrzeba. Kiedy już o tem mowa, to przypomniało mi się, com słyszał kiedyś jeszcze, jakem u dworu służywał z młodu. Różnych rzeczy się tam nasłuchało, które wywietrzały później z pamięci — a to zapamię-

tałem przecie, choć to temu lat 50 okładem. Otóż mówili raz do siebie panowie, że żona z wyższego stanu wzięta, to tak jakbyś dług wielki na majątek zaciągnął i procenta grube od niego corocznie opłacać musiał. Choćby i posag znaczny ci wniosła, to i tak jeszcze najczęściej zniszczysz majątek swój przy niej. Więc strzeż się mój synu, żebyś ty długu takiego ciężkiego nie zaciągnął kiedy — bo 20 morgów to majątek nieduży, lada jaki dług pozbawić cię go może!“



X. Janek kapitalista.

I znowu czas jakiś upłynął. Bartłomiej znowu coś w umyśle waży, chodzi jak nieswój, rozważa. Znać jeszcze nie wypowiedział synowi wszystkiego, co mu powiedzieć zamierzał.

Raz w polu pyta go się zagnała: „A powiedz mi Janku, cobyś ty robił z kapitałem, jakbyś go miał?“

Nieprzygotowany na takie zapytanie, odpowiedzieć nań Janek nie umiał. „Z jakimże to kapitałem“ zapyta. „No z pieniędzmi“ odrzekł stary — „z dużo, dużo pieniędzmi i to srebrnymi: talarami, cwancygierami i reńskimi“.

„Najprzód zrobiłbym z nich *kapitał*, bo takie pieniądze kapitałem wcale nie są“ odpowiada Janek.

„Jak to nie są? Co ty pleciesz? Bite pieniądze srebrne! przecież kapitał a pieniądze to jedno“.

„A nie jedno mój tatuniu. Kapitałem nazywają ludzie to wszystko, co pożytek albo dochód przynosi.

Więc kapitał może mieć ktoś w domie miejskim, w którym mieszkania za pieniądze wynajmuje; w ziemi, z której ciągnie pożytki rolne; w papierach publicznych, od których odcina procentowe kupony; a i gotowe pieniądze, czy to papierowe, czy srebrne nazywamy kapitałem wtedy, jeżeli używamy ich tak, że nam to zysk jaki albo pożytek przynosi. Ale pieniądze srebrne, i to stare, które dziś kursu nie mają — i do tego jeszcze w skrzyni zamknięte, albo w ziemi zakopane — nie dają nam żadnego pożytku i dlatego póki beczynnienie leżą, kapitałem żadnym nie są“.

„No to czymże są one?“ pyta ojciec.

„Są masą srebra, są *bogactwem*, które właściciel w każdej chwili może na kapitał przerobić“.

„A jakże się to na kapitał przerabia?“

„Wydobywa się ze schowania, mienia się na pieniądze takie, które kurs w kraju mają i umieszcza się je tak, żeby nosły właścicielowi pożytek“.

„A gdzie się je umieszcza?“

„To już od woli właściciela zależy. Jeden kupiłby za nie ziemię, drugi kamienicę w mieście, trzeci listy zastawne, czwarty by je zaniósł do kasy oszczędności, piąty rozpozyczyłby ludziom na procenta, szósty zakupiłby zboże albo inne towary dla odprzedania ich z zyskiem, siódmy by za nie konie i wozy kupił i furmanił nimi... W każdym z tych interesów umieszczone pieniądze mogą dać właścicielowi jakiś zysk, czyli dochód czyli pożytek — gdy w skrzyni leżące nie przynoszą mu żadnego“.

„A któryż z tych sposobów użycia pieniędzy jest najlepszy?“

„To się tak powiedzieć nie da, mój ojciec. Czasem to lepsze, czasem tamto. W *kasie oszczędności* procent bywa od pieniędzy mały — ale za to pewny i byle nie wyjmować, to dokłada się ciągle procent do kapitału, i od tego procentu znowu przyrasta procent tak, że po latach kilkunastu dwa razy tyle pieniędzy się ma, niż się do kasy włożyło. Kapitał też sam jest tutaj najpewniejszy, bo go nikt ukraść nie może i na żadne straty nie jest narażony.

Większe procenta niż w kasie oszczędności dostać można od ludzi, jeżeli im się kapitał rozpozyczy. Dobre też to, gdy się trafi na uczciwych, co umowy rzetelnie dotrzymają i procent co pół roku zapłacą i kapitał w terminie przyrzeczonem oddadzą. Ale jak się trafi na człowieka ladaco, co tylko szuka, aby wziąć, a potem o oddaniu nie myśli — to procesy więcej czasem kosztują, niż te procenta umówione wynoszą, a czasem to i proces nie pomoże i kapitał cały w niepoczciwych rękach przepada.

Największe zyski daje kapitał zwykle w handlu. Tu gdy mądrze pieniędzmi obracać się umie, to grosz na groszu czasem w jednym roku zarobić można. Ale jak nie umieć dobrze, na towarze się nie znać, dać się raz i drugi ludziom oszukać — to znowu w jednym roku cały kapitał stracić czasami można“.

„Więc pytam się ciebie, co byś ty z kapitałem robił, gdybyś go miał?“

„Nie myśląc, że bym kiedy kapitały miał, nie zastanawiałem się dotąd nad tem.

„No to zastanów się teraz — bo je masz“ odpowiedział ojciec. „Od lat przeszło czterdziestu każdy pieniądz srebrny, jaki wpadł mi w ręce, składałem dla

ciebie do kryjówki, umyślnie na to pod przyciesią zrobionej. Więc znajdziesz tam i ewancygiery stare z Matką Boską i talary i ruble srebrne z krzyżami i nowe dzisiejsze guldeny. Przemierzylem i przeliczyłem znowu niedawno — będzie tego z półtrzecia garnea, a na pieniądze dzisiejsze to koło 1800 reńskich. Chciałem koniecznie do okrągłych dwóch tysięcy dorobić — ale do pracy osłabłem już, coraz powolniej teraz do skarbcza kapie. Jak ty teraz gospodarkę całą z głowy mi zdejmiesz, a ja samym warszatem moim się zajmę — a Pan Bóg życia jeszcze lat kilka pozwoli — to ci jeszcze i tych brakujących 200 reńskich dozbieram. Tymczasem niech nie próżnują te pieniądze co są, weź je i użyj podług swego rozumu“.

Janek objął za nogi ojca, a ten tak dalej prawil:

„Widzicie, jak to nauka człowiekowi potrzebna.

Żebym ja był miał ten rozum dawniej, co go teraz od ciebie synu pojąłem — toż nie półtora, ale już ze 4 tyśiące reńskich byłbym mógł oddać ci dzisiaj. Ale cóż! kiedy nam nikt nigdy przedtem o kasach oszczędności nie mówił — a zwyczajem ludzkim było, że kto grosz jaki zaoszczędził, to go schował głęboko, żeby go oko cudze nie widziało i pokusy nie miało“.

„Ostrożność taka — rzecze Janek — potrzebną była dawniej tatuniu drogi, kiedy to ani praw tak dobrych nie było w kraju jak dzisiaj ani bezpieczeństwa dla ludzkiego mienia. Wtedy musiał każdy, tak pan jak chłop, kryć się ze swojemi skarbami, żeby mu ich nie wydarł nieprzyjaciół, który często te ziemie nasze najeżdżał i pustoszył — albo żeby kryjomo nie zabrał mu ich zły człowiek, na którego także dawnemi czasy trudniej było o sprawiedliwość jak dzisiaj. Nie było też

dawniej kas, banków, ani innych instytucyj publicznych, które dziś bezpiecznie w ruch puszczać pieniądze pomagają. Nie było i przedsiębiorstw różnych, któreby potrzebowały na obrót tyle pieniędzy, jak dzisiaj“.

„Ale przecież to wszystko nie od dziś dopiero się zmieniło — odpowie ojciec — a jam nie o tem nie wiedział i marnie przez lat tyle dałem pleśnieć pieniądzom. Bieda to, wielka bieda, że nas dawniej do nauki nikt nie naganiał.

„A jakże to jest z tą kasą oszczędności? pytał Bartłomiej po chwili — bo to ze wszystkich sposobów umieszczania pieniędzy najlepiej mi się zacząć podobać“.

„Odnosi się pieniądze do kasy — odpowie Janek — a tam wydadzą książeczkę, w której zapiszą dzień i ilość włożonych pieniędzy. Tę książeczkę chowa właściciel u siebie, a za jej okazaniem oddadzą mu pieniądze jego z procentem, gdyby odebrać je znów zechciał. Przechowanie książeczki takiej łatwiejsze niż pieniądze, a choćby się spaliła, to pieniądze nie zginą, bo tam w wielkiej książce są także zapisane — a choćby ją i złodziej ukradł, to mu nie wydadzą, bo spytają się go, gdzie ma upoważnienie od właściciela do odebrania ich z kasy?“

„No to pięknie, rzecze stary — ale cóż? jak się ludziska dowiedzą, żeś włożył pieniądze do kasy, to ci spokoju nie dadzą, jeno cię będą molestować o pożyczkę“.

„I o tem pomyślano w kasie, bo prawo jest takie, że oprócz urzędników kasy nikt nie wie kto i ile do niej włożył — a oni mają przykazane, nikomu nie powiadać, choćby się kto i pytał“.

„A to wiesz co Janku: załóż kobyłę do wózka i

wież jutro zaraz swoje pieniądze do kasy. Niech ich przybywa. Niech rosną“.

„Dobrze tatuniu, kiedy taka wola wasza — odpowie Janek — znowu nogi jego całując. Złożmy je tam tymczasowo bezpiecznie — a potem pomyślimy i naradzimy się jeszcze, czyby jakiej części tych pieniędzy nie można było użyć jeszcze korzystniej: z większym zyskiem dla siebie samego, a i z pożytkiem większym dla bliźnich, których Pan Bóg kochać nam polecił“.



XI. Janek arendarzem.

Janek przeniósł się ze dworu do ojcowskiej chalupy, w której zaraz podłogę z tarcie dał, okna powiększył, ściany pobielił, komin zmurował i piec oszczędny postawił. Sąsiedzi szydzili zrazu, że Janek w pana się bawi — ale jak zobaczyli, że odzież pańską zrzucił, a w kapotę z sukna grubego i krojem ojczystym się odział, zawstydzeni umilkli. Miał on jednak kapotę i drugą, skrojoną tak samo jak tamta, ale z cieńszego sukna, od święta i od zabawy. Kapotę tę lepszą nadziewał zawsze na siebie, gdy do kościoła szedł, albo na plebanię do proboszcza, albo do dworu, albo do miasteczka — bo powiadał, że nieprzyjemnie jest gnój wachać tym ludziom, co sami około gnoju robić niezwyčajni.

Do dworu zaglądał Janek często, a przyjmowano go tam zawsze pomimo zmiany stroju tak samo życzliwie jak dawniej — nawet pochwalily mu panie tę zmia-

nę, gdy się dowiedziały, że spełnił w tem wolę oj-cowską.

Pan Kazimierz często sam go do siebie zapraszał, by się z nim znowu o czem naradzić, lub po dawnemu zabawić się rozmową. Razu jednego tak go Janek zagadnął:

„Za kwartał kończy się Jankielowi kontrakt na propinacyę. Co dalej robić z nią zamierzasz?“

„A wydzierżawię mu ją nadal — odpowie dzie-dzie. Dobry żyd, wypłaca się regularnie, nie mam po-wodu mu karczmy odbierać“.

„Dobry on dla ciebie — mówi Janek — ale nie-dobry dla ludzi we wsi, których do pijaństwa zachęca, w próżniactwie dawnem utwierdza, dobrodzieja ich uda-je, a jednak lichwą obdziera; boję się bardzo, że za lat kilka połowę gruntów wiejskich wykupi“.

„A bo czegoż mu wierzą, jeżeli ich na złe nama-wia?“ obruszy się dziedzie.

A Janek na to: „Bo już taka natura ludzka, że uwie-rzą zawsze prędzej temu, kto pochlebia, i do lenistwa podmawia, aniżeli temu, ktoby ich do roboty napędzał“.

„Więc dlatego karczma ma mi stać próżno i do-chód z propinacyi mam stracić?“

„Nie, dochodu nie stracisz i karczma próżno stać ci nie będzie. Ja ją wezmę od ciebie w dzierżawę i za-płacę ci to samo co żyd“.

„A tobież tego na co? Czy ci się w głowie prze-wróciło? Alboż ty umiesz wódkę szynkować? Ty nie potrafisz tak jak Jankiel interesów robić, nie wybie-rzesz ani połowy tych pieniędzy, które mnie płacić przy-rzekarz. Ty stracisz na tej dzierżawie, a ja nie chcę, żebyś na interesie ze mną był stratny“.

„Mój Kaziu — odrzeczł Janek — jeżeli arendarz twój dzisiejszy wybiera z krzywdą ludzką te pieniądze, które tobie oddaje, toś ty ich brać od niego nie powinien. Ale ja wiem, że tak nie jest. Tyle, ile czynsz wynosi, można handlem trunków i innych rzeczy w tak ludnej wsi bardzo uczciwym sposobem zarobić. A tem, co nieuczciwie Jankiel od ludzi wyłudza, wzbogaca się on sam. Przypomnij sobie, że biednym łąpserdakiem przyszedł on tu za twojego ojca, a dzisiaj już dwa grunty na licytacji kupił i pieniędzy po ludziach porozpożyczanych ma tyle, że jeszcze na 10 gruntów by starczyło. Czemże wzbogacił on się tak, jeżeli nie ciężką tych biednych ludzi krwawicą, których do próżniactwa, a robienia długów podmawia. Ja zysków na karczynie nie szukam, ale też mam nadzieję, że nie stracę. A dopóki karczmy w swem ręku nie mam, dopóty wszystkie moje chęci najlepsze są na nie, dopóty nie potrafię w niczem ulżyć biedzie wioskowej i nawrócić tych ludzi“.

„To ty zawsze jeszcze do myśli swoich powracasz? Zawsze jeszcze w to wierzysz, że zamiary dawne ci się udadzą? Ja myślałem, że obojętność, z jaką się u gospodarzy tutejszych spotkałeś, ostudziła cię już i wyleczyła z tej mrzonki“.

„To nie mrzonka mój drogi, odpowie Janek: To myśl, którą za cel życia postawiłem sobie. To myśl, która od lat kilku cały umysł mój opanowała, a będę wszystkich sposobów próbował, które do tego celu doprowadzić mnie mogą. My zacznijmy tylko, resztę Bóg za nas zrobi“.

„Więc jak karcznię będziesz miał, to sądzisz, że ci się uda przerobić ludzi?“

„Czy przerobić nie wiem, ale nauczyć ich będę mógł wiele. Z początku nie po naukę, to po wódkę, będą sami do mnie przychodzili. Potem gdy w wiadomościach nowych się rozciekawia, to przychodzić zaczną dla nich samych. A jak oświecą się, to i poprawią się z czasem. W innych wsiach słyszę, że panowie już i żydków uczciwych takich powynajdywali, co biorąc karczmy w arendy podpisali się na to: że nigdy nikogo do picia namawiać nie będą, że wódki nikomu nie dadzą na kredyt, że nie dopuszczą, by się który gospodarz w karczmie upił, że nikogo na miarze ani na pieniądzech nie oszukają. Na to wszystko podpisał się żydek taki i karę za każde niedotrzymanie do kasy gromadzkiej miał płacić — a jak wódki da komu na kredyt, to już upominać mu się zapłaty za nią nie wolno. To bardzo dobre by było, gdyby i u nas żydek rzetelny taki się znalazł, ale że w naszej wsi takiego niema — więc ja go muszę zastąpić“.

„I jakże, i sam będziesz wódkę szynkował?“

„Nie, bo na to ciągle czasu bym nie miał. Mam krewniaczkę niemłoda, ubogą, ale rzetelną i rozgarnioną kobietę. Tę bym na karczmie osadził, a od wszystkiego co sprzeda, dwudziesty grosz jej oddam“.

„Jak to od wszystkiego? To tam będzie co więcej oprócz wódki do sprzedawania?“

„Zobaczysz później, co tam będzie. Ale to cię zapewniam, że jak ci szynk tam wystroję, to i ty i ksiądz proboszcz nie będziecie się wstydzili wstąpić czasem do niego“.

„I to wszystko dla dobra ludu naszego we wsi?“

„A tak! dla umoralnienia i dla oświecenia tego ludu, dla wydobycia go z nędzy, w jakiej dzisiaj żyje, dla zrobienia go bogatym“.

„Kiedy tak, to ja idę z tobą bracie do spółki. Zysk, jaki na handlu zdobędziemy, daruję co roku gminie, ale straty, gdybyś miał jakie, podzielę chętnie do połowy z tobą“.



XII. Gospoda chrześcijańska.

Z takim napisem tablica wisiała w trzy miesiące później nad wejściem do karczmy, która wybielona, wyczyszczona, zupełnie inaczej wyglądała już z wierzchu. Wewnątrz była zamknięta przez trzy dni — mówiono, że porządki po żydach w niej robią. Aż w niedzielę po niesporach wychodzi ksiądz z kościoła, organista i dziad z kropidłem, za nim pan Kazimierz i Janek koło niego, tłum ludzi ciśnie się za nimi — a wszystko ku karczmi. Gdy doszli, ksiądz modlitwy święte odmówił, karczmę odrestaurowaną poświęcił — i w te słowa do zgromadzonego ludu przemówił: „Oto jest nowa karczma, choć ta sama zwierzchu, ale inna zupełnie w środku. Poświęciłem ją, aby ją obronić przed złemi duchami, jakie w niej dotąd mieszkały — aby tu w ślad za wami ludzie nie wcisnęło się pijaństwo, ani bitki, ani rozpusta, ani obraza Boska, ale żeby tu było schronienie, posiłek, gościna i gospoda i uczciwa zabawa — żeby tu i ja do was czasami mógł przyjść, a dzieci wasze żeby tu nie miały zgorzenia“.

Ksiądz po przemowie wrócił do kościoła, a Janek drzwi odemknął i zawołał: „A teraz nową karczmę otwieram i zapraszam każdego czyja wola niech wejdzie.

Od jutra ja propinatorem u pana, a karczmarzem dla was. Dzisiaj zaś gospodarzem wam tu być chcę, a wy bądźcie gośćmi moimi. Zapraszam was na wódki kieliszek i zakąskę, czem chata bogata tem rada“.

Więc cisnąć się ludzie zaczęli i starzy i młodzi tak, że ich duża izba pierwsza wcale pomieścić nie mogła. I dopieroż to było dziwowania a oglądania, tak się wszystko zmieniło. Ściany białe zawieszono obrazami Świętych Pańskich i królów — stoły i ławy przy ścianach — a szynkfasu wcale nie było. Potem była druga izba mniejsza, znowu stoły i ławy, a na stolach gazety i książki. Potem mała komora, a w niej dopiero na froncie szynkfas i baryera drewniana i sztachetki, za niemi dokoła ścian poprzybijane półki i na nich moc rozmaitego towaru. W czwartej izbie mieszkanie karczmarki, a Jankowej krewniaczki.

„Dajcież nam Marcinowo, coście tam dla nas przygotowali“ zawołał Janek. I dopieroż każdy szedł do szynkfasu, gdzie dostał spory kielich gorzałki i chleba razowego kromę i sera i kiełbasy kawałek; poczem wracali wszyscy do pierwszych dużych izb i rozglądali się po nich na nowo.

„A cóż tu będzie w tych izbach?“ pytali Janka poufalsi.

„Tu będzie sobie przychodził każdy, kiedy zechce — odpowiadał Janek — każe sobie podać, co zechce, czy piwa, czy wódki, czy jedzenia jakiego, byle zaraz zapłacił, bo na kredyt nie się tutaj nie daje. Tu się ludzie schodzić mogą na pogawędkę wieczorną, a i na tańce przy święcie. Kto czytać umie, ma tam w drugiej izbie gazety i książeczki takie, które interesować go mogą — a że wiem, że mało jest we wsi naszej ta-

kich, coby sami z drukowanego czytać umieli — to ja wam co niedzielę po nieszporach, a w zimie to i codzień wieczorem będę czytywał. Czyja wola proszę przychodzić słuchać. Jakby czytania kiedy zbrakło, to sobie opowiadać będziemy o naszej biedzie i o tem, jak się jej nie dawać. A że biedy na świecie jest dużo, a i sposobów bronienia się od niej nie mało — więc do gawędy tej wątku chyba nam nigdy nie zabraknie“.

Kiwali głowami ludzie na taką mowę i pomrukiwał niejeden: „Wymysły ludzkie! wymysły! Na co to stary rzeczy porządek przewracać! Po co było usługnego Jankiela z karczmy wyganiać! Do czego w karczmi-sku świętości? Kto mu ta będzie gazety czytał! Dlaczego ludziom swojskim wódki nie borgować, kiedy ich przecie ma na czem patrzeć?“

Z tych wykrzykników widzimy, że było w Dąbrówce wielu takich, którym się nowe urządzenie karczmy nie podobało. Ale znaleźli się też i tacy, którym się piękniej wydało teraz niż za Jankiela rudego i którzy radzi byli coś rozumnego usłyszeć...

Po krótkiej gawędce rozeszło się wielu do chałup — a pozostałym Janek czytał gazety.

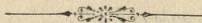
A było i w tych gazetach wiele o biedzie ludzkiej w kraju. Ale było także i o tem, jak na kmiecych rolach i pod niską strzechą słomianą dorabiają się ludzie dostatków i chwałą Pana Boga za szczęście, jakie mają od Niego.

„A z czegóż to się człowiek bogactw dorobić może na wsi?“ zapytał z gospodarzy jeden. „Czy z tych dziesięciu morgów kiepskich, z których jeszcze woda co roku po kawałku zabiera?“

„To ja wam powiem Marcinie — odrzecz mu Janek — że nietylko na dziesięciu, ale na trzech i na dwóch morgach, dorabiają się czasem ludzie bogactwa. A trafiają się gdzieindziej i tacy, co wcale ziemi nie mając, tylko dziesięć palców zdrowych i głowę na karku, po latach wytrwałości do wielkich dochodzą majątków, a nawet i do zaszczytów i dostojęństw w narodzie“.

„A tobym też rad wiedzieć, jaką sztuką oni do tego dochodzą?“

„Opowiem wam to kiedy swobodnym czasem, bo dzisiaj już na dłuższą gawędę za późno“.



Część II.

OPOWIADANIA JANKOWE.

XIII. Jak człowiek dorabiał się bogactwa.

Nastala jesień, a z nią dłuższe wieczory. Do gospody chrześcijańskiej w Dąbrówce zaglądali ludzie przez ciekawość samą, z początku po kilku, później po kilkunastu, i ci rozpowiadali potem po wsi jakie ciekawe rzeczy wieczorami opowiada tam Janek lub czyta. Opowieści te zaczęły nęcić do gospody coraz więcej ludzi tak, że pod jesień, gdy wieczór zapadł, a lampę jarzącą zapalono w gospodzie, cała już wielka izba napelniała się ludem, wszystkie ławy obsiedzone bywały przez starych i młodych, przez mężczyzn i przez kobiety, które z kązielami przychodziły i słuchając opowiadania przędły.

Razu jednego, gdy izba cała napelniła się gośćmi, rzecze do nich Janek: „Opowiem wam dzisiaj o tem, jak to ludzie od wieków zaczynali dorabiać się bogactwa:

Dawniej, póki ludzi na świecie było mniej — choć świat niby cały stał człowiekowi otworem — trudniej

było ludziskom żyć niż dzisiaj, i żyli też nielepiej od zwierząt. Gdy w jednym miejscu za ciasno już im było, rozechodzili się dalej w niezajęte jeszcze przez nikogo pustynie. Tu żywili się jagodami dzikimi, jakie na drodze spotkali, a nocowali na drzewach albo w jaskiniach. Ale i na drzewach i w jaskiniach tych spotykali się często ze zwierzętami mocniejszymi od siebie, z którymi w obronie życia walki staczać musieli. W tych walkach wyginałby był słaby ród człowieczy z krete-sem, gdyby w rozumie swoim nie był szukał ratunku. Więc poznał człowiek, że nie mając kłów ani pazurów takich jak niedźwiedź lub ryś, musi wymyśleć sobie broń, któraby siłę jego zwiększyła. Pierwszą bronią taką była pewnie gałąź mocna w lesie wyłamana, potem kamień ostry znaleziony przypadkiem. Potem, gdy trudno było znaleźć często kamień podobny, nauczył się człowiek sam go sobie zaostrzać, szlifując kamień o kamień. Krzemieniem takim w rozszczepaną gałąź wsadzonym, mógł już łeb zwierzęciu dzikiemu roztrzaskać — a mógł i drzewo do użytku strugać i łupać. Trąc kiedyś długo drzewo twarde o miękkie, spostrzegł dym, potem ogień buchnął mu nagle... Pierwszy człowiek, któremu się to wydarzyło, przestraszył się pewnie sam mocno. Ale gdy się nad tem zastanowił i rozmyślił, zaczął ognia tego używać do różnych posług dla siebie: więc odstraszał nim w lesie zwierzęta drapieżne od miejsca swego noclegu, i sam się przy ogniu tym grzał i mięso zwierząt ubitych piekł. Nie mając od natury na ciele kudłów, któreby go od zimna i słoty chroniły, wpadł człowiek na myśl odziewania się ciepłą skórą zwierząt zabitych, których mięsem teraz się żywił. Nie znając innego pożywienia nad jagody

leśne i zwierzynę ubita, za nią uganiając i z miejsca na miejsce się ciągle przenosząc — nie pomyślał człowiek jeszcze o budowaniu sobie stałych mieszkań, któreby go przykuwały do miejsca. Tak, na pół dziko żyjących ludów, było dawniej na świecie dużo, a i dziś jeszcze podobne ludy spotykają marynarze na wyspach.

Ale im człowiek przemyślniejszym się stawał, im broń lepszą wymyślał i im więcej w użyciu jej się wprawiał, — tem częściej udawało mu się zabijać. Ludzi przybywało na ziemi, a zwierzyny ubywało coraz. Z głodu zaczęli ludzie jedni na drugich napadać, odbierać sobie upolowaną zwierzynę, a nawet w braku zwierzyny jedni drugich pożerać. Więc po rozum do głowy. Obrachowali przemyślni ludzie, że jak ciągle tylko polować będą, a innej gospodarki jakiej nie obmyślą — to pożywienia im w końcu zabraknie.

Więc co mądrzejsi zaczęli łapać młode zwierzęta łagodniejszej natury, przyswajając je i pod opieką swoją hodować. Tak dały się najprzód przyswoić owce, które dawały człowiekowi i mleko i mięso i kozuch. Później obłaskawił bydło rogate, które oprócz mięsa i mleka, dało mu skóry wielkie do budowania namiotów. Mając już trzody, wychodzili ludzie z niemi z lasów, szukali łąk i pastwisk bujnych nad rzekami i mogli już dłużej trochę na jednym miejscu popasać. Ale także nie bardzo długo — bo gdy trawę bydło wyjadło, trzeba było wynosić się dalej i namioty z sobą zabierać. Wtedy poznał człowiek, że zdalyby mu się i takie zwierzęta, któreby mu ciężary nosić pomogły — i przyswoił sobie pomału osły, wielbłądy i konie.

Nie wszyscy ludzie przecież przyszedli równocześnie na myśl, żeby dolożyć starania i przyswajać sobie pożyteczne zwierzęta. Jedni już nowe życie pasterskie rozpoczynali, gdy drudzy jeszcze w myślistwie dawnym szczęścia szukać woleli. Kiedy zaś szczęście im nie dopisało, a głód dokuczać zaczął, to napadali na spokojnych pasterzy, staraniem ich wyhodowane trzody im kradli, a nierzadko i broniących swojej własności zabili. Tak, że czas długi jeszcze pasterze przed myśliwcami w odległe stopy uciekać i kryć się z trzodami swojemi musieli — a dla obrony mienia swojego w większe łączyli się hordy.

Pasterze owi, pilnując trzód swych i przez czas dłuższy na jednym zatrzymując się miejscu, miewali czasu dużo do rozmyślenia nad sobą. Więc i co do bezpieczeństwa i co do wygody własnej, wymyślili znowu niejedno, czego dawniej w stanie myśliwskim nie znali. Rozmyślając, nauczyli się z kości lub z drzewa robić iglice, a z jelit baranich sznurki i już mieli czem wiązać sobie namioty i zeszywać kożuchy ze skór. Patrząc po niebie, nauczyli się gwiazdy poznawać i podług nich kierować się w nocnych swoich wędrówkach. Psa, którego już i myśliwiec do polowania przyswoił, oni teraz nauczyli bronić trzody od napaści zwierząt dzikich i ludzi.

I lepiej już zaczęło być ludziskom na świecie: Głodu nie było, bo z licznych trzód zawsze można było coś zabić. Zimno nie dokuczało, bo szyte kożuchy zabezpieczały od mrozu. Słota nie nękała, bo namioty ze skór zasłaniały od niej skutecznie. Rozboju nie bali się też, bo gromadami wielkimi chodzili... Życie więc było już znośniejsze niż dawniej i spokojniejsze i wygodniejsze o wiele.

Ale cóż! Trwać tak wieki nie mogło. Bo gdy dla obrony od napaści łączyło się pasterzy wielu z trzodami swemi w gromady, zaczęło coraz więcej paszy brakować dla tych trzód. W lecie pół biedy jeszcze: co tydzień posuwano się z namiotami na stepie dalej, i jakoś przeżywiało się bydło — ale w zimie, gdy z pod śniegu wygrzebywać przyszło suchą trawę lub mech, zdechało z głodu biedactwa wiele... Trzebaby temu jakoś zaradzić, rozmyślali pasterze — i nauczyli się w lecie trawę żyznąć, na siano suszyć i przechowywać na zimę. Bieda już tylko była w tem, że postawiwszy stogi na stepie, a sami dalej idąc, bez opieki żadnej zostawiać je musieli. I zdarzało się nieraz, że odszedłszy daleko, po pół roku w zimie trafić do nich nie mogli, albo znalazłszy miejsce, stogów na niem nie znajdowali, bo im je inni pasterze zabrali... Z czasem znalazła się rada i na to.

Mając przy pasterskiem zatrudnieniu swoim czasu wiele i na rozmyślanie i na przypatrywanie się dziełom Boskim w naturze — zauważyli i to także, że gdzie jesienią ziarno trawy upadnie, a deszcz je w ziemię wklepie: tam na wiosnę z tego ziarnka źdźbło wyrasta i kłos z podobnemiż ziarnkami. A że już nieraz co grubsze ziarna traw jeść próbowali i przekonali się, że pożywne i smaczne — więc to zachęciło ich do próbowania, czyby pomagając naturze, więcej tych dobrych ziarn mączystych rozmnożyć się nie dało? Więc robili tak, jak to przyroda sama robi: Wyrzäsali ziarnka dojrzałe na ziemię i wklepywali je w nią. Gdy ziemia była twarda, że się wklepać nie dało, to kijem albo kością ostrą poruszyli ziemię, spulchnili. Miejsce to zapamiętali sobie pasterze, ogrodzili i poszli dalej z trzodami. Ale

jakaż była ich radość, kiedy na to samo miejsce wróciwszy, znaleźli z każdego posadzonego ziarna wyróżniony krzak o kilku lub kilkunastu kłosach, a w każdym kłosie po kilkadziesiąt ziarn!... Zrobiwszy to doświadczenie raz i drugi, częściej i coraz więcej zasiewać zaczęli, zawsze do tego trawy o najgrubszym i najmączystszym ziarnie wybierając. Tak zaczęła się na świecie uprawa najpierw jęczmienia, potem pszenicy, żyta i owsa. Z biegiem lat robili ludzie dalej doświadczenia różne. Doszli, że im lepiej ziemię przed siewem się spulchni, tem większe i obfitsze rodzą się na niej kłosy. Doszli, że większy urodzaj bywa na miejscu stratanem i zanieczyszczonem przez bydło. Doszli, że jedne gatunki zbóż siać należy z jesieni, a drugim sprzyja siew wiosniany. Doszli, że więcej urodzi się zboża, gdy inne trawy i chwasty między niem się wygubi. Doszli nareszcie, że siejąc i zbierając ziarno dla siebie, otrzymują zarazem słomy wiele na paszę zimową dla bydła.

Poznali też ludzie dalej, że mając już zapewnioną żywność z uprawianego ziarna i mniej już przeto potrzebując mięsa, mniejszemi odtąd koło domu mogą się obywać trzodami. Więc znowu rozmnożeni rozdzielali się: Jedni, którym dawne próznicze życie podobało się lepiej, poszli z trzodami swemi szukać pastwiska dalej. Drudzy, którym się życie koczownicze i włóczego sprzykrzyła, a *których praca nie odstraszała*, woleli z cząstką bydła zostać na miejscu i w pocie czoła dorabiać się chleba.

Tak wzniósł się człowiek na trzeci cywilizacyi stopień — z pasterza stał się *rolnikiem*.

XIV. Ustalenie własności.

Ziemi raz wyrównanej, spulchnionej, umierzwionej, z krzaków i chwastów oczyszczonej, żal już było ludziom porzucać. Przytem poznali, że mając żywność zapewnioną z ziarna i mniej już potrzebując mięsa, mniejszemi odtąd koło domu obywać się mogą trzodami. Więc znowu rozmnożeni ludzie rozdzielali się: Jedni, którym się życie koczownicze i ciągła włóczęga sprzykrzyła, woleli z częstką bydła zostać na miejscu i pracą rąk dorabiać się chleba. Inni, którym dawne próżniacze życie podobało się lepiej, poszli z resztą bydła szukać pastwiska dalej.

Na miejscu osiadli rolnicy pomyśleli teraz o wygodniejszych dla siebie mieszkaniach. Gdzie był blisko las, to z drzewa — gdzie go nie było, to z kamienia — gdzie i tego brakło, to z ziemi — budować sobie zaczęto chaty, na których długo jeszcze ze skór bydłych były robione dachy, bo nie umiano zrobić ich z czego innego. Z czasem poznał człowiek i to, że skóry na coś lepszego się przydadzą, a że słoma mocno w kiczki wiązana i ciasno ułożona, przykryje dom równie dobrze od słońca. Koło chat porobiono dla bydła zagrody, żeby się nie rozbiegało po stepie. Latem pasiono je w pobliżu a na zimę słomę i siano chowano w stertach dla niego.

Dalej nauczył się człowiek osiadły rozcierać ziarna na mąkę, a z niej wypiekać placek i chleb; z roślin rozmaitych otrzymywać włókno, a z niego znowu robić nici, sznury i tkaniny. Podobnież wełnę owczą nauczył się człowiek prząść i robić sobie z niej odzież. Grzebiąc

w ziemi odkrył w niej różne rudy, które topiąc w ogniu otrzymywał metale: najprzód poznał cynę i miedź, później nauczył się wytapiać żelazo. Z metalów tych nauczył się przemysłem i dochodzeniem wyrabiać rozmaite narzędzia, które mu pracę około ziemi ułatwiały i w innych czynnościach wielce pomocnymi były. Z żelaza zrobił sobie siekierę, dłuto i nóż — miał czem bez mordegi wielkiej drzewo ciosać, zwierzę zakłuć i siebie obronić w potrzebie. Z żelaza zrobił też motykę i rydel, czem ogromnie ułatwił sobie spulchnianie ziemi, nie musząc już jak dawniej kijem i palcami w niej dłubać... A kiedy jeszcze później sochę i pług wymyślił i zwierzęta doń zaprzął, to już ulgę wyświadczył sobie setną — i mógł teraz dziesięć razy tyle pola uprawić, niż dawniej dziesięcioma palcami.

Łatwo to dzisiaj — mówił Janek — w jednej godzinie albo w dwóch opowiedzieć wam: jak człowiek ten dawny rozumem, przemyślnością i pracą dorabiał się tych wszystkich rzeczy po trochu i dołą swoją coraz poprawiał. Ale pomyślcie jeno, ile to pokoleń minąć musiało i jedno drugiemu myśli i doświadczenia swoje przekazywać — i wiele to czasu upłynąć musiało, nim oni ludzie dawni na wszystkie pomysły owe przyszli, nim je wykonać i spraktykować potrafili — i wiele to biedy, nędzy, głodu i znoju przenieść musiał ród ludzki, nim z dzikiego myśliwca i z na pół dzikiego włóczęgi pasterza, przeistoczył się nareszcie w osiadłego rolnika.

Praca milionów ludzi i tysięcy pokoleń składała się na to wszystko, co nam dzisiejszym rolnikom służy, co my na świat przychodząc zastajemy już w koło siebie gotowe, wymyślane, wypróbowane i zrobione. To

też dzisiaj, gdy pomyślimy sobie o onych pierwszych rolnikach przedwiecznych, którzy dopiero co z pasterkiego życia na rolnictwo się przerwili, wydawać nam się oni muszą wielkimi nędzaczami... I tak było w istocie, w porównaniu z nami, dzisiejszymi ludźmi. Ale w porównaniu z tymi, co żyli z nimi współcześnie, a jeszcze roli uprawiać nie umieli — byli owi rolnicy już *bogaczami* całą gębą.

Widzieliśmy, że człek, co z samego polowania żył — nie miał własności żadnej: co zabił dziś to i zjadł, resztę rzucał, bo ani schować nie miał gdzie, ani nosić ze sobą długo nie mógł.

Pasterz niby to już posiada coś na własność, bo ma owce, krowy i konie. Ale własność to bardzo niepewna i utrzymanie życia niepewne: dziki zwierz pomimo czujności pasterzy i psów, chwytą mu i rozdziera jedną sztukę po drugiej. Myśliwcy rabusie wpadają i zabierają niekiedy wszystko, co długim mozołem sobie przychowal. Wreszcie wędrować musi dniami i nocami za paszą: zabłąkał się nieraz w pustyni, zalażł na grzędzie moczary, zgubił bieg rzeki, nie znalazł wody, nie znalazł paszy, i wyzdychała mu trzoda, która całym jego była bogactwem. I znowu biedny pasterz od początku dorabiać się musi, albo z głodu napowrót myśliwskiego imać się musi rzemiosła.

Inaczej *rolnik*. Ten zrozumiał, że do bogactw surowych, jakie Pan Bóg rozsiał w przyrodzie, człowiek dołożyć musi ciężką, wytrwałą i przemyślną pracę, by te bogactwa trwale sobie przyswoić. On też pierwszy dopiero przestał cierpieć głód, i on pierwszy posiadał *ustaloną własność*, którą mógł dzieciom swoim przekazać.

On z doświadczenia już wiedział, że jednego roku urodziło mu się więcej, innego mniej — więc z roku na rok zachowywał sobie od wypadku i ziarna trochę i przedziwa i skór. Stawiał chatę, która na lat kilkadziesiąt wystarczyć mu miała. Robił sobie narzędzia i sprzęty, które wiek jego przetrwały. Przychowywał bydła nie tak na los szczęścia, jak koczowniczy pasterz, lecz pod ochroną ogrodzenia i dachu, karmiąc z ręki, osłaniając przed słońcem, przed napaścią, przed mrozem i przed głodem. To też przychowywał ich więcej niż zużytkować mógł, i dzielił je między dzieci przy śmierci. To wszystko było jego *własnością*, jego *bogactwem*, jego *oszczędnościami* z lat dawniejszych na lata przyszłe.

Toż nie dziw, że ludzie, którzy często bywali głodni i własności żadnej prawie nie posiadali, którym pracować się nie chciało a oszczędzać nie umieli — zazdrościli rolnikom ich dostatków i próbowali im je wydzierać.

Gdy uznojoną pracą rolnik odpoczywał po trudach, myśliwcy i pasterze napadali go nocą bandami całymi, kradli mu zboże zachowane, kradli mu bydło, zabierali narzędzia, jakie sobie porobił, a nierzadko i samego zabili, gdy w obronie mienia swojego chciał stawać.

Więc rolnicy rada w radę pomiędzy sobą, jakby od napaści się bronić. Więc stawiają chaty przy chatach, więc otaczają je częstokołem lub parkanami mosenami, młodzież swoją uzbrajają w maczugi i kosy i wzajemnie przyrzekają się bronić. Mało tego, bo czasem i ludność wioski całej za szczupłą bywa do odparcia najazdu. Więc kilka wiosek sąsiednich, choć o milę od siebie odległych, zawiera z sobą przymierze,

że jedna wieś drugiej na pomoc pospieszy, gdy ognie zdaleka zobaczy, na słupach wysokich pozapalane na znak. I zdarzało się teraz, że rabusie choć licznie wioskę jaką napadli, obskoczeni byli przez rolników zbrojnych, ze wszystkich stron na pomoc nadbiegających, i byli przez nich pobici, odparci i do ucieczki zmuszeni.



XV. Początek władzy, rządu i prawa.

Tymczasem ludność rolnicza rosła, ziemi coraz więcej w posiadanie brała, gospodarstwa swe rozszerzała, pastwiska odwieczne pruć pługiem, lasy paliła, pniaki korczowała i pracą ciężką dzikie ziemie przerabiała na urodzajne pola.

Nie podobał się taki porządek rzeczy próżniakom, którzy bez pracy żyć chcieli, a dorobek ludzi pracowitych na swoją korzyść zagarnąć pragnęli. Widząc, że już pojedynczemi bandami rady rolnikom broniącym się nie dadzą, postanowili połączyć się w hordy wielkie, pasterze z myśliwcami pospołu, i iść niszczyć ogniem i mieczem wszystkich spokojnych rolników sadyby.

Najmądrzejszego z pomiędzy siebie wybrali *królem* swym; żądali, by ich na tę łupież prowadził i tak mu rzekome krzywdy swe przedstawiali: „Gdy my tylko z myślistwa żyjąc, nie posiadamy nic, dniem i nocą za zwierzem uganiać się musimy, życie codziennie na niebezpieczeństwo narażamy i bardzo często głód rodzinom naszym doskwiera — ci ludzie tam pousado-

wiali się wygodnie, latem i zimą mają jedzenia i odzienia dostatek — to jest niesprawiedliwość wielka!“ Pastarze znowu wołali: „Królu, i na nas biednych miej wzgląd. Ci ludzie tam pozajmowali i poorali pastwiska, na których nasze trzody żywiłyby się mogły. My ziemi nie przywłaszczamy sobie, tylko użytkować z niej chcemy w pochodzie — dlaczegoż oni przywłaszczają ją sobie chcą, płotami bronią do niej naszemu bydłu przystępu i nas od jej użytkowania odpędzają? To jest niesprawiedliwość, której koniec położyć potrzeba“.

„Precz z własnością!“ — wykrzykiwały rozwścieklone tłumy. „Precz z płotami, ogrodzeniami i domami! Ziemię tak samo jak wodę, jak powietrze, jak słońce Pan Bóg dla wszystkich dał, wszyscy więc równo z niej użytkować mają prawo“.

„Uspokójcie się ludzie! — zawoła na to mądry król — i posłuchajcie z uwagą, co powiem. Prawdę mówicie, że wszystko, co jest na ziemi, oddał Pan Bóg miłościwie ludziom na użytek — ale prawdą jest i to, że rozkazał im, by bez krzywdy bliźniego, rozumem i pracą pożytek z tego sobie ciągnęli. Niema mocy człowieka z niczego coś stworzyć — ale ma moc te rzeczy, które Pan Bóg dla niego stworzył, przerabiać przemysłnością swoją na swoją korzyść. Prawo brania i przerabiania tych rzeczy służy zarówno każdemu: kto pierwiej nieczyją rzecz jakąś w posiadanie weźmie i ją do użytku swego przerobi, ten prawym jej właścicielem stał się. Tak ty myśliwcze, gdy biegałeś po lesie, który jeszcze nieczyją własnością nie był, gdy ścigałeś w nim jelenia i zabiłeś go — masz prawo go zjeść — i przykroby ci pewnie było, gdyby przyszedł kto inny

i odebrał ci tę zdobycz, na którą ty sam pracowałeś... Tak ty pasterzu, albo ojciec twój albo dziad miał trudno nie mało, nim młode zwierzę dzikie złapał, obłaskawił, przyswoił, żywił i od napaści bronił. Już cieszysz się widząc, że wyrosło, rozmnożyło się, i że teraz wełną i mlekiem, albo mięsem i skórą wynagrodzą ci się długie trudy na wyhodowanie jego podjęte... Czyż uznałbyś za sprawiedliwe, żeby przyszedł inny człek i to mozolnie wychowane bydłę ci zabrał?

„A wy domagacie się dziś po mnie, bym was prowadził na rabunek owoców pracy rolnika? Tego bydła, które on nie po pastersku w próżniactwie, lecz po gospodarsku z ręki i z pracy własnej wykarmił. Tego chleba, na który on w pocie czoła pracował przez cały rok; na który ziemię pracowicie spulchnić wpierw musiał, ziarno zasiać, rosnące od szkód bronić, potem zeżąć, omlócić, wyczyścić, między dwoma kamieniami na mąkę zetrzeć i dopiero w piecu go upiec. Czyż to sprawiedliwością nazywacie, żeby ten chleb tak pracowicie przez rolnika nabyty, jemu wydarty był, a do zjedzenia dany próżniakom, którzy nie pracowali na niego?“

„Ależ ziemia! ziemia! — wołały tłumy — jakim prawem ziemię rolnik sobie przywłaszcza?“

„A wy czyż nie przywłaszczacie jej sobie? rzecze król. Dopóki ludzi na świecie było mniej, mogło здаwać się wam, że wszyscy używacie jej równo. Ale gdy już ród ludzki się rozmnożył i gęściej ziemię obsiadać zaczął, okazało się rychło, że przy życiu na pół dzikiem, dawnem, za ciasno zaczyna być ludziskom. Czyż ty myśliwcze ścierpiałbyś, żeby drugi łowiec wpadał do lasu, w którym ty oddawna polujesz i wybijał albo ploszył zwierzęta, które ty za swoje uważasz? Czyż ty

pasterzu zgodziłbyś się na to, żeby na pastwisko, które sobie wybrałeś, wtargnął ze swemi trzodami drugi i wypasł ci je przed nosem? Wszak broniłbyś je, odpędziłbyś natręta, powiedziałbyś mu, że to twoje, boś pierw w posiadanie wziął. — A cóż dopiero ziemia rolnika, która setną częścią mniejsza od twych puszczy myśliwce, a dziesiątą częścią ledwie twoich stepów pasterzu — a w którą on pracy swej 10 i 100 razy więcej włożył, niż wy w szerokie wasze obszary. Czyż niema on większego od was prawa powiedzieć wam: „To moje! Ja usiadłem na ziemi, która dotąd była niczyja. Ja własnymi rękami, z drzew, krzaków, pniaków i chwastów oczyściłem ten mały ziemi kawałek. Wybierałem z niego kamienie i korzenie. Ogrodziłem go od zwierząt dzikich i ludzi dzikich napaści. Skruszyłem twardą tej ziemi skorupę narzędziami, jakie sam wymyśliłem i zrobiłem. Skropiłem tę ziemię potem moim, który mi z czoła kapał wśród pracy takiej twardej, o jakiej wy nawet i pojęcia nie macie. Naniósłem na tę ziemię gnój zwierząt moich i rozmięszałem go z rozkruszoną skibą. Wrzuciłem w tę ziemię ziarna najlepsze, które z przeszłorocznej pracy mojej nie zjadłem, lecz zaoszczędziłem. I oto rośnie mi z niego dzisiaj nadzieja plonu bujnego — i oto ta ziemia, dawniej dzika i nieurodzajna, dziś przez pracę moją przyswojona, zaczyna odplacać mi wdzięcznie trudy moje, jakie w nią włożyłem. A wyż chcecie dziś, bym zaprzepaścił całą długoletnią pracę, bym oddał wam tę ziemię na to, żebyście znowu zrobili z niej dzikie, nieurodliwe pustkowie?

„Tobie łowcze mila kwadratowa puszczy nie wystarczy na to, byś wyżywił siebie zwierzyną w niej ubitą. Tobie pasterzu włóka ziemi nie wystarczy, byś

wypaśł na niej swe trzody. A mnie rolnikowi parę morgów ogrodu wystarczy na dostatnie wyżywienie się, jeżeli pracy dołożę i jeżeli wy nie zniszczycie mi tej pracy mojej owoców.

„Zazdrościcie mi moich dostatków — to róbcieź tak samo jako ja robię. Porzucie próżniacze wasze zajęcia, bierzcie w posiadanie ziemię koło mnie, która nie jest jeszcze niczyją, pracujcie na niej tak jak ja — a możecie być równie szczęśliwi“.

„Tak odpowiedziałyby wam rolnik, gdyby słyshał te mowy wasze — i ja król wasz powtarzam wam to samo. Wybraliście mnie wodzem waszym i panem. Posłuszeństwo przysięgliście mi. Ja z prawa mi danego użytek zrobię taki, że zamiast prowadzić was na rozboje i łupież, szczęśliwymi chcę was uczynić. Więc nakazuję wam porzucić próżniacze myśliwskie i pasterkie rzemiosło, które dziś już dostatecznego utrzymania wam nie daje, a jąć się pracy rolniczej jak tamci. Ziemię, która jeszcze właściciela niema, w posiadanie bierzcie, ile jej obrobić zdołacie, dary Boże uczciwą pracą wydobycie z niej, w pracy i w obronie nawzajem pomagajcie sobie i żyjcie obok siebie w zgodzie i miłości braterskiej. Kto mnie nie posłucha, tego surowo karać będę i do posłuszeństwa nowemu prawu przymuszę“.

Tak mówił mądry król — a naród cały poznał, że to głos Boga przez jego usta mówił. I poszli wszyscy za rozkazaniem króla. I usadowiły się na ziemi liczne nowe osady obok dawnych już doświadczonych rolników i uczyły się od nich: jak to na małym ziemni kawałku siedząc, a Panu Bogu pracą swą i dobytek swój w opiekę oddając, można bez krzywdy bliźniego zdobywać sobie bogactwa.

Rolnicy dawniejsi także rozum króla onego poznawszy, jego się rozkazom poddali i władzę jego nad sobą uznali. Król rozciągnął opiekę swoją nad wszystką okoliczną ziemią i wydzielał z niej łanki później dzieciom rolników, które dorastały, i nowym ze świata zgłaszającym się ludziom.

Ziemi było wtenczas dużo jeszcze niczyjej, brał z niej każdy w posiadanie, ile zapragnął, ile obrobić mógł. Ten, co był sam, brał morgę albo dwie — ten, co miał rodzinę liczną, brał morgów 10 i 20 i więcej. I budowali się w pobliżu jeden drugiego, a ztąd powstawały wsie. Gdy ludność rozmnożyła się we wsi i chleba dla niej zaczynało być skąpo, rozchodzili się młodzi dalej, by opodal nową ziemię zajmować i nową wioskę założyć.

I tak z biegiem czasu, z biegiem lat i wieków całych rozebrali ludziska dawno ziemię wszystką pomiędzy siebie i poumieszczali się na niej.

Po królu onym mądrym nastąpiło wielu innych królów, po ludziach onych nastąpiły dzieci, wnuki i prawnuki i odziedziczali po nich i ziemię te i te chaty i te narzędzia i doświadczenia ich — do których znowu każde pokolenie coś dodało, bo coś w ziemi nowego znalazło, czegoś nowego nauczyło się przez życie i wymyśliło coś nowego na pożytek swoich znowu następców.

Razu pewnego zwołał król starszych ludzi ze wszystkich sobie podwładnych wsi i w te słowa do nich przemówił:

„Dziecię ludzkie rodzi się nagie, słabiutkie, nieporadne i niemowe i potrzebuje przez lat kilkanaście opieki kochającej, nim wyrośnie, wzmocnieje i nauczy się samo sobie na świecie radzić. Przez to dał wam

poznać wasz Stwórca, jak potrzebną jest w gospodarce ludzkiej *rodzina*, któraby się w pracach wspólnych wspierała i potomstwo wychowywała poczciwie. Ależ choć mocniejszym od dziecięcia, przecież słabym jest i człowiek dorosły sam, wobec ogromnych sił przyrody i wobec nieprzyjaciół różnych, z którymi mu się na świecie spotykać przychodzi. Więc jak tam dziecięciem małym opiekuje się ojciec, matka i rodzina cała — tak ludzie starsi i rodziny pojedyncze opieki szukać powinny w *gromadzie*. Bo gromada to wielki człowiek. Gdzie nie poradzi rodzina, tam podola gromada — tak jak pręt jeden złamać jest łatwo, ale sto prętów związanych w gruby snop, nie przełamie mocarz choćby największy.

„Ale bywają sprawy trudniejsze jeszcze, gdzie i gromada całej wsi trudnościami nie podola, jak na przykład bronienie się od napaści liczego nieprzyjaciela, budowanie dróg od jednej wsi do drugiej, budowanie kościołów wielkich, w których po kilka lub kilkanaście gromad wiejskich mogłoby się na modlitwy schodzić i naukę Bożą posłyszeć — do takich spraw gromady łączyć powinny swoje siły. Wy wszyscy, którzy jedną mówicie mową, jesteście jednym *narodem* — a wszystka ziemia, którą zamieszkujecie, jest wspólną waszą *ojczyzną*. Ojczyzna ta składa się z wielu gmin i parafij, ale całą jak długa i szeroka obowiązkiem jest waszym miłować, dobra jej pragnąć i od najazdów obcych bronić.“

Rychło jednakże przekonali się ludzie, że nie tylko obcy najezdnik jest straszny — ale że również i od swojaków niektórych trzeba się mieć na baczności. Niejeden przeproźniaczył czas siejby, późno i niedbale

zasiane ziarno nie urodziło mu, więc zapragnął wydrzeć sąsiadowi pracowitemu, który chleba miał więcej. Niekiedy nawet cała wieś jedna szła na rabunek bydła do drugiej, gdy swoje pozjadała albo głodem wymorzyła z niedbalstwa.

Więc znowu zwołał król ludzi i gromady całe i rzecze: „Tak moi ludzie być dalej nie może. Należy w gminie każdej i w ojczyźnie całej wprowadzić jakiś ład, żeby każdy, kto pracuje, był pewny swojej własności, i żeby próżniak nie mógł pracowitego obdzierać. Więc naradzcie się i postanówcie sobie *prawa*, którym wszyscy na przyszłość posłuszni będziecie. Kto przeciwko tym prawom wykroczy, niech przykładnie ukarany będzie“.

I rzekną na to ludzie: „A na cóż my prawa jakie nowe stanowić mamy, kiedy w dziesięciorgu przykazaniach sam Pan Bóg mądrze już je postanowił. Nam chyba przystoi tylko kary wyznaczyć na tych, którzyby te przykazania gwałcili — i *sądy* wybrać, któreby nad sprawiedliwością czuwały“.

Ustanowiono tedy kary na przestępców, które nawet o wiele sroższe były w onych czasach niż dzisiaj, bo życie ludzkie niewiele sobie wówczas ceniono i za byle co najczęściej gardłem karano. A żeby prawo to powagę miało i sumiennie wykonywane było, wybrali ludzie w każdej gromadzie urzędników i sędziów, a z każdej gromady znowu wyższych urzędników i wyższych sędziów, których królowi do pomocy w rządzeniu krajem całym przydali, i którym posłuszeństwo przyrzekli. Tak powstał *rząd*, który spory ludzkie miał sądzić, o dobro wszystkich ludzi dbać i obronę wszelką im dawać.

Wprędce potem przekonali się ludzie, że niedo-
godnie to w razie napadu nieprzyjaciela odrywać się
rolnikom wszystkim od pracy, rzucać na los opatrności
domy swoje, a biegnąć zagrożonym innym wioskom na
pomoc. Więc uradzili, że wołą z każdej wioski dać
królowi po kilkunastu ludzi młodych, którzy ciągle
uzbrojeni, jako *wojsko*, czuwać będą nad bezpieczeń-
stwem kraju od napaści zewnętrznych.

Dalej poznali, że i od złodzieja domowego w kra-
ju albo w gromadzie, lepiej żeby stróżowali osobni do
tego odstawieni ludzie, niż żeby każdy rolnik co nocy
sam czuwać i pilnować się musiał. Tak utworzyli sobie
ludzie straż bezpieczeństwa publicznego: *żandarmeryę*
i *policyę*.

„Bo cóż po pracy i zabiegach naszych — mówili
— co po tem, że my staramy się nie zjeść wszystkiego,
co zarobimy, że część pracy naszej odkładamy, by mieć
co dzieciom po sobie zostawić, jeżeli pewności niema,
czy nam kto tego nie wydrze“.



XVI. Gawęda o podatkach i drogach.

Kiedy już ludzie rząd nad sobą ustanowili i wy-
brali z pomiędzy siebie najmądrzejszych ludzi, by nimi
rządzili i sądzili, a najsilniejszych, by ich od napaści
bronili — rychło przyszedł naród do przeświadczenia,
że tych obrońców i opiekunów swych, wspólnemi siła-
mi jakoś wyżywić musi.

Bo wiemy — mówili — że ci, co nas strzedz, bronić, pilnować i sądzić będą, jak również i ci, co dzieci nasze uczyć lub nam słowo Boże opowiadać mają, sami już na roli pracować nie będą mieli czasu. Więc my, spokojnie pod ich opieką pracujący, złożymy się każdy po trochu na nich. Wolimy płacić za bezpieczeństwo życia i własności naszej, niż samemu ciągle na straży stać i codziennie życie nasze narażać.

Tak powstały *podatki*. Dawniej składano je królowi w zbożu, przedziwie, wełnie, skórami, bydłem żywym albo mięsem ćwierciami — dzisiaj jak wam wiadomo, płacimy je w pieniądzach.

„Oj te podatki! te podatki! — zawołało naraz kilku ze słuchających gospodarzy. I u nas w Dąbrówce jak zapamiętamy, to prawie z każdym rokiem coraz więcej płacić nam każą. Już się ludziom nieraz i przykrzy płacić i płacić, a niewiadomo nawet, na co te pieniądze idą“.

„Dawniej mogło to być niewiadomo — odrzeczł Janek — ale dziś na to wybieracie do Sejmu i do Rady państwa posłów, żeby przekonywali się, gdzie się te pieniądze podziewają, żeby pilnowali, by podatki obracane były na pożytek tych, którzy je składają, i żeby rozdział podatków pomiędzy płacących je, był sprawiedliwy. Dlatego też i przy wyborze posłów baczcie dobrze, kogo wybierać, żeby był i rozumny i uczciwy i potrzeb krajowych świadomy.“

„A pocóż to tyle gatunków różnych tych podatków? — zapytał niezadowolony Walenty. Jakies pośrednie i bezpośrednie, jakies konsumcyjne, zarobkowe, dochodowe, gruntowe, domowe, państwowe i gminne i Bóg wie jak ich tam jeszcze zowią?“

„Właśnie dlatego różne są — tłumaczy Janek — żeby nikt nie mógł się od płacenia uchylać i żeby potrzebna suma podatków na wszystkich sprawiedliwie rozłożoną była. Bo jakby sam jeden tylko podatek gruntowy postanowiony był, to tylko rolnicy sami płaciłoby musieli za wszystkich. A tak jak dzisiaj są podatki ustanowione, to do dobra powszechnego przyczyniać się musi w równej mierze każdy: i ten co na roli pracuje, i ten co kamienieć w mieście ma, i ten co tylko pieniądze ma w szkatule, i ten co buty robi, i ten co handluje, i ten co szynkuje, i ten co pije, i ten co się procesuje. Jednym słowem wszyscy, którzy z opieki rządu korzystają, muszą się do utrzymania tego rządu przykładać.

„Podatki *bezpośrednie* są te, które każdy wprost rządowi płaci od tego, co posiada. A więc od gruntu, od domu, od zarobku i od stałego dochodu, jaki ma. *Pośrednie* znowu to są takie, które rząd ściąga naprzód od hurtownika, a ten je sobie potem od wielu ludzi odbiera.

„Bezpośrednie podatki *musi* każdy płacić, gdy przeciwnie pośrednie są po większej części takie, które ludzie z dobrej woli płacą, kto *chce*“.

„A któżby to chciał dobrowolnie płacić więcej, aniżeli koniecznie musi?“ zapytał Kuba.

„A przecież muszą być tacy — odrzekł Janek — kiedy te pośrednie podatki trzy razy więcej dochodu przynoszą rządowi, niż przymusowe bezpośrednie. I między nami jak tu jesteśmy, jest wielu takich, co z dobrej woli duże podatki pośrednie rządowi opłacają. Na przykład *wódka*: Rząd ściąga podatek ogromny od właściciela gorzelnii za wyrobioną okowitę. Ten sprzedaje ją

kupcom i zarazem odbiera sobie od nich ten podatek, który rządowi zapłacił. Kupcy sprzedają propinatorom na beczki, propinator albo szynkarz jego sprzedają ludziom na kieliszki — i ostatecznie podatek od wódki zapłacił rządowi nie gorzelnik, nie kupiec, nie szynkarz, lecz z dobrej woli ten, który tę wódkę wypił.

„Tak samo jest z *kawą*. Rząd bierze podatek wielki naprzód na granicy od kupca, który kawę do kraju przywozi. Ale ten kupiec płaci ów podatek chętnie, bo wie o tem, że znajdzie w kraju ludzi wielu, którzy kawę od niego odkupią i podatek przez niego opłacony mu zwrócą. Tak podatek od *nafty* płacą dobrowolnie ci, którzy wolą nią świecić aniżeli smolnemi szczypami. Podatek od *tytoniu* płacą dobrowolnie tylko ci, którzy od palenia fajki albo cygar wstrzymać się nie umieją. Podatek od *mięsa* opłacają ci, którzy wolą jeść rosół aniżeli żur... Nawet lenistwo i głupota ludzka opodatkowane są u nas: bo ogromne podatki co roku płacą rządowi dobrowolnie ci ludzie nierozumni a gnuśni, którzy bez pracy bogatymi staćby się chcieli i stawiają na *loteryę liczbową*.

„Jakie to sumy ogromne rosną ze zbytku, z niewstrzemięźliwości, z procesów i głupoty ludzkiej — to wyrozumiecie łatwo, gdy wam powiem, że z Galicyi rząd dostaje dobrowolnych podatków co roku: od samej wypitej *wódki* i *piwa* przeszło 3 miliony reńskich, za *stemple* przeważnie w procesach użyte 4 miliony reńskich, z *tytoniu* 7 i pół milionów, a z samej *loteryi* głupiej aż półtora miliona! Ileżby to lepszych a pożyteczniejszych rzeczy za te w błoto marnie wyrzucone pieniądze ludziska sprawić sobie mogli!... Ale widać, że i głupcy i leniwi i niewstrzemięźliwi też są na świe-

cie potrzebni — bo gdyby takich nie było, to o tyle więcej podatków płacićby musieli wstrzemięźliwi, pracownicy i mądrzy“.

„Ale na cóż te podatki takie wielkie potrzebne? Na co jeszcze powiększają nam ciągle?“

„Że wielkie to ani słowa — powiada Janek. I bez wątpienia mogłyby one być znacznie mniejsze, gdyby wszyscy ludzie na świecie i w kraju naszym dobrymi katolikami byli, prawa Boskie szanowali, według nauki Chrystusa Pana bliźnich jak siebie samych kochali i po cudzą własność nie wyciągali ręki.

„Ale niestety tak nie jest! Wojska utrzymanie kosztuje bardzo dużo, a rząd nasz musi trzymać go ciągle pod bronią moc, bo sąsiadów mamy niedobrych, mocnych, a na ziemię i bogactwa nasze łakomych. Z jednej strony grozi szyzmatyk Moskał, że z kozakami swemi wpaść może, gospodarstwa nam porabuje, kraj zniszczy i ludzi pozabija. Z drugiej strony Prusak luter przyczajony siedzi, dzisiaj to niby przyjaciel, ale któż wie, jakiby był, gdyby poczuł, żeśmy do obrony za słabi, on co od wieków zawsze na cudzą ziemię był łakomy... A to znowu, że podatki coraz to większe rząd nasz od nas wybierać musi, temu w znacznej części my sami dużo winni jesteśmy“.

„My sami? a to jakim sposobem?“

„A bo z wielu rzeczami, którebyśmy sami w domu, zgodnie i zjednoczonymi siłami zrobić sobie mogli, oglądamy się na rząd i domagamy się od niego, żeby on za nas robił. Wylewają gdzieś rzeki, obrywają nam brzegi, zalewają pola nasze i domy — wołamy do rządu: pomagaj nam, ratuj nas, muruj i podnoś brzegi, syp wały, reguluj nam bieg naszych rzek!... Mnóstwo

sporów sąsiedzkich drobnych, które przy dobrej woli zgodnie w domu zakończyć byśmy mogli, wywlekamy przed sądy i wołamy: Rządzie, daj nam sądów więcej, bo do tych, co są, nam chodzić za daleko; rób porządek pomiędzy nami, bo my sami nie możemy się pogodzić... To znowu wielu pomiędzy nami jest takich, co im się pracować nie chce, więc z lenistwa popadli w ubóstwo. A my zamiast, żeby każda gmina zaopiekowała się kilku ubogimi swoimi, wołamy zaraz: Rządzie dawaj pomoc biednym naszym, zakładaj dla nich domy przytulku i szpitale i domy dla ich dzieci... Wielu znowu z pomiędzy nas pracować nie chcąc, krzywdą ludzką chcieliby żyć. Więc znowu wołać musimy: Rządzie! policji i żandarmów więcej nam daj, buduj wielkie i kosztowne więzienia, łap i zamykaj do nich tych, co nam spokoju nie dają... Podatków, chociaż wiemy, że je zapłacić musimy, nie płacimy przecież prawie nigdy na czas — więc rząd musi dwa razy tyle urzędników do tego trzymać, żeby nas pilnowali, a opieszłych egzekwowali... Chcemy, żeby dzieci nasze się uczyły, ale mówimy, że nie stać nas na opłacanie nauki — więc: rządzie buduj nam szkoły i opłacaj nauczycieli... Chcemy kół i dyszłów po drodze nie łamać i karków nie kręcić — więc: rządzie buduj nam dobre drogi, buduj mosty, buduj koleje żelazne!

„O wszystko to wołamy do rządu i mamy słuszność, bo rząd na to jest, żeby dbał o nasze bezpieczeństwo, o nasze dobro i o nasze potrzeby. Ależ potem nie dziwujmy się, że w miarę tych żądań naszych rząd nam podatki podwyższa, boć to wszystko kosztuje pieniądze grube, a rząd ma na to tylko te, jakie my mu złożymy. Więc na to, co konieczne, dawajmy bez sze-

mrania — ale gdzie można rządowi roboty w czem oszczędzić, to go na wydatki nie wyciągajmy, a będzie i nam samym z tem lepiej.

„A już nadewszystko mniej procesujmy się, to mniej potrzeba będzie sądów. Mniej kradnijmy, to mniej będzie potrzeba więzień. Uczmy zawczasu dzieci nasze bojaźni Bożej, miłości bliźniego i pracy, to mniej będzie w kraju złoczyńców, mniej ubogich, mniej chorób i mniej procesów — na co wszystko dzisiaj ogromna część składanych przez nas podatków obracaną być musi i niepowrotnie bez pożytku przepada.“

„Toć przecie wszystkie podatki opłacone niepowrotnie ludziom przepadają“ — rzecze Katarzyna stara.

„O co to, to nie prawda, moi kochani, odpowie Janek. Są takie, które płacimy na to tylko, by się od nieszczęścia uchronić, te jakkolwiek też konieczne, giną dla nas bezpowrotnie. Ale jest wiele podatków takich, które idą na cele dla nas pożyteczne i te wracają nam się z powrotem. Wydatki, robione na szkoły, wracają się płacącym, bo dają ich dzieciom rozum, który ich uczy, jak można mniejszym trudem i mniejszym kłopotem wydobywać większe z darów Bożych korzyści. Wydatek na rzeki powraca nam się stokrotnie, bo nietylko broni pracę naszą od szkód i zalewów, ale nadto czyni rzeki splawnymi, ułatwia na nich transporta, a przez to pomaga ludziom do tańszego zaopatrywania swych potrzeb“.

„Ale już co ludzie plotą, że pieniądze, dawane na *drogi*, wracają z wielkim procentem — to tego nigdy zrozumieć nie mogą“ — odezwie się Ignacy stary, który z wielką uwagą przysłuchiwał się z kąta.

„Jakżeby wam to wytlómaczyć — odpowie mu Janek. Cobyście też powiedzieli o człowieku, który, mając przenieść kopę jabłek o milę drogi, rozkładał sobie tę robotę na sześćdziesiąt razy i nosił po jednym jabłku osobno?

„A toby był nierozważny i głupi“ odrzekł Ignacy.

„A czyż my nie robimy często tak samo? — mówi znowu Janek. Czyż nie wolimy po cztery korce zboża na wóz brać, konie pod tym małym ciężarem zabić, dyszle i koła łamać i po kilka dni w drodze męczyć — aniżeli raz dać trochę pieniędzy i pracy na naprawienie drogi, po której potem łatwoby było po 10 i po 20 korcy na parę koni brać na wóz.

„Dawniej, dawniej, nie było dróg żadnych na świecie, później ludzie powydeptywali sobie ścieżki, a jeszcze później, gdy już wozy wymyślili i bydłęta do nich zaprzęgli, powytkali sobie drogi szersze i mosty mocne pobudowali na rzekach. Z czasem przekonali się ludzie dawni, że murowane i kamieniami szutrowane gościńce są o wiele lepsze od polnych, błotnistych i dziurawych dróg. Aż w końcu wymyślili sobie jeszcze od gościńców lepsze koleje żelazne.

„To prawda, że im droga jest lepsza, tem drożej jej zbudowanie kosztuje. Ale za to tem tańsze potem jest używanie jej, jeżdżenie po niej i rozwożenie towarów ludziom potrzebnych.

„Ileżby to czasu zbawiło i pieniędzy kosztowało, żeby chcieć 100 korcy zboża na plecach ludzkich przenieść o kilkadziesiąt mil! Już o połowę taniej i prędzej przewiozą to zboże wozy lekkie po złej drodze — a jeszcze o połowę taniej i prędzej od tych ciężkie,

wielkie wozy klusem jadąc po dobrej drodze — a już jak biczem trzasł przewiezie to kolej żelazna, za jeszcze tańsze pieniądze.

„Pomyślcieź jeno, jakie to dla wszystkich ludzi dobrodziejstwo i jaka oszczędność i pieniędzy i mordęgi i czasu powstaje z ulepszonych dróg. Niema pomiędzy ludźmi ani jednego człowieka, któryby czegoś zkadś przywiezionego nie potrzebował, a więc każdy z nas tak lub owak używa dróg. Jeżeli sam na nich nie furmani, to drudzy dla niego coś wożą — a zawsze ten, co kupuje, czy to chleb, czy drzewo, czy odzież, czy sprzęt jaki, to w cenie kupna towaru opłacić musi także i transport tego towaru po drogach.

„Im więc drogi są lepsze i jazda po nich łatwiejsza, tem tańszy będzie towar każdy, który kupujemy.

„Więc drogi polne i gminne, bliższe i łatwiejsze, naprawiamy z chęcią i ochotą sami, bo nam się ta robota stokrotnie opłaci zaoszczędzeniem sił sprzężaju i sił naszych własnych i czasu, który zawsze pożyteczniej użyć możemy, niż na wyciąganie zagrzęźniętych fur z błota. Na te zaś drogi, które są dalsze i kosztowniejsze, których sami zładzić nie potrafimy, plaemy bez szemrania podatek, jaki na nas przypada, bo w tańszem kupnie towarów, które nam są potrzebne, powróci nam się ten wydatek na drogi z procentem.



XVII. Trzy rodzaje przemysłu.

W niedzielę po nieszpórach zeszli się znowu ludzie do gospody chrześcijańskiej liczniej niż kiedy. Rozciekawiła ich opowieść Jankowa o tych ludziach dawnych, co to chociaż jeszcze sposobów dzisiejszych nie znali, pomalutku dochodzili wszystkiego rozumem i powoli dorabiali się bogactwa... Prosil więc wszyscy Jan-ka, by im jeszcze co o tamtych ludziach powiadał. Wi-dzieli teraz, że chociaż chłop, naukę w głowie ma, więc: panie Janie do niego mówili — tylko starsi, co go od dziecka znali, po dawnemu Jankiem na niego wołali.

„Dobrze, rzecze Janek, kiedy wola wasza posłu-chać, opowiem wam dalszą tamtych ludzi historię.

Stanęliśmy w opowiadaniu na tem, że lepiej lu-dziom na świecie być zaczęło dopiero wtedy, odkąd za-przestali próżniactwa, a jęli się pracy, odkąd zaprze-stali włóczęgi, a stale usadowili się na roli. Widzieliś-my też, że zapracowywali teraz więcej, aniżeli zjeść mogli, a tę nadwyżkę pracy swojej w postaci domów, sprzętów, narzędzi, bydła, zapasów zboża i siana, prze-kazywali rodzice przy śmierci dzieciom, te znowu swo-im następcom — i że każde pokolenie coś nowego wy-myśliwszy i coś nowego przyrobiwszy, coraz większy zostawiało majątek pokoleniom następnym.

Mówiłem wam też, że póki ludzi na świecie by-ło mniej, a ziemia niczyja pustką stała, brali ją ludzie w posiadanie, ile kto obrobić mógł. Resztę ziemi objął w swój zarząd król i rozdawał ją zasłużeńszym w na-rodzie, za długoletnie, wierne dla narodu służby, na se-

dziostwie lub na innym urzędzie. A już najczęściej darowywał król ziemię nawet w większych obszarach dzieciom wojownika, który poległ w boju z najezdnikami w obronie swojej ojczyzny.

Tak rozbierali ludzie ziemię, dopóki jej stało — a gdy już każdy kawałek ziemi miał swego właściciela, zaczęto ją dzielić i sprzedawać, albo w dzierżawę puszczać.

Z pokoleniami wzrastał rozum ludzki a z nim za-
możność. Wzrastały bogactwa ludzkie w ogóle, choć nie
zawsze wzrastały one dla pojedynczego człowieka. Bo
tak jak dziś, tak samo i od początku świata rozmaicie
to z tem bywało: Jeden choć po rodzicach 20 morgów
ziemi dostał, ale próżniak był, zasiać w porę nigdy nie
zdążył i nędzne życie wiódł. Drugi na trzech morgach
poczynał, Pan Bóg mu błogosławił, chleba z nich mie-
wał dwa razy tyle, niż potrzebował na życie — więc
od tamtego głodnego próżniaka co roku za zboże mor-
gę ziemi kupił. Po dwudziestu latach próżniak tamten
nie miał już nic, a ten pracowity trzymorgowiec daw-
niejszy już 23 morgi w spuściźnie dzieciom swoim zo-
stawiał.

Tak jedne majątki rodzinne rozplywały się i mar-
niały — inne znowu wzrastały do stu i kilkuset mor-
gów — w miarę większej lub mniejszej pracowitości,
zabiegliwości i oszczędności właścicieli.

Tymczasem ludzi jeszcze przybywało na świecie,
a ziemi nie. Dalej już wszyscy właścicielami ziemi być
nie mogli! Szczęściem przybywało też i potrzeb różnych
rolnikom i w miarę przybywania bogactw, wygod im
się większych zachciało. Więc ci, którzy ziemi nie mieli,
uczepiali się przy tych, którzy jej mieli dużo, już to
jako dzierżawcy, już jako pomocnicy w pracy.

Niejeden z tych, co napracował się przez życie, zapragnął odpocząć sobie na starość, więc żywił takich, którzy za niego robili. Niejeden, co miał i ziemi wiele i sługi do obrabiania jej, zapragnął postawić sobie chatę większą i wspanialszą niż drudzy, ale sam zrobić jej nie umiał. Więc znaleźli się z czasem ludzie, co ziemi nie mając nauczyli się domy porządne budować i tem zarabiali na życie.

Inny wpadł na pomysł zbudowania młyna do mielenia zboża — a rolnicy wszyscy okoliczni woleli odstąpić miarkę zboża za zmielenie korca dać, niż męczyć się samemu, tłuc zboże swoje w stępach, albo rękami na żarnach mleć.

To znowu inni nauczyli się wyrabiać wozy — a rolnicy dawali im chętnie za wóz dobry jałowicę albo baranów kilka.

Inny wyuczył się pługi robić i pokazało się, że lepsze były aniżeli te, które dawniej sami sobie rolnicy robili. Więc z chęcią każdy rolnik dał kowalowi żyta korzec za dobry pług. Kowal przez życie ze trzysta pługów zrobił i za to 300 korcy dostał. Był taki, co połowę tego zboża zjadł, a drugą połowę przepił — ten umierał nędzarzem i dzieciom po sobie nic nie zostawił. A był kowal inny, co 150 korcy przejadł, a za drugie 150 kupił gruntu 10 morgów — ten syna gospodarzem uczynił.

Gdy lepiej się ludziom dziać zaczęło, już boso chodzić nie chcieli — więc znalazł się taki, co się wyuczył buty szyć. Inny robił suknie piękne, inny czapki, inny siodła i zaprzęgi na konie, sprzęty domowe i narzędzia gospodarskie przeróżne. I tak im więcej ludzi przybywało na świecie, tem więcej mnożyło się wyzna-

lasków i potrzeb. Jedni wynajdywali to, drudzy owo, a wszystko takie, co komuś temu lub owemu przydać się mogło — i tak mieniając przysługę za przysługę, żywili się jedni przy drugich.

W ten sposób obok dawnego przemysłu *rolniczego* wytworzył się przemysł drugi: *rękodzielniczy*, z ludzi, którzy ziemi nie posiadali, a pomimo to żyli dostatnio i dorabiali się bogactw, jeżeli tylko byli pracowici i oszczędni.

A czy myślicie, że bogaci rolnicy kupowali od rzemieślników ich wyroby z miłosierdzia jedynie, żeby dać zarobek biedniejszym? Gdzież tam! Z dobrze zrozumianego interesu własnego. Bo najprzód rzemieślnik, który ciągle jedne i te same rzeczy robił, dochodził do takiej wprawy, że je robił znacznie prędszej i znacznie *lepsze*, niż rolnik sam, który roboty tej w częstem użyciu nie miał. Powtóre rzemieślnik, który robił hurtownie i materiały na wyroby swoje zakupywał hurtownie i który umiał robić prędko — chociaż sam na pracy swojej zarabiał, mógł przecie oddać rolnikowi wyrób swój dobrze *taniej*, niżby on go w domu sfuszerowany kosztował. A po trzecie obliczał sobie rolnik: nim ja gdzieś po żelazo pojedę, nim węgla napalę, nim pług ukuję i dziesięć razy poprawiać będę, bo nie mając wprawy z pewnością odrazu mi się dobrze nie uda — to zmaruję sobie tyle *drogiego czasu*, który mógłbym lepiej użyć w rolnictwie... Toć wolę korzec zboża dać i pług gotowy *zaraz* mieć i kilka morgów pola wyorać nim przez te dni, którebym sam nad robotą pługa zmitrężył. Za ten jeden korzec kowalowi dany, zbiorę dwadzieścia korey na przyszły rok.

Gdy przecież pomyślimy, że odrazu ludzi takich rzemiosłami się trudniących było niewiele, wioski od wiosek dalekie, a kolei żelaznych, ba! nawet i dróg dobrych nie było — to poznamy, że i tak jeszcze mitręga była dla rolnika wielka, gdy chciał jaką rzecz kupić — a i dla rzemieślnika niemniejsza, gdy chciał wyrób swój sprzedać. Rolnik jeździć musiał długo i daleko czasem, zanim znalazł to, czego szukał. Znalazł nareszcie gdzieś, może w dziesiątej wsi, i powiada do rzemieślnika: daj mi to, a ja ci dam żyto, które mam na wozie. A rzemieślnik odpowie mu na to: Dobrze, towar mój bym ci sprzedał, ale żyta nie chcę w zamian, bo mam, a potrzebuję wełny na odzienie, albo żelaza na przerób... Cóż robić teraz? Albo wracać rolnikowi do domu, odwieźć żyto, a przywozić wełnę żadaną — albo jechać dalej szukać rzemieślnika takiego, co za towar podobny zechce przyjąć na zamianę żyto. I jedno i drugie mitręga, strata czasu i koszt. Podobnie naodwrot i rzemieślnik chodził czasem z wyrobem swoim bardzo długo, nim znalazł rolnika albo rzemieślnika drugiego, któryby potrzebował tego właśnie, co on miał do pozbycia, i któryby mógł dać mu w zamian to właśnie, co jemu było potrzebne.

Wśród takich niedogodności i dla zaradzenia im, wytworzył się trzeci rodzaj przemysłu: *handel*, który przysługi wyświadczać zaczął tamtym obu przemysłom dawniejszym. Znaleźli się ludzie, co ani ziemi nie posiadali, ani rzemiosła żadnego nie znali, ale kupowali wszystko, co kto miał na sprzedaż i dostarczali wszystkiego, czego kto kupić potrzebował. Za przysługę tę świadczoną innym ludziom otrzymywali handlujący nagrodę w różnicy ceny — bo wołał każdy drożej trochę

zapłacić za towar, który miał pod ręką, niż samemu jak dawniej szukać mitrężnie z pierwszej ręki towaru.

Przemysł handlowy najwięcej przyczynił się do cywilizacji ludzkości, bo wywołał ruch pomiędzy ludźmi i ich wyrobami. Przewożąc towary z jednych okolic do drugich, zaznajamiał ludzi dalekich ze sobą, rozpowszechniał wynalazki różne i do nowych wielu pobudzał, szerzył oświatę i dobrobyt.

Przemysł rękodzielniczy z przemysłem handlowym pospołu dał niebawem początek *miastom*, w których się głównie osiedlał i gromadził. Przemysł rolniczy zaś, z natury rzeczy, pozostał w dawnych swoich siedzibach we *wsiach*.

Wkrótce też niedogodnym się okazał dawny sposób mieniania towaru za towar — i wymyślono *pieniądze*.

Czem łokieć jest dla mierzenia długości, czem korzec albo kwarta dla wymierzenia objętości, czem funt dla zmierzenia ciężkości — tem samym jest pieniądz dla zmierzenia wartości przedmiotu. Dawniej mówiono: krowa warta jest 12 owiec, korzec żyta wart pług, a wóz wart tyle co ćwierć konia. Ale jeżeli wozów nie potrzebował kto czterech, to kupić ich nie mógł, boć trudno było konia ćwiertować. Teraz zaczęto o każdej rzeczy mówić, że warta jest tyle a tyle sztuk takich a takich pieniędzy.

Za pieniądze używano najprzód muszelek małych takich, jakie dzisiaj górale zakopańscy na kapeluszach noszą. Później skórek zwierzęcych, później blaszek stemplowanych, a nakoniec wybijając je zaczęto z metali trwałych, najpospoliciej z miedzi, srebra i złota. A bito okrągłe, żeby ludziom kieszeni nie darły.

Gdy wszakże z czasem rozmaitych na świecie namnożyło się pieniędzy i w każdym kraju były inne i poznać się z niemi ludzom obcym było niełatwo — a handel obiegać zaczął cały świat i nie ograniczał się już na wioskach i sąsiednich miastach, ale z kraju jednego do drugiego i z części świata jednej do drugiej towary zaczął przewozić — wymyślono dla wygody kupców *pieniądze papierowe*, które łatwiej było odezyczać niż powycierane monety kruszcowe i łatwiej było przewozić i posyłać, niż ciężkie worki lub beczułki ze złotem.

Zawsze przecież papier sam pieniądzem prawdziwym nie jest, tylko zastępuje chwilowo i wyobraża złoto lub srebro, którego ilość na nim jest napisana.

Pieniądze też same przez się nie stanowią bogactwa — bo z głodu może umrzeć człowiek, który wraz z beczkami złota zabłądzi gdzie w pustyni bezludnej — albo skąpiec, który złoto zakopał i choć głodny wykopać go żałuje. Pieniądze stają się bogactwem przez to dopiero, gdy za nie kupić możemy wszystko, co nam do życia, albo do wytworzenia nowych bogactw potrzebne.

I kraj nie ten jest najbogatszy, który ma złota i srebra wiele — ale ten, w którym przemysł rolniczy, rękodzielniczy i handlowy najwięcej jest rozwinięty, bo te przemysły wytwarzają bogactwa prawdziwe, czyli rzeczy ludzom użyteczne i potrzebne. W kraju, gdzie rzeczy użytecznych jest wiele, a pieniędzy mało — jest obfitość i taniość. Gdzie przeciwnie pieniędzy jest wiele, a rzeczy ludzom pożytecznych mało — tam drożyzna, bieda i głód.

Hiszpania nawiozła sobie złota i srebra z Ameryki dużo. Miała go najwięcej ze wszystkich krajów na świecie. Ale że lud miała nieprzemysłny i do pracy leniwy, najuboższym dziś ze wszystkich jest krajem.

XVIII. Co to jest praca?

Dużo już o pracy naopowiadał Janek ludziom w Dąbrówce, a przecie miarkował z rozmów, jakie sami z sobą prowadzili niekiedy, że nie wszyscy dobrze rozumieją, czem jest praca i różnie zapatrują się na nią. Chciał im więc kiedyś i to wytłómaczyć na rozum. Właśnie zdarzyła się dobra do tego sposobność:

Pojawił się we wsi jednego ranka włóczęga, młody, silny i zdrowy, i zaczął ludzi, żeby mu co dali, bo wędrować musi, a niema o czem. I ten i ów dał mu coś, aby się go pozbyć, to chleba kawałek, to sera, to centa albo dwa z obawy, żeby przez zemstę nie zrobił co złego. A włóczęga gdy obszedł wieś, poszedł do dworu też z prośbą.

Pan Kazimierz spojrział na niego żebrzącego i rzecze: „Zdrow jesteś, pracować możesz, za grzech bym sobie miał, żebym darmo ci co dał i jałmużną wspierał twoje próżniactwo. Idź w pole, gdzie ludzie robią, powiedz ekonomowi mojemu, że kazałem, żeby cię do roboty przyjął — a wieczór zapłacę ci tak samo jak drugim“.

„Ja pracować ciężko nie zdłużam — odpowie włóczęga. Niedawno ze szpitala wyszedłem, zdrowie mam

jeszcze słabe. I tu ludzie zarabiają za cały dzień tylko 25 centów, a ja się za to nie wyżywię i pieniędzy potrzebuję więcej, bo mam drogę przed sobą daleką“.

„Kiedy tak — rzecze pan — to ja ci dam zarobek lepszy i drożej ci zapłacę, ale darmo przecież nie dam. Czy udźwigniesz łupkę suchego drzewa? To przelóż mi te dwa sęgi drew z prawej strony dziedzińca na lewą. Jak się pospieszysz, to za pół dnia będziesz z tą robotą gotów, a ja ci za to 40 centów zapłacę“.

Włóczęga kontent, że mu się lekko tyle pieniędzy zarobić trafiło, zabrał się do roboty żwawo, przelżył drzewo za kilka godzin i po zapłatę przyszedł. Pan dał mu, jak obiecał, 40 centów i powiada: „Jak zechcesz, to przyjdź jutro znowu, a dam ci podobną robotę“.

Nazajutrz przychodzi włóczęga i o robotę pyta — a pan mówi: „Przelóż napowrót to samo drzewo ze strony lewej na prawą tam, gdzie dawniej stało, a ja ci tak samo zapłacę“. Włóczęga przelżył, pieniądze wziął, i na trzeci dzień przyszedł znowu o robotę pytać. Pan znowu powiada: „Przelóż te sęgi na lewo“.— I znowu przelżył, ale mu już markotno jakoś było. Wieczór pieniądze bierze i pyta się pana, czy na jutro robota jaka będzie? „A będzie — mówi pan — przelżysz mi znowu to samo drzewo na prawo“.

Tego już za dużo było włóczędze: „Pan sobie ze mnie kpi — zawołał. A przecież żeby nie wiem jaki był człowiek, to mu się sprzykrzy ciągle jedno i to samo robić i odrabiać, i żadnego dla nikogo nie widzieć ze swej pracy pożytku! Pan kpi sobie z biednego człowieka!“

„Nie, mój kochany — odrzecz pan — to nie ja kpiłem z ciebie, tylko tyś sam ze siebie kpa zrobił, żeś chciał za darmo od ludzi pieniądze wyludzać“.

Zawstydzony włóczęga przeproszał i dziękował panu za to, że mu dał taką nauczkę. Obiecał, że już pracy żadnej lenić się odtąd nie będzie, że zaniecha włóczęgistwa, na które z próżniactwa tylko się puścił i prosił, żeby pan na służbę go przyjął...

Dużo śmiechu było na wsi z tego włóczęgi i z tej jego roboty i z tej rozmowy jego z dziedzicem, którą wielu ludzi przy wypłacie wieczornej słyszało. Naza-jutrz rozmawiano o tem i w gospodzie, ale różni różnie o tem sądzili:

„Dobrze mu dziedzic zrobił“ mówili jedni.

„On by chciał był bez pracy żyć“ dorzucali drudzy.

„Et, głupi on — odezwał się na to jeden próżniak młody. Kiedyby mnie pan dawał taki lekki zarobek, to jabym mu całe życie półsążki przestawiał i zapłatę bym brał.“

„To ci się tylko tak zdaje, mój Jacku — ozwał się na to Janek, który właśnie na tę rozmowę do gospody wszedł. Możeś ty i więcej leniwy od tamtego włóczęgi, to może byś był o dzień lub dwa dwa dłużej od niego wytrwał przy tej głupiej robocie. Ale taki piątego albo szóstego dnia oburzyłoby się sumienie w tobie i pomyślałbyś sobie: Czy to ja bezrozumne bydlę jestem, żeby mi wszystko jedno było, czy ta praca moja zda się na co czy nie? Koń do kieratu zaprzężony nie pyta, po co mu w nim wciąż w kółko chodzić każą — i mało go to obchodzi, czy tam za ścianą przez to jego chodzenie sieczka się rżnie? czy ziarno na mąkę się miele? czy zboże się młóci? czy ręka gumienego się grucho-

cze, gdy ją nieuważnie wraz z garścią zboża za głęboko do młocarni wetknął?... Koniowi to wszystko jedno, patrzy jeno, aby dostał żreć i patrzy, czy chłopak za nim z batem chodzi i do roboty pogania...

„Ale człowiek inaczej. Choć pracować może nie każdy lubi, to przecież jeżeli już co robi, to chce wiedzieć na co ta jego praca i jaki z jego pracy będzie jemu albo drugim pożytek? Dlatego też bezmyślną mordęgę bydłęcia nazywamy *robotą* — a myślącą robotę człowieka nazywamy *pracą*.

„Czy słyszeliście żeby kto powiedział kiedy „bydło pracujące“? ale woły robocze, konie robocze, to jest wyrażenie właściwe. O człowieku mówi się czasem „robotnik“ — ale wiecie o jakim? O takim tylko co leniwy, gnuśny, obojętny, co robi od niechcenia lub z musu, co patrzy jeno, czy kto nad nim stoi czy nie, i aby dzień do wieczora przeguzdrał. Ale o człowieku, który sam użytecznie i rozumnie robić chce, co wie, że pracować trzeba i wie, na co pracuje, nikt pogardliwie się nie wyrazi, bo wie dziś już każdy, że człowieka żadna praca nie krzywdzi, a praca dobra zaszczyt człowiekowi przynosi.

„Niegdyś, przed wiekami, za czasów pogańskich, uważano istotnie pracę ręczną za coś podłego, co tylko niewolnikom przystoi. Ale od czasu, kiedy sam Chrystus Pan z ciesielskim toporem w dłoni ludziom pracowitości przykład dał i Osobą swoją pracę uczciwą uświęcił — zmieniły się wyobrażenia pogańskie — i dziś już dla człowieka nie praca, lecz próżniactwo jest wstydem!

„Ale praca pracy nierówna, jedna więcej, druga mniej pożytku ludziom przynosi, ztąd też i zapłata za prace różne bywa niejednakowa.

„Jeżeli ktoś biegnie szybko w czasie gorąca kilka mil, albo cały dzień przez rów szeroki tam i napowrót skacze — prawda że zziąją się i zmęczy tak, że pot kroplisty z czoła ociekać mu będzie — ale nikt mu za to centa nie da, bo nikomu tem żadnej nie wyświadczył przysługi — czy można to zmęczenie nazwać pracą? Nie, to nie praca, to nie robota nawet żadna, bo ani sobie ani nikomu nie przyniosła pożytku.

„Ale jeżeli ten człowiek tych mil kilka przebiegł z czymś listem pilnym; zmęczył się, ale dobrze zapłacili mu za to — to już była robota. Nie praca wprawdzie, bo on nie wiedział, co w liście napisano i nie myślał o tem, co się zrobi, gdy list w porę odda, a coby się stało, gdyby z oddaniem się spóźnił. Ale zawsze to wiedział, że wyświadcza komuś przysługę i że sam pożytek mieć będzie, bo otrzyma za swój trud zapłatę.

„Kiedy zły człowiek kradnie, podpala, albo zabija kogo — czy to jest praca? O praca i nawet ciężka i przemyślna niekiedy. Trzeba się dobrze pomocować czasem, nim się kłódkę rozbije, skóbel wyrwie, człowieka zamorduje — i obmyślać mądrze naprzód, jakby to zrobić, żeby się udało i żeby pozory od siebie oddalić... Ale to jest *praca zła*, która nie pożytek, lecz szkodę społeczeństwu przynosi. Więc prawo karze za taką pracę. Złoczyńca, gdy go pochwyca, idzie do kryminału albo na szubienicę — a jeśli go sprawiedliwość ludzka nie dosięgnie, to dosięgnie go prędzej lub później kara Boska i sumienie własne zagryzie.

„Więc jakaż praca jest *dobrą*? Juźcić ta co pożytek nam i drugim przynosi, a krzywdy nie wyrządza nikomu. Ta, która bogactwa w kraju wytwarza i mnoży, a nie ta, która je uszczupla lub niszczy.

„Bo wszystko, co ludzie posiadają w kraju całym, wszystkich razem zasoby rozumu i zamożności, stanowią razem wzięte bogactwo krajowe albo bogactwo narodowe. Im więcej w kraju jest ludzi pracowitych, oszczędnych, zabiegliwych i zamożnych, tem kraj cały jest bogatszy i tem naród cały szczęśliwszy.

„Ale pomyślcież jeno, ile to bogactw co roku, co dzień, koniecznie na zniszczenie idzie. Pomińmy już klęski nadzwyczajne, jak ognia, powodzi, gradu, pomoru na bydło — a weźmy pod uwagę tylko te powszednie, nieuniknione, codzienne bogactw naszych ubytki.

„Każdy człowiek, żeby jak był ubogi, niszczy przez rok ogromnie wiele, przez to że jeść potrzebuje, odzież na sobie drze, w piecu drzewo lub węgiel spala, świecę lub naftę w lampie pali... A cóż dopiero bogaci, co to i suknie kosztowniejsze noszą i częściej je zmieniają i meble aksamitne mają, a ten aksamit się od siedzenia wyciera, — i piec nie jeden, ale czasem po dziesięć miewają ich w mieszkaniu.. Więc rzecz to nieunikniona, że dużo bogactw corocznie niszczy się w kraju każdym — ale z tego znowu pożytek jest ten, że na miejsce zniszczonych rzeczy muszą ludzie nabywać nowe, a przez to jedni drugim zarobek dają, bo ci, co niszcza, płacą tym, którzy im nowych rzeczy do niszczenia dostarczają.

„Za tem idzie, że każdy, kto pracuje nad wytworzeniem rzeczy użytecznych i ludziom potrzebnych, pewny jest, że za pracę swoją wynagrodzony będzie. A że i ten, który te rzeczy wytwarza, sam także niszczy ich немало — przeto powinien starać się wytworzyć więcej zawsze niż zniszczy — czyli zarobić przez rok

pieniędzy więcej, aniżeli ich potrzebuje na utrzymanie swej rodziny.

„Gdy tę nadwyżkę pracy swojej odłoży co roku i chowa, mówimy o takim człowieku, że jest *pracowity i oszczędny*, i że dorabia się bogactwa. Gdy zarabia więcej niż go utrzymanie rodziny kosztuje, ale tej nadwyżki nie schowa, tylko ją co roku z przyjaciółmi prze- hula i na zbytki straci — mówimy o takim, że *pracowity jest ale marnotrawny*. Gdy więcej jeszcze na zby- ki przetraca, niż mu z pracy od wyżywienia rodziny zostaje, a więc zadłuża się, albo ziemię, którą po oj- cach dostał, po kawałku sprzedawać musi — mówimy o takim, że jest z niego *utracyusz* i zły człowiek, bo o dzieciach swoich nie pamięta. Gdy nareszcie komuś pracować się nie chce, mniej zarabia, aniżeli na życie mu potrzeba, a więc z długów żyje albo przeżywa da- wną pracę swych ojców — o takim mówimy, że *próż- niak* jest i że nie wart tego chleba, na który nie pra- cuje.

„A czy tylko *ręczna* praca jest pracą?

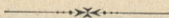
„A jeżeli ktoś głową namozoli się, zarządza go- spodarstwem wielkiem, daje przy sobie utrzymanie ro- dzinom biedniejszym wielu i z ich pomocą bogactwo krajowe przymnaża? Konie i bydło przychowuje licznie, dużo zboża wytwarza, nowe a lepsze gatunki zbóż spro- wadza z daleka i na pożytek swój i sąsiadów rozmna- ża, nowe maszyny kupuje i drugim lepszego gospoda- rowania dobry przykład daje.

„Jeżeli posłem wybrany na Sejm jedzie i tam mą- drze radzi i środki obmyśla: jak zapobiegać ubóstwu, jak ludziom biednym ciężaru ulżyć, a pracę im ułatwić

i drogę do zdobywania bogactw torować. Albo jeżeli w Radzie powiatowej zasiada, w niej nieświadomym ustawy krajowe tłumaczy, majątek powiatu albo gminy od zatury ochrania, ciemnych od wyzyskiwania przez przebiegłych zasłania, a nowe źródła dochodu odkrywając i marnotrawstwu zapobiegając, podatki autonomiczne umniejsza?

„A jeżeli ktoś książkę mądrą napisze, którą ty się ludzie czytać będą i czegoś dla siebie pożytecznego nauczą się z niej. Jeżeli ktoś nową maszynę wymyśli, która w pracy ciężkiej innym ludziom ulży i na potaniecie rzeczy ludziom potrzebnych wpłynie. A nauczyciel, który sto dzieci wyuczy czytać, pisać i rachować i tem ułatwi stu rodzinom pracę na chleb. A ksiądz, który ludzi praw Boskich uczy, sumienia roztrząsa grzeszników na drogę prawą nawraca i tym sposobem wiele do bogactwa narodowego się przyczynia. A lekarz, który nauką swoją zdrowie ludziom przywraca i od wczesnej śmierci ratuje, tak, że dłużej i dla siebie i dla drugich z pożytkiem pracować mogą. A sędzia, który sprawiedliwość ludziom wymierza i obronę daje ludziom poczciwym przeciwko złych napaści...

„To wszystko są *prace* i to *prace dobre*, poszanowania wielkiego godne, bo setkom i tysiącom ludzi pożytecznie służą i bogactwo narodowe ogromnie pomnażają“.



XIX. Maszyny.

W miarę jak rozum ludzki z pokoleniami wzrastał, ludzi i bogactw mnożyło się na świecie, a z niemi i potrzeb różnych coraz więcej przybywać zaczęło — poznali ludzie, że niedość jest chcieć pracować, ale potrzeba umieć sobie pracę ułatwiać, żeby rzeczy pożytecznych wyrabiać jak najwięcej, w czasie jak najkrótszym i kosztem jak najmniejszym.

To dało powód do wysilania rozumu ludzkiego na wymyślanie różnych maszyn, które podwójnem dobrodziejstwem dla ludzkości się stały: bo i w pracy najcięższej wyręczają biednego człowieka — i towary, które dawniej drogie, tylko dla bogatych były dostępne, dziś przy pomocy maszyn potaniały tak, że i człek najuboższy może je sobie kupić.

Dawniej, dawniej, kiedy kto chciał chleb jeść, to musiał się dobrze sam napracować, nim ziarno wysuszył i w stępie na drobne okruchy je stłukł. Potem między dwoma kamieniami ziarna rękami tarł. Później wymyślił ktoś żarna i to była pewnie pierwsza maszyna na świecie. Tu już ulżyła się człowiekowi praca, chociaż ręką kamień górny jeszcze obracał, bo żarna już tak zbudowane były, że pomalą ręką ruszając bardzo szybko się kamień obracał. Ale nie stanął na tem rozum ludzki. Zbudował żarna jeszcze większe i do nich deptak albo kierat i bydłom te wielkie żarna obracać kazał. Jeszcze później zaprzął człowiek do tej roboty wodę bieżącą, skierowawszy jej bieg na szufladziste koło, a także i wiatr, podstawiając mu długie

i szerokie wiatrakowe skrzydła. Teraz już człowiek ulżył sobie pracy ogromnie i mógł sam jeden zemleć więcej, niż czterdziestu ludzi w pocie czoła na żarnach. A i mąka ze młyna już tańszą teraz być mogła aniżeli dawniej. Dzisiaj już i ta wodna i ta wiatrowa robota nie wszędzie ludzi zadowalnia, bo prawią, że im jest za powolna, że czasem wiatr jest, a czasem go niema, że wody często brakuje w suchy rok, i ludzie, choć zdaleka zboże do młyna przywiozą, z niczem do domu wracać muszą i czekać po parę tygodni, aż się wody uzbiera tyle, żeby im zemleć mogła... Więc maszyny parowe sprowadzili do młynów i zaprzęgli je do obracania ogromnych kamieni. W Tyczynie, w Tarnowie, w Krakowie, moglibyście się przypatrzeć kiedy przy sposobności, jak to tam dzień i noc jak w zegarku robota idzie. Zawodu niema tam nigdy tak jak po naszych wodnych młynach, czekania tam niema żadnego! Przywieziesz pszenicę swoją, odbiorą, zmierzą, odważą i zaraz w zamian dają ci mąki tyle, ile pszenica twoja wydaćby jej mogła, sobie tylko za zmielenie część pewną zostawiając. W pół godziny przerobili ci tam zboże na mąkę, ile byś go nie przywiózł.

Alboż na przykład ta maszyna, co wagony kolejowe za sobą wlecze. Dawniej ciężko się trzeba było człowiekowi ubogiemu napracować, a bogatemu drogo bardzo opłacić, żeby z Krakowa do Lwowa się dostać. Wieleż to par koni, wielu furmanów trzebaby było na to, żeby tysiąc ludzi taką drogę przewieźć. Dziś za kilka reńskich jedzie sobie wygodnie każdy w karecie oszklonej jak pan, a za całą obsługę przy maszynie jeden maszynista z pomocnikiem wystarcza.

A przypatrzcie się no kiedy we warsztatach mechanicznych kolei żelaznej w Rzeszowie albo w Sączu, jak to tam grubą oś wagonową albo inny okrągły wał żelazny maszyna sama do gładkości obtacza. Wał chropowaty nałożą na warsztacie, rączką tylko poruszają, a on się wam obraca powoluśku sam, a tylko wyrczy koło niego i opiłki drobne sypią się z niego. W kilka godzin obtoczony do krągłości a gładziusięńki jak lustro. Ileżby to rapszli i pilników zedrzeć musiał nasz kowal, gdyby ręką chciał dokazać to samo. I coby zdrowia sterał, a nadźwigał się, a palców nakaleczył. I co najmniej z pół roku porańby się z tem musiał, co tu maszyna za jeden dzień dokona. A tu pracy wszystkiego tyle, co przynieść ten wał i przyśrubować go mocno, żeby nie drgał, a potem puścić maszynę w ruch. Człowiek z fajeczką w ustach stoi sobie spokojnie nad tym obracającym się wałem i patrzy tylko na niego godzinami całemi, jak on sam się obtacza. Czasem tylko oliwą nasmaruje panewki, czasem tylko cyrkiem przymierzy, czy jeszcze nie czas obtaczania zaprzestać — a jak tylko przekona się, że już walec do miary jest oheblowany, to jednym ruszeniem palca zatrzymuje maszynę i woła ludzi, by ten wał z warsztatu zdjęli a inny założyli. Prawda, że niezbyt mozolna tego człowieka praca? A przyjrzyjcie no się potem, jak to gładziuteńko wypolerowany ten wałek, jak tam na włos nigdzie nie chybione, czego nigdyby ręką nie dokazał i najzręczniejszy ślusarz.

I ciekawiście teraz może, kto to jest ten człowiek, który to tak spokojnie fajeczkę sobie kurzy i z rękami w kieszeniach przypatruje się cierpliwie, jak się walec sam toczy? — To kowal, taki sam jak nasz,

tak samo koło żelaza tylko robotę zna — ale chodził pierwaj do szkoły, więc umie oprócz tego rachować, wymierzyć dokładnie, przeczytać i napisać co potrzeba. Przytem musi być zawsze trzeźwy i przytomny, bo jedno mgnienie oka za długo lub za krótko gdyby walec na warsztacie zostawił, to wyjąłby go za cienki albo za gruby, a przeto nieprzydatny... Gdyby ten kowal po dawnemu ręką opiłowywał walec, to oraszpłowałyby może ze 3 walce na rok i za jego ciężką, molozną pracę nie zapłaconoby mu pewnie więcej jak po 40 lub 50 centów dziennie. Na maszynie obtacza on przez rok takich wałów tysiąc i za samo patrzenie na tę robotę płacą mu 3 reńskie dziennie!

Tak samo z fabrykacją nożów. Dawniej kiedy nożownik z grubej bryły żelaza własną ręką na kowadłe odkuć musiał każdy nóż, potem opiłować go, wyostrzyć i w trzonek jaki oprawić — nie zdołał na dzień zrobić więcej jak kilka nożów i po 50 centów sprzedawać je musiał, żeby mu się za robotę jego coś na wyżwienie się skromne zostało.

Później wymyślili ludzie maszynę taką, która ostrza już foremnie odkute wyrzucała tak, że nożownik je tylko wyostrzyć i obsadzić potrzebował. Mógł już teraz tanio nabyć ostrze, mógł już przez dzień z 50 nożów przygotować i o połowę taniej je mógł sprzedawać i sam za pracę swoją miał już dwa razy tyle zarobku co wprzód.

Potem jeszcze mądrzejszą maszynę wymyślili ludzie, która taniej i prędzej robiła niż tamta i oddawała noże gotowe, już wyostrzone, po 2 centy za klingę wraz z obsadką tak, że nożownik w gotową już dziurkę tylko gwoździł wbić potrzebował, by ostrze z trzonkiem

połączyć. Takich już 300 sztuk na dzień wykończyć on potrafił i liczył sobie tylko po jednym cencie za swoją robotę od sztuki. Sprzedaje więc teraz koziki po 3 centy, a sam mniej się mozoląc niż dawniej aż 3 reńskie na dzień zarabia.

Czyż nie poprawił się tu przez maszynę i los tych pracowników w czwórnasób — i los tych wszystkich ludzi biednych, dla których dawniej nóż kosztujący 50 centów był zbytkiem — gdy dziś każdy żebrak już nożem własnym może chleb darowany przekrawać...

Książkę dawniej kto chciał mieć, musiał nająć sobie kogoś, coby mu ją przepisał. Pisanie trwało wiele miesięcy, zarobek pisarza był niewielki, a przecież książka pisana kosztowała przeszło sto reńskich. Dziś, że druk wynaleziony i maszyny, które odrazu odbijają w kilku tysiącach egzemplarzy raz napisaną książkę, kupić ją może i biedak, bo tylko kilkanaście centów drukowana kosztuje.

Igły, rzecz w każdym najuboższym domu tak potrzebna, póki były wyrabiane każda z osobna ręcznie, musiały być bardzo drogie i bardzo źle szyć, bo nie mogły przecie tak cienkie i tak gładkie być jak dzisiaj. Obecnie gdy krociami dziennie fabrykują je maszyny, możemy je nabywać po kilka za cent.

Z tych kilku przykładów, a mógłbym wam ich przytoczyć tysiące, łatwo wyrozumiecie, że maszyny są istotnie dobrodziejstwem dla ludzkości i nie wiercie temu, co głupi ludzie plotą, że one są krzywdą dla pracującego człowieka, bo mu odbierają robotę. Prawda, że odbierają mu one robotę, ale tę, która była najcięższą, która zdrowie jego najwięcej sterała i tę, która

może być spełniana bezmyślnie. Ale odbierając mu roboty tamte, a raczej wyręczając go w ich wykonaniu bezmyślnem, otwiera każda maszyna myślącemu człowiekowi nowe dla jego pracy drogi i to te, które mniejszym wysiłkiem zdrowia i sił, większy zarobek mu przynoszą. W miejsce dawnych męczących robót, przybywa człowiekowi coraz więcej prac lżejszych a popłatniejszych. Ot nie dalej jak przed trzema latami krzywdowaliście sobie, że dziedzic do Dąbrówki młocarnię wielką sprowadził i że już cepem nie będzie można w zimie zarabiać. I prawda, do cepa już was nie woła. Ale zasadził przed kilku latami stare stawisko łożyną, sprowadził nauczyciela do pleceni koszyków i półkoszków — was co dnia woła do tej roboty zimowej i który tylko trochę się poduczył, płaci mu drożej niż od młocki cepami. Czyż krzywda dla tych, którzy chodzą na te koszykarskie roboty? Czyż siedząca, śpiewająca robota nad pleceniem kosza w ciepłej izbie nie lżejsza jest niż młócenie cepem w pocie czoła w zimnej i przewiewnej stodole? Spytajcie tych, co dawniej młócili, a dzisiaj kosze wyplatają, czy za krzywdę to sobie mają?

A jeszcze przybyła dla wsi z tej młocarni i ta korzyść, że gdy chłopci silni innym korzystniejszym mogą się zająć zarobkiem, dla dziewcząt słabych i dla podrostków otworzył się zimowy przy maszynie zarobek lekki, jakiego dawniej nigdy w zimowej porze nie miały.

Alboż i tego roku, gdy zajechała na pole ta żniwiarka czerwona, co tak ślicznie garście zboża jakby mądry człowiek odkłada. Zlecieli się ludzie z kilku wsi, żeby to cudo oglądać — a kobiety nasze dalejże des-

perować i labidzić, że już po zarobku dla nich, że już ich do żniwa z sierpem wołać nie będą.

I cóż się pokazało? czy zarobek ich w tym roku był mniejszy niż innych lat? — Weale nie! To prawda, że zarobiły mniej sierpem, ale za inne roboty nabrały pieniędzy więcej.

Bo ponieważ żniwo taniej kosztowało teraz dziedzica maszyną aniżeli dawniej kosą i sierpem — przeto mógł te oszczędzone na żniwie pieniądze obrócić na ulepszenie gospodarstwa swego w innych kierunkach: zaprowadził wielką uprawę buraków, marchwi pastewnej, cykoryi i chmielu, których uprawa, pielenie, ogartywanie i kopanie dało ludności miejscowej o wiele dłuższy i lepszy zarobek, aniżeli parę tygodni tylko trwające żniwo.

W sierpowaniu niby wyręczyła ludzi maszyna i trzeba przyznać, że robiła i lepiej i taniej od ludzi. Ale wskutek tego, że dziedzic taniej teraz zboże młóci i sprzęta, pootwieralo nam się teraz tyle innych a nowych robót, żeśmy przerobić ich nie mogli i kto tylko leniwy nie był, zarobił w tym roku dwa razy tyle pieniędzy niż po inne lata.

„Więc nie przeklinajcie ludzie maszyn, bo maszyny dobre to najwierniejsi sprzymierzeńcy i najpocziwsze sługi pracującego człowieka!“

XX. Podział pracy.

„Drugim ogromnem ułatwieniem pracy ludzkiej jest jej *podział*, jaki się z biegiem czasu wyrobił. Dawniej, jak wam wiadomo, każdy robił sobie wszystko sam, co mu było do pracy lub do życia potrzebne. Więc, jak to wam mówiłem, rolnik sam partolił sobie kiepski pług, sam szył kożuch jak umiał, sam uździenicę na konia wiązał, sam płótno tkął i koszulę z niego szył... Ta i dobrze to było, póki człowiek potrzeby małe miał, póki podatków nie płacił, wódki nie pijał, lulki nie kurzył, zgrzebnej koszuli się nie wstydzil, a babom kraśnych chust i krochmalonych spódnic się nie zachciewało. Dziś czasy nastały inne, wydatków różnych przybyło człowiekowi moc, życie podrożało znacznie, z ziemi trzeba wydobywać o wiele więcej niż dawniej, żeby módz tym wszystkim wydatkom podolać — więc też i narzędzi do uprawy roli potrzeba teraz więcej i lepszych, i zasobów do gospodarki innych aniżeli przed laty. Z groszem też, a i z czasem swoim zaczęli się ludzie rachować lepiej — a ci, co po staremu nie rachowali się z jednym i drugim, widzieliście sami jak pomarnowali krwawą swych ojców pracę i z gospodarzy dawniej zamożnych zeszli dziś na nędzarzów lub na żydowskie sługi.

„Otóż odkąd ludzie z *pieniężdmi* rachować się zaczęli, a i *czas* poznali, że nie mniej od pieniędzy jest wart, gdy się go nie traci — uznali, że taniej o wiele niejednę rzecz gotową kupić, niż licho a mozolnie samemu ją robić. Ztąd rozmaite potworzyły się rzemio-

sła i rozmaici powyuczali się majstrowie. Każdy z nich wprawiał się w pewnych tylko robotach i doskonalił się w swej sztuce i wymyślał sobie coraz lepsze do niej narzędzia.

„To już był pierwszy krok zrobiony na drodze *podziału pracy*, że jedni robili to, a drudzy co innego — a wszyscy pomiędzy sobą wyroby swoje mieniali i jedni od drugich kupowali, co komu było potrzebne.

„Ale dalej, dalej za coraz nowemi potrzebami i coraz nowemi wynalazkami, gdy i maszyny coraz lepsze wymyślać ludzie zaczęli i fabryki wielkie budować — *podział pracy* posunęli jeszcze dalej!

„Bo powiedzieli sobie naprzykład zegarmistrze: Na co my mamy każdy z nas cały zegar robić — kiedy o wiele prędzej i łatwiej pójdzie nam robota i o wiele też taniej potem będziemy mogli zegary sprzedawać, jeżeli jeden z nas będzie wyrabiał same kółka gładkie, drugi same kółka zębate, trzeci same tylko śrubki, czwarty same tylko sprężyny, piąty same tarcze z napisami godzin, szósty same wskazówki zegara — wszystko przy pomocy odpowiednich maszyn — a siódmy dopiero złoży te wszystkie części do kupy i zestawi z nich zegar. Jak się każdy z nas wprawi dobrze w jedną tylko robotę, to i prędzej i lepiej ją odrobi — a jak zegary będą tańsze a lepsze, to ich o wiele więcej ludzie kupować będą. A chociaż każdy pojedynczy zegar sprzedamy tanio, to za to sprzedamy tych zegarów tak dużo, że każdy z nas więcej za swoją pracę dostanie zapłaty, niż gdybyśmy każdy osobno całe zegary robili.

„Jak rzekli, tak zrobili — a gdy próba ta wypadła i dla nich i dla kupujących korzystnie, tak potem naśladowali ich w tem drudzy fabrykanci i dziś już do-

szło do tego, że nawet marnego gwoźdźcia nikt nie robi we fabryce całego, tylko nad każdym gwoździem pracuje ludzi kilku: jeden ciągnie na maszynie drut z żelaza, drugi znowu na innej maszynie obok, tnie ten drut na krótkie kawałki i rzuca je trzeciemu, ten przyplaszczy każdemu gwoździowi głowę i rzuca go czwartemu, ten zaostrzy koniec i rzuca piątemu, który już gwoździe gotowe odlicza albo waży i pakuje je w paczki. I podczas gdy człowiek niewprawny młotkiem na kowadle nie zrobiłby więcej jak 60 gwoździ takich na dzień — a kowal zręczny, wprawny i mający już stosowne do tego narzędzia, zrobić ich mógł już przez dzień 300 — to w robocie fabrycznej, przy pomocy maszyn i przy pomocy podziału pracy, ci pięciu ludzi są w możności zrobić przez dzień 50.000 gwoździ czyli po 10.000 gwoździ każdy z nich! W ten sposób na rok wyrabia jeden człowiek 3 miliony gwoździ i obsługuje tym drobnym a pożytecznym towarem kilka tysięcy rodzin, którym teraz dostarcza gwoździe za bardzo tanie pieniądze — a sam lżej pracując i mniej się męcząc, zarabia we fabryce 5 razy więcej, niż gdyby sam jak dawniej w kuźni wyrabiał te gwoździe.

„Tak samo ze szpilekami, których dzisiaj setkę za 5 centów kupić sobie możecie. Bez maszyn, bez warsztatu dobrego, bez podziału pracy za ledwie 20 szpilek na dzień jeden człowiek by zrobił i dlatego musiałyby być drogie. Dziś we fabryce każda szpilka przechodzi przez 10 rąk, praca jest bardzo lekka tak, że spełniać ją mogą nedorosłe dzieci — i oto dziesięcioro tych dzieci wyrabia dziennie 40.000 szpilek. Jakżeż nie mają być tanie?“

Odpozął chwilę Janek po tem opowiadaniu, a potem potoczył wzrokiem po otaczających go słuchaczach i rzecze:

„A teraz zapytam się ciebie Łukaszu, co to zawsze narzekasz na swój los, że gruntu nie masz i służyć musisz, i zazdrościsz bogatym, że sługi sobie trzymają, a sami nikomu nie służą. Czy zastanowiłeś się ty nad tem, ilu to ludzi u ciebie jest codzień na służbie?“

„U mnie? na służbie? Pan chyba żartuje, panie Janie“ odpowie zafrasowany Łukasz.

„Nie, nie żartuję. Ja naprawdę powiadam tobie, że kilka tysięcy masz sług codziennie, które pracują za zapłatę dla twojej wygody“.

„Tego to już nie zrozumieć nigdy“, rzecze Łukasz

„Przybliże się do mnie — skinął Janek — a wytłómaczę ci się, że mówię szczerą prawdę. Powiedz mi, coś ty dzisiaj jadł?“

„Kluski z serem.“ — „Czyś je sam sobie zrobił?“ — „Nie, baba ugotowała“. — „Ale ja nie o to się pytam, tylko czy jedząc te kluski, pomyślałeś ty o tem, ilu to ludzi pracę ty w tych kluskach zjadałeś? Naprzód orał ktoś na nie ziemię i bronował i ziarno siał i znowu bronował — potem inni zboże zżęli, zwieźli do stodoły, młócili — potem inni na mąkę je zmelli, a inni znowu do młyna i ze młyna wozili. Żeby mieli czem orać i wozić, musiały konie być, dla których znowu ludzie siano zbierali i owies siali i stajnię stawiali. Ale także żeby było czem na te kluski ziemię uprawić i zboże wozić, potrzebne były plugi, brony i wozy. Zrobić je musiał kołodziej, a okuć kowal. Żeby miał kowal żelazo, musieli naprzód górnicy dobywać rudę gdzieś głęboko z pod ziemi, musieli inni napalić węgla drze-

wnego, inni nałamać kamień wapienny i wypalić w piecach z niego wapno. A dopiero tę rudę żelazną z wapnem i z węglem pospołu wozic musieli ludzie do ogromnych „wielkich pieców“; w nich strasznym ogniem topiona, przemieniała się na żelazo surowe. Ten surowiec znowu ludzie wozili do wielkich kuźnic, gdzie młotami kilkucetnarowemi kuty był tak długo, aż żelazo giętkie się z niego zrobiło. Potem znów inni ludzie kuli to żelazo mniejszemi młotkami i formowali z niego sztaby, które zakupił razem hurtownik, sprzedał je częściami kupcom, ci znowu kramarzom, a od tych dopiero kował. Porachuj bracie, ilu to ludzi praca składała się na same tylko kluski, któreś dziś jadł. A na ser do nich trzeba było komuś wychować krowę, żywić ją pielegnować, doić, ser odgrzać... A przecież ty oprócz klusek z serem jeszcze i więcej coś jadłeś — a w każdym kęsie, który do ust swoich niesiesz, mieści się pracy ludzkiej i potu ludzkiego niemało. Wszyscy oni pracowali na to, żeby sprzedać, a tyś to za pieniądze, albo za pracę swoją kupił i spożył. Widziałem dzisiaj, żeś pił piwo. A mało to ludzi namęczyło się, nim browar zbudowali, jęczmień, chmiel i wodę i opał do tego browaru przysposobili i przerobili te materyały na trunk smaczny, którym ty się po pracy orzeźwiasz?

„A tą koszula czysta, którą masz dziś na sobie, z czego ona zrobiona?“

„Z perkalu, żona mi uszyła“. — „A perkal czy wiesz, z czego się robi?“ — „Mówią ludzie, że z bawełny.“ — „A dlaczegóż nie nosisz lnianej albo konopnej, którąbyś sam w domu mógł sobie zrobić?“ — „Bo ta bielsza i cieńsza i przyjemniejsza do ciała, a co naj-

ważniejsze, że tańsza. Nie kosztuje ani pół tego co lniana, choćby w domu zrobiona“.

„A czemu się to dzieje, że koszula z bawełny gdzieś daleko za morzami rosnącej, o pół jest tańsza od koszuli ze lnu, który na swoim zagonie uprawić i zebraćby można, w domu go samemu wymiędlić, wycześcić, uprząść, płótno utkać i na koszulę zeszyć?“

„Ja nie wiem — odrzeczcie Łukasz — ale rachowała kiedyś moja, że dużo taniej wyleci len w domu uprzedziony sprzedać, a gotowego perkalu na koszule kupić“.

„To jest szczerą prawdą — powie Janek. Twoja żona to dobrze wyrachowała, tylko w rachubę nie brała tego, że koszula lniana mocniejsza, przetrwałaby trzy albo cztery bawełniane. Ale nie o to teraz nam chodzi — tylko dlaczego z zamorskiego towaru kupna koszula o pół tańsza od swojskiej w domu zrobionej? Oto dlatego, o czym już wam już kiedyś opowiadałem: że robiona maszynami i że pracą około niej podzielili się ludzie, tak, że każdy trochę tylko ręki do tego przyłożył, ale robił to, co doskonale umie i w czym wprawę i biegłość ma wielką. I jak też myślisz Łukaszu, wielu też ludzi oddało usługi swoje tobie za te małe pieniądze, które za koszulę zapłaciłeś?“

„A czyż ja już zgadnę teraz? Myślałem, że tylko ten żyd kramarz w miasteczku, co przysięgał się, że mi ze stratą perkal sprzedaje po 18 centów za łokieć, bo jego samego po 20 kosztuje. Ale po tem, co nam tu pan Jan opowiadał, myślę, że kilku ludzi na to pracować musiało“.

„A ja ci wyrachować mógłbym, że tu kilka tysięcy ludzi dało, każdy po odrobinie pracy, na tych kil-

ka łokci perkalu — a ty płacąc 70 centów za koszulę, wynagrodziłeś tych wszystkich ludzi za usługę, jaką ci wyświadczyli.

„Naprzód bawełna jest rośliną uprawianą, więc już wiecie, ile to roboty i ilu ludzi mitręgi kosztuje wyhodowanie i zebranie plonu. Ależ pomyślcie, że bawełna nie rośnie u nas, tylko w krajach gorących, daleko, za morzem. Żeby ją ztamtąd do nas przywieźć, potrzeba na to okrętów wielkich. A ilu rzemieślników i fabrykantów różnych składało się na to, żeby okręt zbudować z drzewa, żelaza, miedzi i zaopatrzyć go w maszynę parową albo żagle, liny i kotwice. Do wiezienia tej bawełny na okręcie do nas potrzebni znowu byli majtkowie, którzy okrętem sterują i obsługują go w drodze. I był kupiec wielki jakiś, co od rolnika w Ameryce bawełnę kupił, okręt najął i do Europy towar sprowadził. Tu sprzedał on ją fabrykantowi. Fabrykant ma fabrykę ogromną, w której kilka tysięcy ludzi pracuje — a oprócz nich najcięższe i najtrudniejsze rzeczy wykonywają maszyny. Jakiego to rozumu trzeba było na wynalezienie maszyny takiej, coby przędła lepiej od kobiety, a przędła tyle co 500 kobiet naraz. Kobieta pilna uprząśby mogła tak cieniutko ledwie pół funta nici na tydzień — a maszyna obraca naraz ze 200 wrzecion, a każde wrzeciono tygodniowo więcej jak funt nici naprzędzie — i to nici równiutkich i cieniutkich takich, że z funta 30 mil długości ma nitka! A każdą taką maszynę nadzoruje jeden człowiek mądrzejszy z kilku pomocnikami, co tylko patrzą: czy się gdzie co nie ułamało, albo nie zagięło, żeby zaraz maszynę zatrzymać, i czy gdzie przędzy nie brakuje, żeby zaraz dorzucić. Inne robotnice tylko bawełnę

z okrętów na wozy a z wozów do fabryki przenoszą, rozpakowują, donoszą ją do maszyn; inne ze zwijadeł nici gotowe zdejmują, pakują i znowu na wozy albo do okrętów odnoszą.

„Fabrykant ten, co bawełnę surową przerobił na nici, sprzedaje je innemu fabrykantowi, który ma tkalnię i z tych nici wyrobi płótno. I znowu tutaj nie jeden tkacz czólenko jedno między osnową przesuwają — lecz maszyny ogromne są zbudowane tak zmyślnie, że każda naraz ze sto czólenek tam i nazad przerzuca, a z osnowy nitki same te co potrzeba raz do góry się podnoszą, to opadają na przemian. I znowuż w tej fabryce kilkuset ludzi jest zatrudnionych. Gotowy perkal kupuje znowu jakiś kupiec hurtowny; koleje żelazne, okręty, wozy końmi zaprzężone i ludzie na plecach roznoszą go i rozwożą z fabryki w różne strony do sklepów. Od hurtownika kupują wagonami całemi wielcy kupcy — od tych znowu wozami mniejsi — od tych sztukami kramarze, a ci dopiero na łokcie sprzedają ludziom potrzebującym dla siebie.

„Nikt tu nie pracuje za darmo, każdy ma za swoje trudy zapłatę. Od kramarza, co łokciem mierzy, i od tego furmana, co towary rozwozi, aż do właściciela fabryki i robotników w niej, aż do rolnika, który bawełnę wyhodował i do ludzi, którzy jemu pomagali — wszyscy oni zapłaćeni zostali przez tych, którzy ten perkal na koszule kupują. I z twoich 70 centów częśćka jakaś do Ameryki pojechała, częśćka fabrykantom przypadła, trzecia częśćka kupcom, co pomiędzy tobą a fabryką pośredniczyli. Tysiące ludzi usłużyło tobie i tyś ich za tę usługę zapłacił“.

„A to ażem się przestraszył — zawoła Łukasz zdumiony — a mnie ani przez głowę nigdy nie przeszło, żeby tyle ludzisków składało się pracą swoją na mnie biedaka jednego, i żebym ja z usług drugich ludzi i to jeszcze tylu korzystał“.

„Więc nie krzywdź sobie bracie, że służysz, bo widzisz, że nie ty służysz jeden na świecie. Tobie służy też ludzi mnóstwo. I jeden tak, drugi inaczej, ten siłą i rękami, inny rozumem i głową, wszyscy ludzie, ile ich jest na świecie, przysługi robią drugim, a od nich nawzajem odbierają posługi“.



XXI. Przysługa za przysługę.

Trzeciem ogromnem ułatwieniem pracy ludzkiej jest *kapitał*, jeżeli go pracownik bądź to z zaoszczędzonej pracy swej dawniejszej, bądź ze spuścizny po rodzicach posiada.

Rolnicy dawniej, jak wiemy już, nie przejadali wszystkiego, co pracą swoją zdobyli. Przechowywali bydła dużo, budowali chaty, robili lub kupowali sobie narzędzia, dokupowali ziemię, a i pieniądze, które im co roku zostawały, w bezpiecznym miejscu składali. W ten sposób powstawały *kapitały* na świecie, które były zaoszczędzoną pracą dawniejszą — a były one w postaci rozmaitej i różnie używali ich właściciele: Jeden za pieniądze oszczędzone kupił grunt i powiadał: mam mój kapitał w *ziemi*, w budynkach i w bydłe. Drugi kupił sobie za nie dom w mieście, który wynajmował innym

na mieszkania i mówił: mam kapitał w *kamienicy*. Trzeci nakupił materyałów i narzędzi do rzemieślniczej swej pracy i mówił: mam kapitał znaczny w *warsztacie*. Czwarty nakupił towaru rozmaitego na to, by go z zyskiem odsprzedawać drugim i mówił: umieściłem mój kapitał w *handlu*. Piąty nie kupił nic za swoje pieniądze — lecz dowiadywał się, komu brakuje pieniędzy na prowadzenie gospodarstwa, albo rzemiosła, albo handlu. I mówił wtedy: ja mam kapitał w *pieniędzach gotowych*, mogę je ludziom potrzebującym pożyczać. Ale ponieważ ty, który pieniądze odemnie pożyczysz, potrafisz z pomocą mojego kapitału dużo więcej zarobić, niżbyś zarabiał bez niego — więc słusznie, żebyś mi za tę przysługę część zysków odstąpił.

„I wy to słusznem nazywacie panie Janie?“ zapytał Janka Wawrzyniec, gospodarz na 20 morgach, ale setnie już zadłużony. „A mnieby się zdawało, że to niesprawiedliwie jest lichwę od ludzi brać, albo co jeszcze gorsze, procenta ciągle dopisywać dłużnikowi do kapitału“.

„Najprzód — odpowie Janek — gdybyście w swoim czasie rzetelnie procenta opłacali, toby wam ich do długu nie dopisywali. A po drugie: gdybyście nie na wódkę i nie na zbytki, lecz na warsztat albo na gospodarkę dług zrobili, tobyście mieli z czego procenta regularnie opłacać. A po trzecie: zastanówcie się, czy chciałoby się komu pieniądze oszczędzać, zbierać i składać, jeżeliby nie widział, że potem kiedyś pożytek z tego mieć może? Żądanie godziwego procentu za wyświadczoną komu pieniędzmi przysługę, jest rzeczą godziwą. Chodzi tylko o to, żeby procentu nie wymagano więcej, niż ta przysługa jest warta.

Wy naprzykład Wawrzyńcze potrzebujecie krowy, bo i mleko dla małych dzieci i nawóz na pole by się wam zdał. Gdybyście z pracy waszej dawniejszej mieli zaoszczędzonych z 50 reńskich, kupilibyście za nie krowę, a ona dawałaby wam i mleko i nawóz i cielę jedno co roku. Ale pieniędzy nie macie swoich, więc prosicie Jankiela, żeby wam je pożyczył. Czyż nie byłoby słusznem, żeby Jankiel powiedział: Dobrze, 50 reńskich ci pożyczę, ale póki mi ich nie oddasz, dasz mi każdego roku cielę małe, jak się tylko urodzi. Rzecz jasna, że na taki układ bardzo chętnie się zgodzicie, bo ta krowa da wam oprócz cielęcia coś więcej, mleko i nawóz, a więc pożyczanie od Jankiela 50 reńskich przyniesie wam na tych warunkach oczywistą korzyść.

Cóż z tego, kiedy rzadko się trafia, żeby jaki Jankiel chciał się kontentować takim słusznym procentem. Gdy go prosisz o pieniądze na kupno krowy, to on ci najczęściej odpowie: dobrze, pieniędzy ci pożyczę, ale mi będziesz za to corocznie po 12 cieląt dawał i wszystko mleko, które od krowy udoisz... Czyżby było dla was korzyścią wchodzić z Janklem w taki interes? Oczywiście że nie, bo cóż dla was za pożytek, jeśli on wszystko mleko zabierze i zkaąd wziąć dla niego co roku dwunastu cieląt, kiedy krowa jedno tylko w roku urodzić może!

Żądanie takiego wysokiego wynagrodzenia za niewielką przysługę nazywa się *lichwą* i jest niesumieniem korzystaniem z biedy ludzkiej, albo z głupoty ludzkiej, i występniem oszukiwaniem bliźniego. Ale też przymusu żadnego do wchodzenia w takie umowy niema i żaden człowiek rozumny i trzeźwy umowy tak niekorzystnej dla siebie z Jankielem nie zawrze... A przecież

zdarzały się często w kraju naszym wypadki, że czy to z głupoty, czy po pijanemu, zawierali ludzie z żydami takie nierozsądne układy i potem za jedną pożyczoną krowę całe gospodarstwa zabierano im w długu — bo każdego roku po jedenaście cieląt dopisywano do długu, a i cielęta te przecie co roku rość musiały i coraz większą przedstawiały wartość.

Skoro się takie wypadki między ludźmi na wsiach gęściej pojawiać zaczęły i ci, co pieniądze gospodarzom pożyczali, już ziemię im wydzierać zaczęli, opatrzyli się panowie w Sejmie, że to niesprawiedliwość jest wielka, i radzili długo nad tem, jakby ludzi ciemnych od takiego wyzyskiwania ochronić — ś. p. nieboszczyk pan Rydzowski napisał mądrą ustawę przeciwko lichwie, a Sejm prosił Cesarza, żeby tę ustawę zatwierdził — i dziś już nie wolno brać od kapitałów procentu większego jak sprawiedliwość i słuszość. Takiego przecie prawa, któreby od pożyczonego kapitału całkiem procentu brać zakazywało, nie może wydać nikt: boby to prawo znowu niesprawiedliwością było, i doprowadziłoby do tego, żeby nikt więcej kapitałów nie składał, tylko co dziś zarobi, toby jutro przejadł i zmarował. Wtedy kraj cały byłby biedny i ludzie wszyscy biedni, i niktby u nikogo nigdy poratunku żadnego nie znalazł. Zresztą pożyczanie pieniędzy potrzebującemu ich, jest przecież wyświadczaniem *przysługi* — a każdą przysługę czemś odslużyć albo odwdziaczyć należy.

„Więc mówicie panie Janie, że za każdą przysługę, jaką nam ludzie robią, zaraz im płacić potrzeba?“
zapytała Michałowa stara.

„Za każdą moi kochani, za każdą — odrzeczcie Janek — bo nikt niema obowiązku za darmo wyświadczać nam przysługi. I my też do świadczenia drugim nie skorzy. Każdy pracuje przedewszystkiem dla siebie i dla swoich dzieci, a tylko głupi lub marnotrawny rozrzuca pracę swoją dla drugich. Więc nie wiercie faryzeuszom, którzy mówią, że wam dobrodziejstwo świadczą pożyczając wam pieniędzy — bo pewnie własny zysk przedewszystkiem mają na widoku. Nie wiercie kupcowi nieuczciwemu, który wam się na jarmarku przysięga, że oddaje wam towar swój ze stratą, że go samego więcej kosztuje — bo pewnie nie trudziłby się handlem, gdyby w nim zysku dla siebie nie widział. Nie mówcie, że łaskę świadczyście biedniejszemu od siebie, gdy mu zarobek na swoim polu dajecie — bo on wam w zamian za wasze pieniądze daje swoją pracę. I nie mówcie, że łaskę robicie panu, gdy na zarobek do dworu idziecie — bo on za waszą pracę daje wam znowu pieniądze.

Gdziekolwiek spojrzycie na stosunki ludzi do ludzi, wszędzie ujrzycie jedno choć pod rozmaitemi formami: wszędzie ujrzycie zamianę towaru za towar, chleba za chleb. Czasem towarem tym rzeczywiście jest chleb, czasem buty, czasem bydłę, czasem ziemia, czasem cukier, czasem pieniądz a czasem praca... Bo to wszystko jest towar, który jedni kupić potrzebują, a drudzy do sprzedania mają. A że, jak to już wiecie, każdy towar użyteczny, przez ludzi pracowicie z ziemi wydobyty, albo zręcznością ludzką zrobiony być musiał, czyli że każdy towar jest pracy ludzkiej wytworem — więc powiedzieć można, że wszystko, czem pomiędzy sobą handlujemy i czem sobie wzajemnie wy-

świadczamy przysługi, przedstawia *pracę ludzką*, tylko przeobrażoną w rozmaite kształty i formy.

Natura oprócz powietrza i światła dziennego nie nam darmo nie daje. Wszystko inne pracą ciężką zdobywać sobie od niej musimy. Może to być praca nasza własna, dzisiejsza — a może to być dawna rodziców albo pradziadów naszych praca, której oni nie zjedli, nie zmarnotrawili, lecz dla nas zaoszczędzić i pod rozmaitą formą jako kapitały nam przekazać byli łaskawi... Dość że za pracę lub za pieniądze zapracowane wszystko dzisiaj nabywać sobie człowiek musi — i nie mając od natury nic za darmo, niema też obowiązku darmo drugim oddawać.

Dlatego też nie świadczymy sobie podarunków, lecz ciągle mieniamy się z drugimi: dajemy, żeby nam za to co dali; robimy im, żeby nam za to co zrobili; dajemy to, co nam zbywa, bierzemy w zamian to, czego potrzebujemy.

Dwa tylko od tej ogólnej zasady, wymiany przysługi za przysługę, są wyjątki:

Rodzice świadczą dobrodziejstwa dzieciom swoim nie żądając za to nic od nich w zamian. I ludzie Boga w sereu mający, świadczą ubogim i chorym, starcom i kalekom nie mogącym pracować, również nie od nich nie żądając w zamian. A przecież i tu — to dziecko, gdy do rozumu przychodzi, odwdzińczyć się stara rodzicom poszanowaniem i pielęgnacją w starości. A i ten żebrak kaleka, który miłosierdzia dozna, poczuwa się do obowiązku odplacenia datku tem, na co go stać: modlitwą do Boga za pomyślność dobrodzieja swojego.

Oprócz tych dwóch, na miłości naturalnej i na miłości chrześcijańskiej opartych wyjątków, wszędzie widzimy tylko wymianę usług: *Nic darmo nie rozdaje człowiek rozumny — i nic darmo nie przyjmuje człowiek uczciwy.*

XXII. Wartość a cena.

„Panie Janie! panie Janie!“ zawołało naraz kilka głosów w gospodzie, gdy Janka wieczorem wchodzącego ujrzeni. „Czy to może być prawda, co opowiada Warzek, który wczoraj dopiero z wojska powrócił? Opowiada on, że na własne oczy w którymś niemieckim mieście widział, jak wodę przekupień sprzedawał, a ludzie mu za nią płacili.“

„Ej ktoby tam w takie brednie wierzył, ktoby zaś wodę kupował“ rzecze Katarzyna Wojtkowa.

„A ja mu wierzę — odpowie Janek — bo to jest rzecz możebna. Mówilem wam już kiedyś, że tylko dwie rzeczy w naturze daje nam Pan Bóg darmo: to powietrze i światło słoneczne — resztę wszystko pracą naszą od przyrody dobywać sobie musimy. Gdziekolwiek zaś praca człowieka jest użyta, tam i zapłata jest możebna i słuszna. Jeżeli komuś w mieście nie chce się samemu iść do rzeki lub studni po wodę, lecz przynieść sobie ją każe, słusznie żeby za tę przysługę zapłacił. W Warszawie tak samo chłopcy mali piasek wiślany we wozkach noszą i wołają głośno: piasek! piasek! kto chce kupić piasku! i otwierają się okna w domach,

kucharki kiwają na chłopców, żeby na górę przynieśli i płacą im po 10 groszy za woreczek. — Tak woda tamta, jak piasek ten, nie kosztuje nic tego, co je różni, więc sprzedając piasek lub wodę, sprzedają oni tylko pracę swoją: nabrania i przyniesienia.

Inaczej z towarem, na którego zrobienie materiału kupić potrzeba było. Tu ten, co kupuje towar, zapłacić musi i to, co materiału kosztował, i to, co kosztowały jego przewózki z miejsca na miejsce, i to, co warta praca rzemieślnika, który ten materiału surowy na rzecz użyteczną przerobił, i nareszcie jeszcze koszt pośrednictwa czyli zarobek kupca, za trud jego, że ten towar wyszukał, nabył, przywiózł i nam go dostarczył. Tak na przykład kupując buty w sklepie, płacimy w nich za skórę, tak jak z cielęcina zdarta była, za zawiezenie jej do garbarni, za robotę garbarską, za przewiezenie jej do szewca, za robotę szewską, za kolki, gwoździe, dratwy i podkówki, jakie szewc dodać musiał, za mieszkanie i sklep, które szewc ten zajmuje i za żywność, jaką daje swym pomocnikom i wreszcie zarobek kupca, który nam je sprzedaje, jeżeli niewprost kupujemy od szewca.

W ten sposób wartość rzeczy każdej niesłychanie się podnosi, im więcej razy przerabiana była na lepsze i im więcej umiejętnej pracy ludzkiej do surowego materiału dodano.

Żeby wam tylko pojęcie dać, jak praca ludzka i rozum ludzki uszlachetnia rzecz każdą i przerabiając ją na lepsze, coraz więcej nadaje wartości — to przytoczę wam kilka tylko przykładów:

Fura buraków warta jest 12 reńskich. Gdy w cukrowni przerobią te buraki na cukier, to fura ta wyda

cukru centnar, a wartość jego już nie 12, lecz 45 reńskich.

Kamień póki głęboko w ziemi leży, nie wart prawie nic. Gdy ztamtąd wyrwą bryłę jego wielkości metra sześciennego i na wóz ją włożą, warta już jest z reńskiego albo 2 (stosownie do trudności wyłamania). Gdy tę bryłę do miasta przywiozą i kamieniarz ją oglądzi tak, żeby do budowy mostu lub domu była przydatna, już warta jest z 15 reńskich. A jeżeli rzeźbiarz z niej figurę Matki Boskiej do kościoła wyrzeźbi, to już zapłacą mu za nią 100 albo i 200 reńskich. Choć to ciągle ten sam kamień, tylko pracy i zręczności ludzkiej do niego przybyło.

Czterokonna fura rudy żelaznej płaci się około 1 reńskiego. Z niej wyrobią centnar żelaza, które już warte jest 10 reńskich. Tenże centnar żelaza przerobiony na podkowy wart już jest 40 reńskich, a przerobiony na noże ordynarne 400 reńskich, a na scyzoryki 6000 reńskich, a na igły 10.000 reńskich, a na sprężyny do zegarków to już więcej jak sto tysięcy reńskich.

Na morgu pola urodzić się może lnu tyle, że tak jak jest tylko co sprzątnięty, zapłaciliby ludzie za niego 300 reńskich. Gdy go wyrosimy, na przędzy wytrzymemy, z paździerzy wyczyścimy, wymiędlimy i wyczeszemy, w postaci przędzy dadzą nam już za niego 600 reńskich. Gdybyśmy go jeszcze sprzedli na nici, zapłaciliby nam za nie już 1200 reńskich — płótno z tych wszystkich nici utkane warte już 5000 reńskich — a jeżeli koronki z tych nici misternie udzierżgane, to i sto tysięcy mogą być warte.

W potocznej mowie mieszamy też często wyrazy *wartość* a *cena* towaru, a to nie zawsze znaczy to sa-

mo. Są rzeczy, które dla wszystkich wielką mają wartość, bo są koniecznie do życia potrzebne, a których cena bywa niska lub nawet żadna. Bez powietrza obejść niepodobna, więc wartość ma ogromną — ale ceny niema, bo go mają wszyscy za darmo. Chleb ma wartość wielką, a cenę małą, bo go jest dużo na świecie. Perły, dyamenty, koronki mają wartość rzeczywiście niewielką, dla mnie naprzykład wcale żadną, bo mi niepotrzebne — a przecież dlatego, że są rzadkie i że dużo pracy ludzkiej kosztują, nim je się znajdzie, oszlifuje lub zrobi, mają cenę bardzo wysoką.

Z tego widzicie, że cena nie zawsze bywa równa z wartością. Ale i ceny jednego i tegoż samego towaru bywają niejednakowe, czasem wyższe, czasem niższe. Czemże to się dzieje?

Żeby to zrozumieć, przypomnieć wam muszę, co już raz powiadałem, że w cenie towaru mieści się zawsze: i wartość surowego materiału i kosztu transportu i praca rzemieślnika, który materiał na towar przerobił i zysk kupca, który ten towar gotowy rozwozi i sprzedaje. Jeżeli tedy rzemieślnik wynajdzie sobie takie miejsce, gdzie taniej niż dawniej materiał surowy kupić może — albo jeżeli wymyśli taką maszynę, że mniejszym mozołem, mniejszym kosztem i prędzej i więcej towarów tych wyrobić potrafi — albo jeżeli drogi w kraju tak się poprawią, że transport towarów po nich znacznie potanieje — to naturalnym sposobem będzie mógł każdy o tyle taniej towar ten kupić.

A więc zapamiętajcie sobie *po pierwsze*: cena towaru zawisła jest od kosztów zrobienia tego towaru. Kiedy skóra zdrożeje, droższe są zaraz buty — a kiedy chleb zdrożeje, to także buty muszą być droższe,

bo szewca więcej kosztuje wtedy wyżywienie i siebie i rodziny i czeladników.

Po drugie: wpływa na cenę to, czy towaru tego jest dużo na sprzedaż czy mało — i czy takich, co tego towaru kupić potrzebują, mało jest czy wielu? To już i na jarmarku każdym zauważyć sami mogliście: Przypędzą dużo świń, kartofle się nie urodziły, mało kto ma ich na tyle, żeby miał czem wieprzaka karmić, więc mało kto o świnie się pyta. Droży się z niemi jeden, droży się drugi z początku, potem widzą, że sprzedać trudno, więc spuszcza ją tak długo, aż się przecie dla taniości polakami ktoś kupić. Wtedy wracacie z jarmarku i powiadacie: świnie były dziś *tanie*. Innym razem głód na okolicę, zboża starego na przednowku brakło, nowe jeszcze zielone. Jaki taki, co zarobił przez tydzień parę groszy, biegnie na jarmark i chce choć ćwiartkę kupić. A tu pokazuje się, że tylko kilka fur z żytem stoi i to zdaleka przyjechały. Na każdej furze po 8 korey jest, a tu każdą furę ze 100 ludzi obstąpi i każdy ćwiartkę chce. Tedy właściciel żyta górnie się trzyma, ludzie głodni postępują coraz z ceną, on twardy ani centa opuścić nie chce, bo myśli sobie: nie dasz ty, to da drugi — i żyto tego jarmarku jest *drogie*. I będzie tak drogie póty, póki kupcy z dalszych stron nie dowiedzą się o tem, że tu brakuje, i nie nawiozą z tańszych okolic tyle, wiele potrzeba.

Tak samo gdy mało butów na jarmark szewcy przywiozą, a tu mróz ścisnąć zaczyna i każdy chce w butach nowych z jarmarku do domu wrócić. Wtedy sami kupujący podbijają cenę, woląc dorzucić coś, a buty zaraz mieć i szewcy korzystają z tego — i cena butów zaraz zdrożała.

Na to odezwała się Katarzyna, co przęła:

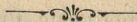
„A to niepoczciwie tak z biedy ludzkiej korzystać, jak z tem żytem i z temi butami na końcu. Rząd powinien zabronić takiego wyzyskiwania.

„A zaraz do rządu pretensye macie, żeby was niańczył — odpowie Janek z uśmiechem. Jakby rząd w takie rzeczy się wdawał i w drogie czasy kazał tanio zboże sprzedawać, toby jeszcze gorzej zrobił dla głodnych. Bo kupcy nie przywieźliby zboża wcale, a głodni poumieraliby z głodu. Na to są inne sposoby, żeby kupcy potrzebujących nie wyzyskiwali i nie żądali ceny większej za towar niż obstać mogą. Jakby tylko kupiec jeden chciał zbyt wielkie zyski ze sprzedaży ciągnąć, to zaraz znajdzie się drugi, co powie: „chodźcie do mnie, ja wam sprzedam taki sam towar taniej. On chce 4 centy na każdym funcie zyskać, a ja jednym centem zarobku się kontentuję.“ I zaraz ludzie rzucą się wszyscy do tego drugiego. Pierwszy oszuka dwóch albo trzech nieświadomych, sprzeda 3 funty z zarobkiem 4 centów na funcie, to zarobi razem 12 centów przez dzień. A ten drugi, co tylko jednego centa na funcie chce mieć zysku, sprzeda w tym dniu 200 funtów i ma 2 reńskie zarobku. To się nazywa *konkurencya* i ona to jest hamulcem na nieuczciwych kupców i ceny towarów podnosić nie pozwala. Zdarza się czasem, że w małym miasteczku zmówi się kilku kupców i cenę zboża na dni kilka podniosą — ale dowie się o tem wkrótce inny kupiec z drugiego miasteczka, że tu zboże podrożało — więc chcąc sam dużo zarobić, przywiezie zaraz dużo zboża swojego. W tej samej myśli przywiezie jeszcze z drugiej strony kupiec drugi i trzeci i czwarty i nawiożą tyle, że się okaże towaru

więcej niż popytu na niego. Nazad odwozić nikomu się nie zechce, bo transport kosztuje; więc spuszcza ją kupcy coraz z ceny, byle towaru się pozbyć — i w końcu taniej go czasem sprzedają, niżby byli w domu sprzedali.

Zdarza się też, że wygląda z jesieni na drożyznę, kupcy od rolników drogo zboże kupują — a potem czy się zboże namłotniejsze pokaże niż myśleli, czy dowiozą z innych krajów dużo — dość że cena spadnie i kupcy ze stratą sprzedawać muszą. Rzadko im się to zdarza bo to naród ostrożny — ale zdarza się przecie niekiedy — więc znowu kiedy sposobność inna się nadarzy, wynagrodzić to sobie pragną.

Z tego wymiarkujecie także, że dobre drogi w kraju, rzeki spławne i koleje żelazne są także doskonałą obroną od drożyzny i mniej więcej wyrównywają cenę przywożnych towarów — bo kupcy dla własnego interesu dowiadują się pilnie, gdzie czego brakuje i czempredziej w to miejsce zwożą ze wszystkich stron towar. Im więc lepsze są drogi, tem prędzej towar brakujący nadejdzie, tem krócej przeto trwać będzie sztuczna albo naturalna drożyzna.



XXIII. Co to jest kredyt?

Wiemy już, że *kapitał* ogromnem jest ułatwieniem i pomocą pracy ludzkiej — i że jeżeli ktoś własnego kapitału nie posiada, to może czasowo posłużyć się ka-

pitalem cudzym pożyczonym. Żeby módz od ludzi dostać pożyczkę kapitału, potrzeba u nich mieć *kredyt* — więc wam dziś wytłomaczyć chcę znaczenie tego wyrazu. Kredyt znaczy w łacińskim języku, że jeden drugiemu ufa, wierzy, zawiera albo powierza. Bo bez wiary nie byłoby kredytu. Dlatego też tego, który dłużnikowi wierzy i pieniądze mu swoje powierza, zowie-my *wierzycielem*.

Człowiekowi, którego znają, że rzetelny i że będzie miał z kąd oddać, mogą zawierzyć i na *słowo*. Nieznajomemu wierzą tylko wtedy, jeżeli im da *zastaw*. Zastawem może być kosztowność jaka, ale może być również dom, ziemia, suknia, towar i każda rzecz, która ma wartość i sprzedaną być może. I niekoniecznie, żeby dłużnik wierzycielowi do rąk te zastawy oddawał, bo mogą mu być do użytku potrzebne: jak warsztat rzemieślnikowi do pracy, towar kupcowi do wymiany na inny, ziemia rolnikowi do gospodarowania na niej. W takim razie zadawalnia się wierzyciel, zamiast zastawu rzeczy samej, *pisemnem zapewnieniem* dłużnika, że mu te rzeczy w zastaw daje. Pismem tem daje dłużnik wierzycielowi prawo: iż w razie nierzetelności i nieoddania w terminie długu, wierzyciel może mu te rzeczy zabrać, sprzedać i pieniądze pożyczone odzyskać. Naturalnie, że pisemne zapewnienie takie wtenczas tylko wierzycielowi daje rękojmię, jeżeli dłużnik daje w zastaw rzecz taką, która nie da się w kieszeń schować i potajemnie sprzedać lub ukryć, a więc ziemia lub dom, albo choćby w cudzym domu: fabryka, warsztat lub skład towarów.

Zapewnienia pisemne dłużne, miewają rozmaite formy:

Jeżeli na przykład pożyczam komu pieniądze na zastaw ziemi lub domu, to będę żądał od niego *zapisu hipotecznego*. Bo papier taki daje mi w razie nierzetelności dłużnika pierwszeństwo do jego posiadłości, przed długami później na tę samą posiadłość zaciągniętymi.

Jeżeli znowu pożyczam rzemieślnikowi albo kupcowi, będę wolał zażądać od nich *wekslu*. Bo z tego papieru krótszy proces i krótszy termin oddania długu. Biorąc weksel, wiem z pewnością, że za trzy miesiące będą mi pieniądze zwrócone, a jakby dłużnik chybił, to zabieram mu i sprzedaję jego towary i sprzęty.

Z tego jasnym jest, że kredyt u ludzi może znaleźć taki tylko człowiek, który coś posiada. I to posiadłość jego musi mieć większą wartość, niż dług wynosić ma — bo inaczej kapitaliści mówią, że bezpieczeństwa dla nich by nie było, zaufania nie mają i pieniędzy nie powierzają.

A jakżeż z tymi, którzy nie posiadają nic takiego, co by sprzedać można? Czyż ci zupełnie wykluczeni są od dobrodziejstwa kredytu? Czyż takim nikt już nie zawierzy?

Tak jest moi kochani. Do niedawna jeszcze nikt takim nie pożyczał... A przecież między nimi bywają pracownicy dzielni, silni i uczciwi, którzy pracą rąk swoich zarobić potrafią w przyszłości tyle, że i rodzinę utrzymają i dług zaciągnięty najsumienniejsz odplacą. Wszak między nimi są i ludzie uczeni, co jeżeli nie rękami, to głową i rozumem swoim zarobić mogą także w przyszłości tyle, że wierzycielowi co winni z pewnością oddadzą...

„Czy tylko z pewnością?“ odpowiada niedowierzająco kapitalista. A jeżeli ci ludzie uczciwi pierwej

umra, nim tyle zarobią — to ja gdzie będę szukał moich pieniędzy?

I otóż tacy ludzie, nie mogący nic dać wierzycielowi w zastaw, oprócz uczciwości i przyszłej swojej pracy, napróżno szukali kredytu, odmawiano im go wszędzie. Dopiero w niedawnym czasie wynaleźli ludzie i na to sposób, a nawet aż dwa sposoby.

„Jakież to, jakie?“ — zawołało kilku słuchaczów naraz.

„Dwa sposoby powiadam: pierwszy, to *zabezpieczenie się dłużnika na życie*, żeby nawet w razie śmierci jego nie przepadły wierzycielowi pieniądze — a sposób drugi, to poręczenie za niego przez jego znajomych, że jakby on umarł przedwcześnie, to oni za niego zapłacą.

„A któżby to zechciał poręczać za takiego, który nie niema, a umrzeć każdego dnia może?“

„Tacy — odrzeczł Janek — którzy tak samo nie posiadają jak on, a nawzajem jego poręczenia dla siebie potrzebować mogą.

„Alboż to poręczeniem drugiego takiego samego hołysza jak tamten, ukontentuje się wierzyciel i już nie będzie się bał pieniędzy pożyczyc?“

„A nie będzie się bał, jeżeli tylko tych wzajemnie za siebie poręczających będzie wielu i jeżeli ich zna, że uczciwi i rzetelni są ludzie. Bo wtedy ten, co pieniądze do wypożyczania ma, tak to sobie rachuje: Ponieważ znam tych ludzi, że są pracowici, to wiem, że zarabiać będą. Ponieważ wiem, że oszczędni i rzetelni, to część zarobku swego na spłacanie długu odkładać będą. W odebraniu więc pieniędzy moich jedna tylko śmierć wczesna tych ludzi mogłaby być przeszkodą.

Ale ponieważ tutaj zebrało ich się kilkudziesięciu lub stu pracowitych, oszczędnych i rzetelnych i wszysej mi ręczą za każdego, a każdy za wszystkich — więc pieniądze moje są pewne — bo wszysej naraz nie umrą, a za tego, który umrze, inni się złożą i zapłacą.

Z tego widzicie, że człowiek, który kredytu sam znaleźć nie może, może go znaleźć przecie, gdy się skompanuje z drugimi; — ale musi to być pracowity, oszczędny i rzetelny człowiek, bo inaczej drudzy go z sobą do kompanii nie przyjmą.

Czy kto sam, czy z drugimi w spółce chce pieniądze od drugich pożyczać — ten musi być rzetelnym człowiekiem i dotrzymywać co przyobiecał — bo to, pamiętajcie sobie, że gdzie rzetelności niema, tam nie może być kredytu.

Kto raz zaufanie zdradzi, temu już drugi raz nie wierzą. Choćby i weksle i rewersy i skrypta notaryalne i hipoteczne dawał i folwarki i kamienice miał — jeżeli tylko ludzie przekonają się, że kręt i że procesem dopiero pieniądze z niego dobywać potrzeba — to już się go boją i jedni drugich przed nim przestrzegają i pieniędzy więcej nie zawierzają.

To wam moi kochani powiedziałem jedną stronę *kredytu*: jak to ostrożni są ci ludzie, którzy pieniądze do rozpożyczenia mają.

Teraz powiedzieć wam choć w kilku słowach chciałbym coś o stronie drugiej, to jest o tych, którzy pieniądze od tamtych na kredyt brać chcą. I ci także bardzo ostrożni być powinni, może więcej jeszcze niż tamci. Bo o ile kredyt bywa dobrodziejstwem wielkiem,

gdy rozumnie i z rachunkiem nim się posługujemy — o tyle zabójczym jest on dla ludzi lekkomyślnych i nieumiejących rachować.

Ja wiem, że każdy, nawet zamożny i gospodarny człowiek, może czasem znaleźć się w takim położeniu, że mu pieniędzy na coś gwałtownie potrzebnego zabraknie i musi szukać pomocy u bliźnich.

Ale nim się człowiecze na ten krok odważysz, żebyś miał dług zaciągnąć — obrachuj się dobrze pierw z sumieniem, czybyś nie mógł bez tego się obejść i czy będziesz na pewno w możności w obiecany termin go spłacić — i jeszcze bacz dobrze od kogo pożyczasz... czy on świadcząc ci niby przysługę, na twoją zgubę nie czyha?

Bo pamiętajcie ludzie sobie, że bardzo łatwo bywa wziąć — ale bardzo trudno przychodzi oddać! A jak nie oddasz w terminie raz i drugi, jak ci zaczną przypisywać procenta zaległe do długu — to tak ci narosnie tego ponad głowę, że już się nie wyplączesz biedny człowiecze z tej matni, w jaką samo chcący wlałeś, i z tego stryczka, jakiś sobie sam nieopatrznie na szyję swoją założył.

Więc nie bój się pieniędzy od ludzi pożyczyć, jeżeli *pewność* masz, że te pieniądze w terminie umówionym będziesz mógł oddać — i jeżeli *pewność* masz, że te pieniądze pożyczone, a przez ciebie rozumnie użyte, większy ci zysk przyniosą, niż procentu od nich opłacisz.

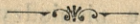
Więc nie bój się pieniędzy pożyczyć na kupno skóry, jeżeli jesteś szewcem i jeżeli na te buty już zamówienie masz, które z tej skóry wyrobisz. Ale bardzo ostrożnym już bądź z pożyczaniem na kupno bydłęcia,

które zdechnąć ci może, tak samo jak z pożyczaniem na rachunek zboża, które może ci nie obrodzić. A już wcale strzeż się pożyczki zaciągając na wydatki takie, które chociaż konieczne, nie powrócą ci się już nigdy, jak podatki, ubranie i jedzenie. A już zgoła nie popełniaj nigdy grzechu ciężkiego, żebyś miał dług zaciągając na marnotrawstwo, na wydatki nie konieczne, zbyt kosztowne, jak hulatyka, pijaństwo, szumne chrzciny, wesole kilka dni trwające weseliska, albo kosztowne, a niepotrzebne pogrzebowe stypy.

Zabaw się bracie za cząstkę tego, co zarobiłeś — tego ci nikt za złe nie weźmie. Byle bez obrazy Boskiej, byle po opłaceniu pierwszej koniecznych twoich wydatków i byle nie za pożyczane pieniądze.

Kredyt jest nieocenionem dobrodziejstwem dla ludzi, którzy roztropnie używają go na pomożenie sobie w wytwórczej pracy, którzy pożyczone pieniądze włożą w gospodarstwo, w warsztat, albo w handel i pracą swoją z pomocą tych pieniędzy pożyczonych wytworzą dwa razy tyle pieniędzy, aniżeli pożyczyli. Ale klęską prawdziwą staje się kredyt łatwy dla lekkomyślnych, którzy biorąc pożyczkę, nie pamiętają o tem, że ją oddać będą musieli z procentem.

Kto pożycza pieniądze na to, żeby je strawić — a nie na to, żeby z tych pieniędzy nowe a większe pieniądze wytworzyć — ten musi prędzej czy później zejść na dziady.



XXIV. Co to jest weksel?

Kredyt dobrodziejstwem jest wielkiem dla ludzi pracowitych i rozumnych przez to, że im zastąpić może kapitał, którego nie mają, a który im do rozwinięcia pracy jest potrzebny.

O ileż większem jeszcze dobrodziejstwem dla takich ludzi jest kredyt krótkotrwały, *wekslowy*, który nie raz jeden, ale kilka razy równocześnie może kapitał brakujący zastąpić i kilkakrotnie go na czas jakiś rozmnożyć.

Objaśnię wam to zaraz na przykładzie:

Fabrykant sukna miał kapitał własny dość duży. Część jego ma w budynku fabrycznym, część w maszynach, część w wełnie, którą zakupił na przerób, a część jeszcze w gotówce. Zwolał robotników wielu i z ich pomocą wyrabia z wełny sukno. Przez rok wyrobił sukna bardzo wiele; pieniądze, jakie miał w gotówce, wydał już na opłacanie robotników, więc chce sukno wyrobione sprzedać, żeby dostać znowu pieniądze na nowe zakupy wełny, na opłacenie podatku i na dalsze płacenie robotników. Teraz w wyrobionem suknie ma on znaczny *kapitał*, który chciałby przemienić na gotowe pieniądze — bo jakby tego nie zrobił, musiałby robotników rozpuścić i fabrykę zamknąć. Szuka więc jakiego wielkiego hurtownego kupca, któryby cały zapas sukna wyrobionego zakupił i pieniądze mu zaraz zapłacił.

Tymczasem kupiec hurtowy odpowiada, że sukno wszystko zakupić gotów jest, ale zapłacić za niego nie

może zaraz, aż za 3 miesiące... Bo przecież on sukna tyle nie potrzebuje dla siebie, tylko rozprzedać je chce partyjami większym kupcom po miastach — więc nim to sukno rozwiezie po kraju i nim jemu za niego zapłaci, to najmniej 3 miesiące upłyną.

Fabrykant wolałby pieniądze dostać zaraz — ale gdy nikt mu ich dać nie chce, zgadza się na 3-miesięczny kredyt i każe sobie na tę sumę dłużną, za jaką sukno sprzedał, *wystawić weksel*.

Hurtownik sukno zabiera z fabryki i rozwozi na różne strony do kupców. Ale ci kupcy powiadają mu: Pan wiesz przecie, że my tyle sukna od razu rozprzedać nie potrafimy sami, musimy rozesłać je krawcom i mniejszym kupcom po miasteczkach; więc sukno to od ciebie weźmiemy dzisiaj, ale zapłacimy za niego dopiero po trzech miesiącach. Tymczasem damy ci *weksel*.

Kupcy ogłaszają krawcom, kupcom mniejszym i kramarzom, że nadszedł do nich świeży transport sukna i zapraszają do kupowania. Kramarze i krawcy zjeżdżają się do tych składów po sukno, ale prawią: ja wezmę dziś jedną albo dwie sztuki tego sukna, ale zapłacę za nie dopiero po 3 miesiącach, bo myślę, że do tego czasu rozprzedać je na łokcie mi się uda, a choćbym wszystkiego i nie rozprzedał, to ze sprzedaży innych towarów zbieram sobie do tego czasu potrzebne dla ciebie pieniądze. Tymczasem daję ci *weksel*.

Dopiero kramarz na jarmarku, albo krawiec w mieście sprzedają ludziom potrzebującym to sukno nie za weksel lecz za gotowe pieniądze — choć jeszcze i oni niekiedy kredytują znanym z uczciwości ludziom.

Otóż widzimy, że tutaj towar był jeden i *kapitał* był jeden, to jest wartość sukna, a za pośrednictwem

weksli poszedł 3 razy w obieg, i że 3 razy zapłacili ludzie za niego wekslami, a czwarty raz dopiero gotowemi pieniędzmi.

Komu z tych, którzy dostali weksle, nie jest pilno dostać za nie pieniędzy, ten może sobie weksel do pularesu schować i 3 miesiące cierpliwie na zapłatę czekać. Ale komuż z handlujących nie pilno? Każdy gotowego grosza czemprowadziej dorwać się chce, bo ma ciągle wydatki. Więc zaraz niesie każdy z nich weksle otrzymane do *bankiera*, dopisuje na tym wekslu jeszcze swoje nazwisko pod nazwiskiem swojego dłużnika — a bankier wypłaca mu całą wartość wekslu gotowemi pieniędzmi zaraz, tylko sobie procent za te 3 miesiące potrąci i jeszcze drobnostkę jakąś za zrobienie przysługi.

To się nazywa po kupiecku, że bankier weksle *eskontował*.

Jeżeli weźmiemy jeszcze w rachubę, że fabrykant ów wielki niema czasu sam jeździć po wsiach, wełnę od rolników po trochu skupować, lecz wyręczają go w tem inni kupcy — i że kupcy ci, gdy większą partycę owczej wełny kupują w zamożnym jakim dworze, to także często nie pieniędzmi lecz *wekslem* za nią płacą — a gdy kupioną w różnych miejscach wełnę do fabryki przywożą, to fabrykant także często tych kupców o kredyt 3-miesięczny prosi i *wekslem* zamiast gotówki im płaci... — a i ci kupcy pośrednicy i tamten właściciel owiec także z wekslami swojemi do bankierów się udadzą i u nich je na gotówkę wymieniają... — to poznamy, że gdy początkowo *kapitał był jeden tylko*, to jest wartość wełny przerabianej na sukno — to teraz przez 3 miesiące aż *sześć kapitałów* takich pomiędzy ludźmi

obiega, tak jak gdyby na jeden zastaw sześć razy pożyczone były przez bankierów pieniądze.

Więcej nawet, bo co późniejszy weksel to na większą kwotę, bo w każdym późniejszym wekslu oprócz wartości wełny lub sukna mieści się jeszcze i zarobek tego, co wełnę na sukno przerabiał i tych, co mu w sprzedaży sukna pośredniczyli.

Kiedy *jeden* kapitał, czy to własny, czy pożyczony, wiemy już jaką dla ludzi pracujących jest pomocą i jak im pracę ułatwia — ileż on dopiero ludziom pracowitym i ruchliwym bogactwa przysporzyć może, gdy się naraz jak tutaj aż w *sześcioro* rozmnoży!

Tu dzięki kredytowi wekslowemu i bankom, nikt na pieniądze swoje nie czekał. Każdy, kto towar swój drugiemu oddał, odebrał od niego weksel, a od bankiera zaraz pieniądze i zaraz znowu je w ruch puścił:

Rolnik czyli właściciel owiec miał zaraz czem podatki opłacić, sługi i najemniki swoje wynagrodzić i owcom paszy dokupić. Hurtownik zaraz jechał z otrzymanymi od bankiera pieniędzmi do innego bankiera albo do innej fabryki, by tam weksel swój inny przed trzema miesiącami wystawiony wykupić. Kupcy płacą pieniędzmi otrzymanymi za weksle z sukna pochodzące, te długi swoje, które przed trzema miesiącami także na weksel pobrali. I tak dalej idą pieniądze w ruch, te pieniądze, które wszyscy za sukno pobrali, ale sześć razy więcej ich, aniżeli to sukno jest warte.

Ci więc, co weksle *dostali*, widzimy, że przez pośrednictwo bankierów zaraz zapłaceni byli. Ci zaś, co weksle *dali*, zapłacić je muszą od dziś za 3 miesiące — i to już nie tym, którzy od nich weksle brali, lecz tym,

u których w ręku weksel ten po trzech miesiącach się znajdzie.

Bo pamiętacie, że wszystkie te weksle wykupili bankierzy. A nie bali się ich wykupić, bo mówili: kiedy za ten świstek papieru nie bał się fabrykant sprzedać kupcowi towar, to ten weksel musi być tyle wart, co pieniądze gotowe. Ależ i z tych bankierów niejeden nie chciał 3 miesiące na pieniądze czekać, więc znowu dopisał na wekslu swoje nazwisko i odprzedał weksel innemu bankierowi, a ten może trzeciemu jeszcze... I tak weksel opatrzony podpisem uczciwego człowieka (któremu ludzie wierzą) obiega między ludźmi, jak gdyby sam był pieniądzem — aż po 3 miesiącach do pierwszego wystawcy wróci, bo mu go ktoś przyniesie i pieniądze od niego zażąda.

Ale niechże ten, co go pierwszy wystawił, raz tylko ludziom skrewi, raz zaufanie ich zdradzi i dobrą wiarę oszuka i w terminie obiecany weksel swojego nie spłaci... to pomyślcie jeno sobie, jakiego to on kłopotu wszystkim tamtym urobi, którzy na odwrotnej stronie jego wekslu swoje nazwiska podpisywali i tym podpisem swoim za uczliwość tego, co pierwszy podpisany był, ręczyli... To też takiemu, co ich wiarę zawiedzie, nigdy już więcej zaufania nie dadzą, nigdy więcej weksłu jego nie przyjmą, a co ma, to mu za ten dług bez miłosierdzia zaborą, sfantują, zlicytują i jego samego jak oszusta opublikują.

Bo *dobrą wiarą* każdy kredyt stoi — a już osobisty weksłowy kredyt tem bardziej.

Pięknym i bardzo dla handlujących pożytecznym jest taki kredyt weksłowy. Ale, jak wiadomo, każdą choćby najpiękniejszą rzecz przez jednych ludzi zrobio-

na, inni ludzie zepsuć potrafią: Zdarzyło się jednego razu, że dwóch oszustów zmówiło się: „udajmy, jako byśmy sobie jaki towar za weksle sprzedali; wystaw ty dla mnie jeden weksel, a ja tobie wystawię drugi — może nam bankier który uwierzy i pieniądze za nasze fałszywe weksle wypłaci“.

I znaleźli się bankierzy, co nie dopatrzyli podstępny, zaufali, i pieniądze za takie weksle dali. A gdy się sztuka taka oszustom raz i drugi udała — weszło potem w kraju naszym w obyczaj, że już i ludzie uczciwi nawet, ale lekkomyślni, ratując się w chwilowej potrzebie pieniędzy, a licząc na to, że się potem bankierom sproszą i pomału ratami dług swój rzetelnie spłaca, weksle takie *nieprawdziwe* wystawiają i z nazwiskiem swoim w obieg puszczają.

Bankierzy opatrzyli się wprędce, że to nie są sprawiedliwe weksle handlowe i że nie mają przeto tej wartości co gotowe pieniądze, i że spłatę ich wystawcom na raty rozkładać trzeba będzie. Ale obliczywszy sobie, że jak sobie za tę grzeczność co 3 miesiące drogo zapłacić każą, to zysk dla nich z przyjęcia tych weksli wypadnie: udają, że wierzą w prawdziwość tych weksli, przyjmują je od ludzi, których mają na czem patrzeć — pieniądze za te weksle dają — a potem co kwartał każą sobie nowe weksle wystawiać i drogo za przedłużanie kredytu się opłacać. Ale piękny kredyt wekslowy obniżył się przez to w kraju naszym do prostego szalbierstwa i nie daje on przez to naszemu handlowi i przemysłowi tych korzyści i usług, jakieby im dawać mógł i powinien.

W innych krajach kredyt wekslowy jest bardzo tani, bo bankierzy nie nie ryzykują i wiedzą, że każ-

dy weksel znaczy tam tyle co pieniądze gotowe. To też weksle tam obiegają z rąk do rąk i ludzie wypłacają sobie niemi należności tak jak banknotem rządowym.

U nas nikt nie jest pewien, czy wystawca weksłu zapłaci w terminie przyrzczone pieniądze, wszyscy weksłów naszych się boją, podejrzewając w nich nieprawdę; dlatego weksle nasze nie kursują po rękach, tylko po większej części leżeć muszą w kasie bankiera zamknięte — a bankierzy nie mogą puścić tych weksli w kurs i ryzykując, że nie od wszystkich pieniądze swe odbiorą, nie dziwnego że drogo za ryzykowne przysługi swoje płacić sobie każą...

Więc dobrodziejstwem jest kredyt wekslowy ogromnem, ale z tego wymiarkować wam już łatwo *dla kogo?*

Oto dla *rzemieślnika*, który pewny jest, że przez 3 miesiące tyle towaru wyrobi i sprzeda, że z *pewnością* weksel dany za materyał do roboty swojej, spłacić w tym terminie potrafi.

Dla *fabrykanta*, który wie, że hurtowni kupcy czekają na wyrób jego fabryki niecierpliwie i rozkupią go zaraz po wyrobieniu, i najdalej do 3 miesięcy gotówką mu za ten wyrób jego z *pewnością* zapłacą.

Dla *kupca*, który pewien jest, że w ciągu 3 miesięcy tyle towarów ludziom rozprzeda, że z *pewnością* przez ten czas pieniądze potrzebne na wykupienie swojego weksłu zbierze.

Bo oni wszyscy kilka, a czasem kilkanaście razy do roku obracają kapitałem swoim w swe przedsiębiorstwo włożonym, i pieniądze które wydają, napowrót co kilka tygodni do rąk im się wracają. Oni mogą mieć pewność, że weksel na czasie zapłacą.

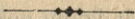
Ale *rolnik*? czyż ma on tę *pewność*, że pieniądze, które w swą rolę włożył, w paru miesiącach mu się wróca? Nigdy, przenigdy! On rok najmniej, czasem półtora roku, a czasem aż lat kilka czekać musi, żeby mu się jego nakłady w gospodarstwo złożone powróciły. On rokiem naprzód ziemię kosztownie uprawiać musi, nim niepewny plon z tej uprawy zbierze. Jemu krowa i kobyła i owca tylko raz w roku daje przychówek. On za ledwie raz na trzy lata siał może popłatniejszą oziminę na tem samym polu. Jemu przez 6 lat spłaca kapaniną swoją wartość nawóz, który on odrazu w ziemię włożyć musiał... Więc jakimże czołem, jakim sumieniem może on ludzi okłamywać i podpisem swoim poręczać, że do *trzech miesięcy* pieniądze na spłacenie wekslu mieć będzie?

Więc kłamstwem, oszustwem i szyderstwem z dobrej wiary ludzkiej jest każdy podpis *rolnika* położony na wekslu! — jeżeli ten człowiek oprócz trudnienia się rolnictwem nie jest równocześnie rzemieślnikiem, fabrykantem lub kupcem.

Ale czyż wy myślicie, że jest kto taki głupi na świecie, coby temu kłamstwu rolnika wierzył?... Gdzież tam! Niema głupich pomiędzy tymi ludźmi, którzy drugim pożyczają na weksle. Człowiek dający pieniądze rolnikowi za jego weksel, wie doskonale o tem, że to nieprawdą jest, co rolnik podpisał i że pieniędzy za 3 miesiące nie odda. On wcale nawet odbierać ich nie myśli. Ale on jest oszustem jeszcze większym od wystawcy wekslu, bo udaje, że mu zawierza, a już naprzód układa sobie plany: że mu po 3 miesiącach kredyt przedłuży na drugie 3 miesiące, i procent zaległy do nowego wekslu przypisać sobie każe; potem jeszcze

sprolonguje na kwartał po raz drugi, trzeci, może i czwarty — ale po kilku kwartałach i zmianach weksli niechybnie z twej ojcowizny wyrzuci cię człowiecze, i ziemię, która ciebie i ojców twych żywiła, za pół darmo na licytacyi sam kupi!

To bądźcie pewni, że uczciwy człowiek nie pożyczka nigdy pieniędzy rolnikowi na krótkoterminowy kredyt, *na weksel*. I strzeżcie się ludzi, omijajcie zdaleka takich, którzy weksłowy ofiarowują wam kredyt.



XXV. Potęga spółek.

„A wiecie wy, co to jest spółka?“ — zapytał Janek ludzi, co tłumnie tego wieczora do gospody się zeszedli.

„Wiemy — odrzekł jeden ze starszych gospodarzy. Wiemy, bo dawniej za nieboszczyka starego dziedzica często kosiwaliśmy łąki jego na spółkę. Młody teraz już nie daje, sam sprzęta, a szkoda, bo spółka to dobra rzecz, jaki taki choć biedny, to siana furę lub dwie na zimę sobie zarobił“.

„Prawda że i to spółka — odpowie Janek — choć nie o takich rozpowiedzieć wam dzisiaj chciałem. Ale zacznijmy od tej: Dawał wam dziedzic łąki na spółkę dlaczego? Oto dlatego, że miał łąkę, ale jej sam zebrać nie mógł, a może i pieniędzy nie miał, żeby ludzi do zebrania jej najać. Wy braliście na spółkę, bo sami nie mieliście łąk własnych dosyć, a i pieniędzy nie mieliście, żeby wziąć morgami w dzierżawę, albo

siano gotowe sobie kupić. Ale za to mieliście ręce zdrowe i siłę, której właśnie dziedzicowi brakowało. Więc weszliście z dziedzicem w spółkę, on wniósł do tej spółki trawę na pniu, wy pracę swoją do ścięcia tej trawy — a zyskiem z tej spółki czyli sianem podzieliście się według umowy. Gdybyście byli umowy z sobą nie zawarli i spółki nie zrobili, to trawę śnieg by przywalił i ani dziedzic ani wy nie mielibyście pożytku, wy dlatego bo nie mieliście trawy, a dziedzic dlatego, bo nie miał siły. Z tego już wymiarkować możecie, kiedy spółka jest ludziom pożyteczna i dlaczego ją robią? Oto robią ją wtedy, gdy sami jakiej rzeczy podobać nie mogą — a pożyteczna jest wtedy, gdy u drugiego współnika znajdujemy to, czego nam brakuje.

Tak samo i inne spółki robią pomiędzy sobą ludzie i zdobywają tym sposobem bogactwa, którychby nigdy nie dorobili się sami, każdy osobno idąc. Naprzykład nafta, którą w lampie tu widzicie i którą dziś już za tanie pieniądze po chatach waszych świecicie. Majątki ogromne porobili na niej ludzie, którzy ją w ziemi swojej odnaleźli i wydobyć z niej potrafili. Ale tylko spółką jedną doszli oni do tego. Bo niejeden zdawna już widział, że ropa śmierdząca jakaś dobywa mu się z pod skały, ale ani wiedział, na coby ona przydać się mogła? ani miał rozum na to, jakby jej więcej z pod ziemi wy dostać? Czasem tylko gdzie już sama wylazła i kałużę na polu zrobiła, zaczerpnął chłop jaki do nasmarowania nią osi u wozu. Aż tu pewnego razu spotkał się z właścicielem gruntu tego pan jeden, co był w chemii uczony i powiada: gdybyśmy tego dużo z pod ziemi dostali, to jabym to umiał oczyścić i zdatneby się zrobiło do świecenia. I ludzie by z tego mogli mieć

wygode i my obydwu moglibyśmy sporo pieniędzy na tem zarobić. — A jakże to się z ziemi wydobywa? pyta właściciel ziemi. — A sprawa się świdry, któremi wiercić trzeba w ziemi i szukać, gdzie jest w niej większe gniazdo tej ropy. Potem najmuje się górników, coby studnię cembrowaną kopali. Potem sprawa się kubły do czerpania ropy i beczki do zbierania jej. Potem stawia się fabrykę (destylarnię), w której się tę naftę z różnych brudów ziemnych oczyści. A potem każemy porobić zręcznemu blacharzowi lampy takie, w których się ta nafta czysta palić będzie. — A maszże ty pieniądze na to wszystko? pyta właściciel gruntu chemika. — Nie mam, odpowiada chemik. — A i ja nie mam, rzecze rolnik, to nic z naszej spółki nie będzie. — Jak to nie będzie! woła chemik. To dlatego, że pieniędzy marnych nie posiadamy, mamy wyrzekać się zysku wielkiego: ty ze skarbu jaki ci Pan Bóg dał w twej ziemi, a ja z nauki mojej? Toć przecie możemy przybrać do spółki naszej trzeciego, który pieniądze do niej wniesie, a za to i zyskiem z nim się podzielimy.

Jak rzekli, tak zrobili: znaleźli takiego, co ani ropy nie miał, ani na chemii się nie rozumiał, ale pieniądze miał. Spisali zaraz umowę porządną, że zyskiem jaki się okaże, na trzy części równo dzielić się będą. Bili studnię za studnią, postawili fabrykę jedną i drugą; ludzie przekonali się, że tem lepiej świecić niż szczypami a taniej niż świecami; zaczęli naftę rozkupować okrutnie — i wszyscy trzej wspólnicy dorobili się bogactw milionowych.

Tam, jak widzieliście, dał każdy co innego do spółki: jeden dał materyał (ropę), drugi dał rozum swój, a trzeci dał pieniądze. Ale bywają spółki i takie, do

których wszyscy jedno dają. Naprzykład zbiera się dziesięciu kupców i powiadają sobie: to drogo nam bardzo wypada, jak każdy z nas musi sobie okręt najmować do przywożenia towarów z za morza. Gdybyśmy mieli swój okręt własny, to o wiele większe zyski mielibyśmy na kawie, na szafranie i pieprzu. Ale okręt taki, coby mógł po morzu pływać, kosztuje bardzo wiele, żadnego z nas nie stać na jego kupienie. Więc zrobmy spółkę, złożmy się w dziesięciu każdy po trochu i kupmy okręt, który dla nas wszystkich razem będzie przywoził.

Tak samo robią już gdzieniegdzie mądrzy gospodarze po wsiach. — Ktoby tam, rzekną, czas psuć na to, żeby cepiskiem całą zimę zboże młócić po trochu, kiedy inną robotą mądrzejszą mógłby człek więcej przez ten czas zarobić, gdyby tylko stać go było na kupienie sobie młocarni takiej jaka jest we dworze.

A tobie po licha takiej młocarni? powie inny. Przez jeden tydzień wymłóciłbyś wszystko zboże jakie masz, a potemby ci maszyna przez 50 tygodni po próżnicy stała. — Niekoniecznie po próżnicy, odrzekną pierwsi, bo jak nas pięćdziesięciu gospodarzy się zmówi, to i cały rok maszyna będzie miała co robić i kupno jej mało co kosztować będzie. I złożyli po kilka reńskich każdy i kupili młocarnię *na spółkę* i umowę taką z sobą zawarli: że na losy ciągnąć będą kto pierwiej a kto później zboże swoje ma młócić. Ci, co pierwiej namłócają mają obowiązek pożyczycić ziarna na siew i na jedzenie tym, na których kolej młocenia później wypadła. Ażeby prędzej kolej przyszła na każdego współnika, to po jednym dniu tylko każdy ma prawo tą maszyną młócić. Jak maszyna kolej całą obejdzie, to znowu do pierwszego na jeden dzień powraca. I tak ją

od stodoły do stodoły przenoszą prawie przez cały rok. I sobie nią wszystko zboże tanim kosztem wymłóca i jeszcze wynajmą czasem maszynę takim, którzy nie należą do spółki.

To są spółki, gdzie każdy wspólnik *pieniądze* tylko dawał dlatego, żeby zebrać sumę potrzebną, większą niż stać było każdego z osobna.

W ten sposób powstają wszystkie te przedsiębiorstwa wielkie na świecie, które za drogie są, żeby jeden człowiek mógł im dać rady. Wszystkie koleje żelazne są własnością spółek, prawie wszystkie fabryki wielkie mają po kilku a czasem i po kilkuset właścicieli wspólników.

Ale jeszcze spółki mogą być inne, gdzie znowu *pracę* swoją gromadzi kilku lub kilkunastu, do wykonania roboty wielkiej, której nie podobałby jeden. Szczególniej przy robotach najemnych na wydział, spółki takie bardzo są pożyteczne. Pamiętacie, jak kiedyś przy wypłacie sobotniej powiada dziedzie do czeladzi: Ja odtąd nie chcę mieć w polu robót na dniówkę płatnych, bo to i nieładnie dla ludzi, a i mnie się przykrzy stać cały dzień nad ludźmi jak nad bydłętami jakimi i poganiać ich do pracy. Odtąd u mnie kośba i żniwo na morgi; młocka gdybym słomy prostej potrzebował to od kopy albo od korea czystego oddanego mi ziarna; kopanie rowów od sążnia, a łamanie kamieni na budowę od sąga kubicznego. Zgodzimy się za każdą rzecz, a po zrobieniu ja wymierzę i podług tego zapłacę“.

„A to się wie — odpowiedziało was kilku, którzy mądrzejsi i pracowitsi. Bo nawet i człowiekowi co zdrów, silny i nie leni się w pracy, przykro jest brać tyle samo pieniędzy za dzień, ile bierze niedojda i pró-

żniak, co ino patrzy, aby dzień przewaleśać i czy kto z kijem nad nim nie stoi. A człowiek też i pracuje ochoczej i raźniej, kiedy wie, że jak więcej zrobi, to i zapłatę większą otrzyma“.

I co może jeden podołać na wydział, to robi sam. Ale już do cepów, toście się po trzech lub po czterech na jedno boisko zmaiwali. Ugodziliście się po 50 centów od korca zwianego żyta, a po 25 centów od korca owsa — a pan tylko słomy chować nie pozwolił, żeby mógł wieczór obejrzeć czy do czysta wymłócone z niej ziarno. Dawniej braliście po 20 albo 25 centów na dzień i każdy ledwie po 12 garncy żyta leniwo nabił. A teraz prawda, że tam już leniwca do spółki nie przypuścicie i sami jeden drugiego w robocie pilnujecie i południe trochę krótsze robicie — ale jak się wieczorem wymierzy, to pokaże się, że każdy na siebie korzec cały namłócił i 50 centów przez dzień zarobił. Tak samo do łamania kamieni, gdzie nieraz duże bryły dźwignąć i wytaczać z kamieniołomu potrzeba, zbieracie się też w spółki po czterech i po pięciu — i robota wam przez to raźniej idzie i zarabiacie dwa razy tyle, niż gdyby każdy pojedynczo się mozolił.

A są spółki jeszcze inne, gdzie ani pieniądze ani pracę, ale towar jakiś ludzie razem dają i niekoniecznie wszyscy równo, tylko na ile kogo stać. A jak z tego towaru wyrobi się razem inny towar i razem się go sprzeda, to potem dzielą się zyskiem w tym stosunku, ile dostarczył kto materiału do wspólnego interesu. Jakem to z dziedzicem przeszłego roku jeździł za granicę, żeby różne gospodarstwa lepsze od naszych oglądać, to zajechaliśmy do jednego kraju, gdzie zwyczaj jest, że w każdej wsi chłopci *spółkę mleczną* robią“.

„A toż jaka znów spółka? zapyta Katarzyna, dobra gosposia, co aż przać przestała, kiedy usłyszała o mleku.

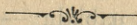
„Taka — odrzeczł Janek — gdzie każdy gospodarz jeden udój południowy sobie na użytek w domu zostawia, a z rannego i wieczorowego udoju wszystko mleko do spółki odnosi. Tam mierzą przyniesione mleko, zapisują do książki zaraz, ile go było i kwitek dają temu, co przyniósł. Wszystko mleko naniesione z całej wsi zlewają razem do wielkich naczyń, starannie pierwej przecedziwszy, żeby brudów nie było. Razem potem śmietankę zbierają, z niej masło a z mleka sery robią i co przez tydzień narobią, to razem do miasta na sprzedaż wywożą. Co miesiąc robi się obrachunek: ile pieniędzy utargowano, a ile z nich wydano na transport i na robotę koło nabiału — a czysty zysk, jaki się pokaże, rozdzielają między współników, w miarę tego, ile który mleka przez miesiąc dał do spółki.

Zapewniali mnie tamtejsi ludzie, że dwa razy więcej zysku mają w ten sposób, niż gdyby każda kobieta sama koło swojej odrobiny nabiału robiła. Bo jak jeden koło tego robi, to lepiej zrobi; tak że chętniej ludzie w mieście takie masło kupują i drożej za niego płacą. Takiemu uda się masło zawsze, nie zarobi się nigdy i każda kapka mleka spożytkuje się tu i nie trzeba z kilku dni zlewać śmietanę młodą ze starą, od której masło kwaśne albo i gorzkie się robi. Nie potrzebuje też każda kobieta babrać się osobno ze swoją odrobiną i może przez ten czas co lepszego zrobić, czy w domu czy na zarobku za domem. Nie potrzebuje też każda gospodyni biegnąć na targ co tydzień z półkwarcem masła swojego osobno“.

„A my byśmy to nie mogli u siebie takiej spółki zrobić? pyta Katarzyna. Tylko ktoby te nasze mleka wszystkie przerabiał na masło i sery?“

„Ja, jeżeli zechcecie — odpowie Janek. Przypatrzyłem ja się tam dobrze, jak koło tego chodzą, a i tam nie święci garnki lepią, tylko jeden z gospodarzy, co to lepiej od drugich rozumie, trudni się wraz z żoną swoją całym przerobem spółkowego mleka. Poradźcie się Katarzyno z drugimi sąsiadkami, naradźcie się, obliczcie ile każda dziennie mleka udaja. Jeżeli was się zbierze ze 20 chętnych, to w spółkę mleczarską jam gotów z wami wejść i gospodarzem w niej być.

Jest jeszcze jeden rodzaj spółek, pożyteczny dla ludzi biednych, ale o tym już wam kiedyindziej opowiem.



XXVI. Wzajemna pomoc.

Pamiętacie, co wam opowiadałem kiedyś, że do każdej pracy, czy to rolniczej, czy rzemieślniczej, czy handlowej, potrzebny jest ludziom *kapitał*, któryby im tę pracę ułatwiał. I że w braku kapitału własnego, można go czasem zastąpić *kredytem*. Otóż kiedyśmy o kredycie rozmawiali z sobą, dowiedzieliśmy się, że ludziom zamożnym, którzy posiadają wiele, łatwo jest znaleźć u bliźnich kredyt — tym zaś, którzy niewiele mają, znaleźć go jest trudno. Sama rzetelność i pracowitość człowieka nie wystarcza tu do wzbudzenia wiary dla kapitalisty, bo powiada on: a jak ty pracowity i

pocziwy człowieku umrzesz, to kto mi odda za ciebie moje pieniądze?

Wtedy to powiadałem wam, że i na to ludzie wymyślili sposób: bo stowarzysza się kilkudziesięciu albo stu ludzi takich, którzy wszyscy niewiele mają, ale są rzetelni — i powiadają kapitaliście: „My wszyscy razem ręczymy ci za pieniądze, które każdemu z nas osobno byś pożyczył. Jeżeliby który z nas długu nie mógł oddać, lub umarł przed spłaceniem pożyczki, to ci z nas, co przy życiu zostaną, złożą się po trochu i tobie za niego zapłacą“.

I cóż to jest ta poręka wspólna jednego za wszystkich, a wszystkich za jednego? A juścić nic innego tylko *spółka* także. Z tą tylko różnicą, że do spółki tej wkładają spółnicy nie pieniądze, nie pracę, nie towar, tylko *dobrą wiarę*, czyli porękę, czyli kredyt swój. Każdy pojedynczy spółnik ma kredyt bardzo malutki i nie chce mu nikt pieniędzy dużo na niego pożyczyć — ale jak dużo ludzi te swoje odrobiny kredytu do spółki wniesie, to robi się z tego kredyt wielki i silny tak, że ludzie drudzy wierzą i spółce takiej znaczne sumy pieniędzy chętnie pożyczają. Ale spółka taka musi się bardzo pilnować, żeby kredytu tego nie stracić, a więc gospodarować musi tak, żeby nigdy zawodu nie zrobić ludziom, którzy jej zawierzyli. Więc przedewszystkiem patrzeć musi na to, żeby do spółnictwa z sobą nie przypuścić ludzi nierzetelnych, którzy pożyczwszy od niej pieniądze, jej znowu zawód robićby mogli. Powtóre gdy wiadomo, że w rolnictwie trafia się rozmaicie, czasem nieurodzaj padnie i nawet rzetelny człowiek może popaść wtedy w takie położenie, że na termin przyrzeczony nie może całego długu odplacić — otóż na takie

wypadki musi spółka mieć zawsze w kasie swojej jakiś grosz zapasowy — żeby nawet w razie doznania zawodu od niektórych pojedynczych wspólników, sama nigdy nie zrobiła zawodu tym, którzy jej zawierzyli pieniądze.

Żeby taki grosz zapasowy zbierać, obowiązują się wszyscy wspólnicy w miarę możności choćby kapania, pewną kwotę do wspólnej kasy składać.

Rozumie się samo przez się, że im wspólników więcej, tem łatwiej potrzebny kapitał zapasowy uskładać — a im większy ten kapitał zapasowy ma spółka, tem większą ma u ludzi wiarę, czyli tem większy ma kredyt.

Spółki takie nazywają się Towarzystwami *wzajemnej pomocy* i są ogromnem dobrodziejstwem dla wszystkich, a szczególnie dla ludzi niezamożnych, którzy pomocy często potrzebują od bliźnich, a znaleźć ją samopas bywa trudno.

Spółka taka choćby nawet i stratę poniosła kiedy wskutek nieszczęść ogólnych krajowych, albo wskutek nierzetelności łotra jakiego — to nie czuje tej straty bardzo, bo zgodnie rozłoży ją na wszystkich stowarzyszonych po trochu, każdy stracić może po kilkanaście centów i czuć nawet tego nie będzie.

Ale jeżeli wszyscy ludzie w spółce są rzetelni, a do zarządu jej wybrali ludzi także rzetelnych i rozumnych, którzy dobrze i przezornie pieniędzmi obracają — to strat nie miewa spółka taka nigdy, a przeciwnie co roku miewa zyski znaczne. Wtedy wspólnicy wszyscy zbierają się na naradę, coby z temi zyskanemi pieniędzmi zrobić? I uchwalają: czy jaką częśćkę z nich do kapitału zapasowego dołączyć, czy na wspólny jaki po-

żyteczny dla wszystkich cel użyć — a resztę rozdzielają pomiędzy siebie w tym stosunku, ile kto ma pieniędzy swoich złożonych we wspólnej kasie zapasowej.

Na takich to zasadach potworzyły się bardzo pożyteczne dla biednych ludzi *Towarzystwa zaliczkowe* po niektórych miastach naszych. Na takich samych zasadach pozawiazywano różne stowarzyszenia *bratniej pomocy*; — *spółki szewców* do kupowania skór wprost z garbarni na tani kredyt, z pominięciem kramarzów którzy kredytować nie chcą i na złym towarze oszukują rzemieślnika często; — *stowarzyszenia spożywcze*, które w wielkich masach kupują taniej albo na kredyt towary z pierwszej ręki i potem taniej niż w sklepach zwykłych sprzedają je stowarzyszonym; *spółki rolnicze*, które wyręczają rolników w sprzedawaniu zboża, chronią ich od oszustwa niepoczeiwych kupców, pośredniczą w sprzedaży i kupnie ziemi, maszyn lub ziarna na nasienie; — i wiele, wiele innych podobnych.

Nas, małych rolników, często kredytu potrzebujących, a tak często przez lichwiarzy wyzyskiwanych, najbliżej jak na teraz obchodzą *Towarzystwa zaliczkowe*, dlatego o nich wam dzisiaj bliższą chcę dać wiadomość.

Najprzód wiedzcie o tem, że nie każdy, co zechce może *Towarzystwa* takiego być członkiem — bo pierwszy warunek w prawach napisanych dla tych towarzystw jest: „że członkami towarzystwa mogą być tylko *osoby pełnoletnie, a z trzeźwości, pracowitości i uczciwości znane*.”

Dalsze warunki przystąpienia do *Towarzystwa* już są bardzo łatwe tak, że nieledwie każdy, nawet nie mający a tylko z pracy rąk żyjący wyrobnik, może

przy dobrej woli przystąpić. Bo przystępujący do Towarzystwa zapłacić ma 2 reńskie tytułem wstępnego, a następnie złożyć winien do wspólnej kasy Towarzystwa najmniej 20 reńskich, które się nazywają jego udziałem. Ale udziału tego nie obowiązany nikt składać od razu, bo komu trudno, wolno mu składać go kapaliną przez 3 lata, byle zobowiązał się co miesiąc po 50 centów na uskładanie tego udziału wpłacać. I cóż to znaczy dla najbiedniejszego nawet ojca rodziny 50 centów miesięcznie, kiedy albo sam, albo żona jego, albo z dzieci które, na dwa dni tylko co miesiąc najmie się do dworu albo do gospodarza na wsi i już 50 centów dla kasy wspólnej zarobi.

Tych pieniędzy, które do kasy człowiek składa, odebrać mu z niej nie wolno, jak długo jest członkiem Towarzystwa. Ale po cóżby je miał odbierać, kiedy one procent mu niosą dobry i kiedy ile razy zapotrzebuje, to z tej kasy pożyczą mu zawsze pieniądze na niewielki procent. Gdy znają, że gospodarzy i uczciwy, to pożyczą mu i 5 razy tyle, ile ma w kasie własnych uskładanych pieniędzy. Mniejsze kwoty pożyczą mu tam na jego podpis, gdy kto większej sumy potrzebuje, to zażądają zastawu albo drugiego podpisu poręczyciela. A zawsze ci, co są do zarządu spółką wybrani, narażają się między sobą, czy ten człowiek wart zaufania dowiadują się, czy na rzeczywiście potrzebę gospodarstwa, czy na pijatykę, hulankę lub zbytki niepotrzebne pieniądze chce wziąć i czy można mu zawierzyć, że odda na termin, w którym przyobieca? Jeżeli widzą, że człek stateczny, gospodarzy i rzetelny, to nigdy nie odmówią mu pomocy, jakiej potrzebuje. A jak pomierkują, że pijak, marnotrawnik, kręt, albo broń Boże zło-

dziej, który cudzego nie poszanuje — to pięknie, grzecznie powiedzą mu, że niema pieniędzy w kasie — bo się boją takiemu powierzać grosza, który do wszystkich należy, za który wszyscy poręczają.

„A zkadże nabierze się w tej kasie pieniędzy tyle? pyta Jędrzej Martyniak. Toż choćby nie po 50 centów jak w pierwszym miesiącu, ale choćby i po 20 reńskich miał każdy współnik złożonych w kasie pieniędzy — to jak znowu każdy z nich zechce po stówce albo więcej z kasy pożyczyć, to przecie nie wystarczy dla wszystkich“.

„Zapewne — odpowie Janek — że gdyby tylko na te pieniądze się oglądać, które złożą do kasy ci, co jutro zaraz pożyczkę brać z niej chcą, to mogłoby zabraknąć. Ale powiadałem wam przecie, że spółka taka, szczególnie gdy mądrze jest zarządzana, ma kredyt wielki u ludzi, co nie należą do spółki. Dlatego to zarząd każdego Towarzystwa zaliczkowego ogłasza co roku drukiem: ilu w Towarzystwie jest członków? ile złożyli oni przez rok do kasy pieniędzy? ile kasa dała im w ciągu roku pożyczek? ilu oddało dług z poczciwością, a ilu ze splatami zalega? ile Towarzystwo ma własnego majątku, a ile pożyczonych ma pieniędzy w obrocie?... W sprawozdaniu takim musi być szczerą prawdą wypowiedziana, bo inaczej kryminał za fałszywe rachunki... Jak tylko ludzie widzą z tych rachunków, że interes spółki dobrze stoi, a więc że i ludzie stowarzyszeni są rzetelni i zarząd mądrze pieniędzmi zarządza — to nie boją się i po kilka tysięcy reńskich naraz takiej spółce pożyczyć i to na procent mały i na splaty czasem przez kilka lat ratami. Jakżeż znowu Towarzystwo zaliczkowe dostanie pożyczkę na 5 procent,

a członkom swoim rozpożycza na 8 albo na 9 od sta, to musi przez rok uzbierać zyski duże, z których wystarcza i tych co zarządzają opłacić i do funduszu zapasowego coś dołożyć i członków wszystkich tak obdzielić, że od wkładek, jakie we wspólnej kasie mają, po 7 albo 8 procent wypadnie im zysku.

Oprócz wpłacanych udziałów, do których członkowie Towarzystwa są obowiązani i oprócz pożyczek, jakie spółka za wspólną poręką wszystkich członków z zewnątrz zaciąga, ma kasa spółkowa jeszcze i inne pieniądze, któremi także byle roztropnie i ostrożnie obracać może. Ma ona przecież fundusz zapasowy, do którego wpływa opłata wstępnego od każdego członka i wpływa co roku część zysków osiągniętych na całym obrocie. Fundusz ten z biegiem lat wzrasta czasem do ogromnej sumy — i znowu z niego część jakąś trzymając w kasie od nieprzewidzianego wypadku, resztę rozpożyczać może zarząd stowarzyszonym na krótkie terminy.

Oprócz tego ma zwykle jeszcze kasa wkładki oszczędności od takich, co nigdy nie potrzebują brać z kasy pożyczek. Jaki taki zamożniejszy gospodarz gdy, czy to z zarobku, czy ze sprzedaży zboża lub bydła ma pieniędzy więcej niż wydać potrzebuje — myśli sobie, że wartoby schować tę oszczędność na jaką czarną godzinę. Ale nie robi już teraz tak jak ojcowie jego w takich wypadkach robili: nie wymienia tego na srebro i nie zakopuje do ziemi, żeby bez procentu w niej pieniądze pleśniały. Dzisiaj rozumny gospodarz niesie takie niepotrzebne mu na razie pieniądze albo do *Kasy oszczędności* albo do *Towarzystwa zaliczkowego*. I tu i tam przyrastać mu będzie procent,

który albo co roku odebrać sobie może, albo też zostawić w kasie, czyli do kapitału swego dołożyć, by i od tego procentu rósł procent. W Towarzystwie zaliczkowym procent od pieniędzy włożonych bywa zwykle większy — ale za to każdy, kto ma w niem pieniądze, należy równo z innymi do poręczenia, że gdyby kiedy spotkało spółkę jakie nieszczęście, to częśćkę straty przyjmie na siebie. W kasie oszczędności znowu żadnego poręczania ani ryzyka żadnego niema. Każdy grosz tam złożony pewniejszy i bezpieczniejszy jest niż u siebie w domu — ale za to procent od tych pieniędzy bywa mniejszy. Jedni to wybierają, drudzy wolą tamto.

Żeby już wszystko o Towarzystwach zaliczkowych wam opowiedzieć, to dodam słów parę o zarządzie. Ludzi do zarządu interesami Towarzystwa wybierają zawsze członkowie, i oczywiście wybierają ludzi takich, których znają i którym ufać mogą. Zarząd w każdym Towarzystwie jest dwojaki, bo składa się z *Dyrekcji*, która pieniędzmi wspólnymi gospodaruje, pożyczek udziela, procenta i kapitały pożyczone odbiera i rachunki porządne z tego wszystkiego prowadzi — i z *Rady nadzorczej*, która te rachunki sprawdza i we wszystkim dyrekcję kontroluje i nadzoruje. Dyrekcya urządzuje codzień, Rada zbiera się tylko czasem. Dyrektor, buchalter i kasyer, którzy we trzech stanowią dyrekcję, muszą być płatni z zysków Towarzystwa — bo oddając swój czas i swój rozum i swoją pracę na usługi wszystkich członków, słusznie wynagrodzeni za to być muszą. Przeciwnie Rada nadzorcza, ponieważ mało czasu i pracy Towarzystwu poświęca, pełni swą służbę honorową bezpłatnie. A honorową tę służbę nazywam

dlatego, że honor to już wielki dla każdego, kogo sto albo kilkaset ludzi do rady takiej z pomiędzy siebie wybierze — bo to znak, że ci kilku wybrańców, to muszą być z całej gromady najmądrzejsi i najpocziwsi, kiedy im wszyscy ufają i nadzór i opiekę nad wspólnym majątkiem powierzają.

„Oj jakżeby to dobrze było — zawołało kilku gospodarzy naraz — żebyśmy to we wsi naszej podobne Towarzystwo mieli. Tożby człowieka lichwiarza tak nie oszukiwali“.

„I porządku i punktualności byście się nauczyli — przerwie mu Janek — bo Towarzystwo takie niema na myśli z gruntów ludzi wyzuwać i samo je za pół darmo na licytacji nabywać. Więc też i nie folguje tak jak lichwiarz i nie namawia, żeby więcej przybierać do dawnego długu i pilnuje, żeby zawsze na termin, jak się obiecało, oddać.

Ale jedna wieś nasza to na takie Towarzystwo za mała. Żeby tak jeszcze choć w kilku wsiach sąsiednich ludzie rozum mieli, a z nami razem do spółki należeć zechcieli, to pewnie, że moglibyśmy sobie Towarzystwo takie założyć.

Tymczasem róbmy my we wsi naszej to, na co nas stać i w czym bez pomocy wsi sąsiednich obyć się możemy: założmy sobie *Kółko rolnicze*, założmy sobie *Kasę pożyczkową gminną* i zawiążmy sobie gminne nasze *Stowarzyszenie wzajemnej pomocy*. O każdej z tych rzeczy opowiem wam kiedyindziej z osobna.“

XXVII. Ubezpieczenie od pożaru i gradu.

Było już z dawien dawna obyczajem między chrześcijańskimi ludami, że jak kogo we wsi lub w mieście ręka Boża dotknęła: dom zgorzał, grad zboże zbił, albo ojciec rodziny zmarł i sieroty w biedzie zostawił — to drudzy naokoło składali się po odrobinie i pomagali nieszczęśliwej rodzinie obronić się od nędzy.

Tak bywało dawniej, póki ludzie lepsi jacyś byli — naukę Chrystusa Pana o miłości bliźniego głębiej w sercach nosili — a i na to pamiętali, że co sąsiada dziś spotkało, to ciebie i mnie jutro spotkać może: więc pomoc nieśli w nieszczęściu cudzem, żeby znowu drudzy kiedyś pomagali w nieszczęściu naszym.

Ale nastaly czasy inne, ludzie nibyto mądrzeć zaczęli, a wraz z tą mądrością i kochać też zaczęli siebie samych więcej niż bliźniego, czasem więcej niż Pana Boga samego! I jaki taki, widząc nieszczęście u brata, zamiast nieść mu chrześcijańską pomoc, sprzedał czempredzej zboże swoje, by pokazać, że już nie ma — pieniądze zakopał, żeby udać, że nie ma także — bo mu żal było uczynić choćby drobną ofiarę.

Skoro tym sposobem dużo ludzisków od obyczaju starego wyłamywać się zaczęło, składki pocziwych nie wystarczały już na pokrycie szkody pogorzelca: więc niejedni i lat kilka tułał się po komornem, nie mając za co odbudować chaty zgorzałej, a gdy grad zniszczył plony, — głodem marł z rodziną, nie mając za co kupić sobie zboża, w miejsce zniszczonego, i tak zmarniała rodzina niejedna do szczytu.

Tych znowu skąpców, co to pomocy biednemu dać nie chcieli, zapamiętywali sobie już nawet i miłosierni ludzie... i gdy na którego z nich znowu nieszczęście padło, powiadali mu: Nie ratowałeś ty nigdy drugich w potrzebie, to i sam nie masz prawa żądać poratowania. I taki człowiek niszczał już od razu z kretesem.

Poznali więc ludzie, że tak źle jest: że zamiast przybywać, to ubywa z każdym rokiem bogactwa w narodzie, a natomiast przybywa rodzin bez dachu i chleba, które gminom ciężarem się stają, — więc jęli obmyślać środki, jakby temu zaradzić.

Więc rada w radę, zeszli się starsi po gminach i zgodzili się na to, że potrzeba nazad stary obyczaj przywrócić: żeby ci wszyscy, co klęski nie doznali, złożyli się na tego, który popadł w nieszczęście. Ale żeby nikt potem nie uchylał się od dania przyrzeczonej pogorzecom pomocy, postanowiono, by każdy, kto chce być sam kiedy poratowany, złożył *naprzód* zaliczkę, jaka na niego przypada. Kto naprzód swojej składki nie złoży, ten niema prawa żądać poratowania.

Tak z dawnego obyczaju miłosierdzia chrześcijańskiego, w nowszych czasach powstały małe wzajemne Towarzystwa ubezpieczeń od szkód. Ludzie wybrali sobie zarząd, coby zawiadywał wspólnym uskładanym majątkiem; wybrali też z pomiędzy siebie najzaufanych, coby rachunki zarządu przeglądali i spór jakby się wydarzył, rozsądzili; wybrali też i znawców, coby szkodę taksowali, by nikt nie mógł z krzywdą dla innych korzystać, ani żądać wynagrodzenia większego, niż istotna szkoda, którą poniósł.

I długi czas znowu dobrze ludziom z tem było. Ale cóż? Towarzystwa takie małe zakładali ludzie, to

po miastach, to po parafiach, ci co się dobrze z sobą znali i blisko siebie mieszkali. Dróg dobrych nie było jak dziś, ani telegrafu, ani kolei, ani poczty porządnej; z dalszymi ludźmi porozumieć się było niełatwo i dlatego każde Towarzystwo takie *niewielu* miało członków. Póki zdarzyła się jedna jaka pogorzel na rok i niewiele budynków zniszczyła, to jakoś to tam wystarczało jeszcze, a choćby brakło co składek, to dorzucili wszyscy po kilka centów i chałupę się odbudowało... Ale jak w czasie ognia wiatr powionął, a pół wsi i miasteczka od razu w popiół obrócił — albo jak chmura gradowa straszna jednym zamachem plony we wsiach kilkunastu zniszczyła — wtedy nie było już ratunku, gdyż wszyscy prawie, którzy należeli do takiego Towarzystwa, byli tak zniszczeni, że drugich ratować nie mogli.

Więc poznali ludzie z doświadczeń takich smutnych, że wieś i miasto choćby duże, i parafia i powiat nawet cały, to wszystko za mały jest obszar dla takiego Towarzystwa ubezpieczeń od szkód. Żeby Towarzystwo takie nie bało się bankructwa i mogło nawet wielkie klęski przetrzymać, potrzeba mu bardzo dużej przestrzeni i bardzo wielkiej liczby członków. Innych też Towarzystw ubezpieczeń już teraz nie zakładają, tylko takie, co kraj cały albo kilka krajów ogarniają; gdyż wszystkie małe Towarzystwa powiatowe i miejskie najczęściej za pierwszym większym nieszczęściem bankrutują i członkom swoim szkód nie wynagradzają.

Z tego kłopotu małych wzajemnych Towarzystw skorzystali w różnych krajach ludzie rozumni i bogaci, i umyślili wyzyskać sprawę ubezpieczeń dla swojej korzyści. Obliczyli na podstawie doświadczeń dawnych,

ile średnio budynków rocznie w jakim kraju się spali, i ile w przecięciu do roku wartość tych szkód wynosi. I rozliczyli, że jak bardzo wielu ludzi znieśie im naprzód składkę, a oni z tych pieniędzy pogorzelncom szkody wypłacą, to zostanie im jeszcze pieniędzy wiele, które oni do kieszeni swojej jako zysk z przedsiębiorstwa zabiorą. Tak potworzyły się w wielu krajach wielkie Towarzystwa *akcyjne*.

Spekulanci ci poskładali więc ogromne swoje pieniądze do kasy, niby na pewno, że choćby jak wielkie szkody się wydarzyły, to oni zapłacić je potrafią. Ale premie od ubezpieczenia kazali ludziom płacić sobie tak duże, że prawie nigdy nie potrzebowali ruszyć wamtych swoich własnych pieniędzy złożonych do kasy. — a przeciwnie, co roku dokładali jeszcze do nich nowe pieniądze, osiągnięte ztąd, że więcej składkami czyh premiami zebrali, niż wypłacali szkód.

Towarzystwa akcyjne mają wprawdzie zadanie takie same, jak Towarzystwa na wzajemności oparte, żeby ratować tych, co w nieszczęście popadną. Ale zawsze to piękniej i bardziej po chrześcijańsku ratować bliźnich bez widoku na zyski, aniżeli za ten ratunek kazać sobie drogo płacić i na nieszczęściu ludzkim zysków dla siebie szukać. To też to po większej części nie chrześcijańscy ludzie zakładali one Towarzystwa na zysk, lecz bankierzy bogaci a obcy nam mową i wiarą, w Tryeście i Wiedniu.

A ponieważ u nas w kraju Towarzystwa takiego nie było, więc oni zdaleka nasłali do nas swoich agen-

tów. I naród nasz ubezpieczał się u nich od ognia, gradu i na życie, i płacił za to wiele kazali.

Więc mądrzejszym ludziom u nas żal się zrobiło, skoro przypatrzyli się przez wiele lat, jakie to wielkie pieniądze wychodzą z biednego kraju naszego, by bogacie obcych bankierów.

Otóż razu pewnego — a jest teraz już 30 lat temu zjechało się w Krakowie wielu ludzi dobrze życzących narodowi naszemu i jęli radzić: czybyśmy też nie mogli bez tych zagranicznych bankierów się obejść, a zyski, jakie oni co roku z nas ciągną, między nasz naród rozdzielić. Toć o tyle taniej kosztowałyby każdego z nas ubezpieczenie. Wszak ci to gromada, to wielki człowiek — mówili. — Choć każdy z nas niewiele ma, to przecież jak wszyscy złożymy się po troszeczkę, to urosną z tego takie sumy duże, albo i większe jak te, co oni w Wiedniu lub w Tryeście niby na pewnoś w kasach złożyli... Więc wróćmy znowu do starego obyczaju *Chrześcijańskiej wzajemnej pomocy*, ale ogarnijmy tą pomocą wzajemną cały, jak długi i szeroki nasz kraj.

Żeby było czem ratować tych, co klęski doznali, składajmy *naprzód* każdy według swojej możności pewną zaliczkę. W miarę tego, ile zaliczki kto dał, ma też prawo żądać zapłaty, gdy sam szkodę poniesie.

Jeżeliby w którym roku nieszczęście było tak wiele, że zaliczka zebrana nie wystarczyłaby na opłacenie szkód — to wszyscy dorzucimy po kilka centów jeszcze. A jeżeli pożarów będzie mało i po opłaceniu szkód zostanie na końcu roku pieniędzy co w zysku, to się tym zyskiem podzielimy wszyscy, czyli odbierzemy jako

zwrot część tego, cośmy opłacili. A tak te pieniądze nasze powrócą tam, z kąd wyszły i zostaną się w kraju naszym, a nie będą wychodziły z kraju na korzyść cudzoziemców.

Mowa taka podobała się wszystkim ludziom mądrzejszym w kraju całym. Mnóstwo takich, co nie ubezpieczali dotąd swojego mienia, zapisało się od razu na członków Towarzystwa w Krakowie i prawie wszyscy ci, co ubezpieczali się w Tryeście lub Wiedniu, jak tylko tam się im umowa skończyła, przeszli także do instytucji krajowej.

Tak powstało w roku 1861 wielkie Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, co św. Floryana za patrona sobie obrało.

Więc znowu zjechali się wszyscy, co tego Towarzystwa członkami być chcieli: ułożyli sobie statuta, których główną zasadą było: *że każdy, czy to bogaty, czy ubogi, będzie miał równe prawa i równe obowiązki w tem Towarzystwie*, że wszyscy, co się w tem Towarzystwie ubezpieczają, są zarazem i właścicielami majątku wspólnego, jaki to Towarzystwo mieć będzie i że *nikomu z ubezpieczeń nie wolno zysków dla siebie ciągnąć*. Wybrali z pomiędzy siebie Dyrekcyę do zarządzania funduszami wspólnymi i Radę nadzorczą do opiekowania się Towarzystwem. A w końcu uchwalili, żeby co roku odkładać coś na fundusz rezerwowy w tym celu: żeby w razie większego w którym roku nieszczęścia, nie potrzeba było żądać od członków dopłaty.

I patrzmyż, jaka to ogromna potęga leży w takim zgodnem zespoleniu drobnych pojedynczych sił.

Ten fundusz rezerwowy z drobnutkich datków urósł już dzisiaj do sumy ogromnej, bo *blisko trzech*

milionów reńskich. A więc choćby i największe nieszczęście na członków Towarzystwa padło, to ono bez żadnego dopłacania da sobie radę — tak, jak dało sobie radę niedawno, gdy całe miasto wielkie Stryj wygorzało prawie do szczytu.

W ciągu 30-letniego istnienia swojego wypłaciło Towarzystwo krakowskie Członkom swoim za szkody przez pożar zrządzone blisko 30 milionów reńskich, a za szkody gradowe przeszło 9 milionów, czyli razem 39 *milionów reńskich.*

Oprócz tego wypłaciło wszystkim swoim Członkom zwroty czyli rozdziłały zysków, które razem przeszło 8 *i pół miliona reńskich* wyniosły.

Gdybyśmy nie ubezpieczali nigdzie, to ze 20 tysięcy rodzin żebraków byłoby przybyło krajowi. A gdyby wzajemnego Towarzystwa krakowskiego nie było — a my musieli przez te 30 lat ubezpieczać się w Tryeście lub Wiedniu, to 8 milionów zlr., które odebrali Członkowie nasi tytułem zwrotów, a i te 3 miliony zlr., które mamy dziś w funduszu rezerwowym, jako wspólną nas wszystkich własność — czyli razem te całe *jedenaście milionów reńskich* byliby zabrali obcy ludzie jako swój zysk, czyli jako zapłatę za wyświadczone nam usługi. Dziś my bez tych usług obchodzimy się, sami sobie służymy, to też i te zyski wielkie zostają w naszych kieszeniach.

Pomyślmyż jeno, czy nie szkoda to było tych zysków takich wielkich nam tracić, a cudzoziemcom dać je na sobie zarabiać? Więc i dziś jeśli od ognia czy od gradu ubezpieczyć mienie wasze chcecie, czy też ubezpieczyć pragniecie jakiś kapitał dla swoich dzieci, to szukając w mieście agencji, baczcie dobrze, czy jest

święty Floryan na ścianie i czy jest napis, że to *krakowska Agencya*. — Bo i tamte Towarzystwa akcyjne mają także jeszcze swoje agencye w naszym kraju i starają się o to, żeby ludzi naszych do siebie przywać. Opłatę za ubezpieczenie pobierają one teraz już prawie taką samą jak Towarzystwo krakowskie — ale różnica w tem, że na końcu każdego roku Towarzystwo krakowskie zwraca ubezpieczonym ile zostanie — po 20, 25 a czasem i 30 centów od każdego zapłaconego reńskiego — a tamte nie zwracają nigdy nic.

Więc nie wiercie, choćby wam kto w uszy kładł, że którekolwiek Towarzystwo tańszem lub lepszem jest niż krakowskie — bo przecież gdyby Niemiec albo Włoch albo Czech zysków dla siebie nie widział, toby się nie pchał do naszego kraju. A jak tylko na zysk dybie i z nas go ciągnąć chce, to już nie może być tańszem od naszego Towarzystwa własnego, które żadnych zysków dla siebie nie potrzebuje.

W krakowskiem Towarzystwie wzajemnem budynki mogą być od ognia ubezpieczone tylko na cały rok, a ruchomości, jako to: zboże bydło, odzież, sprzęty gospodarskie i domowe, można ubezpieczać na czas krótszy. Ale taniej wypada, jeżeli i te od razu na cały rok się zapisze.

Wartość przedmiotów sumiennie podać powinien właściciel. Bo jeżeli poda większą wartość do ubezpieczenia, niż rzeczywiście jest, to niepotrzebnie płacić będzie większą za to wkładkę — a w razie pogorzeli zapłaci mu Towarzystwo tylko tyle, ile był wart przedmiot zgorzały w chwili szkody. Jeżeli znowu przeciwnie poda do ubezpieczenia wartość za małą, to straci na tem także — bo za to, że oszczędzi kilka centów na

składce rocznej, stracić może kilkadziesiąt reńskich na wynagrodzeniu szkody.

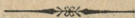
Z prawdą zgodnie też podać powinien właściciel opis przedmiotów, które chce zabezpieczyć. A więc wysokość, długość i szerokość budynku, ściany i dach z jakiego materiału? kominy murowane czy grodzone? czy z fundamentu budowane, czy zawieszane na belkach? Jakie jest przeznaczenie budynku: co się w nim chowa? co się w nim robi? Jakie inne budynki swoje czy cudze stoją w odległości 20 metrów (10 sążni) do okola tego budynku? Jeżeli zboże: ile kóp go jest, ile kopa wydaje ziarna? jak zbudowana stodoła lub szopa, w której to zboże złożone? Jeżeli bydło: ile sztuk, jakiej maści, jakiego wieku? ile warta każda sztuka z osobna? jak zbudowany chlew lub obora?

Tak samo, chcąc zboże na polu od gradobicia ubezpieczyć, należy na wszystkie pytania przez agenta zadane zgodnie z prawdą odpowiedzieć: Jak się łanek każdy nazywa? ile jakiego ziarna na nim wysiano? jak wygląda na polu to zboże dzisiaj? jeżeli ozimina, to jak przetrwała mrozy i odwilże zimowe? jeżeli jarzyna, to czy powschodziła gęsto, czy nie uszkodzona już przez grad wczesny, albo przez sloty, ulewy, burze, albo przez posuchę długą, albo przez robactwo jakie? jakiego plonu spodziewa się właściciel z każdego łanka w ziarnie i w słomie?

Po takim opowiedzeniu agent spisze wszystko i obrachuje dokładnie, wiele za to ubezpieczenie zapłacić należy.

Prawdać to, że 2 albo 3 reńskie, to także pieniądze — ale przecie nie takie okrutne, żeby ich zarobić nie można. A jak je człowiek raz agentowi zapłaci, to

już cały rok śpi spokojnie: czy tam pioruny na dworze biją, czy nie biją i choćby się i powadził z kim i za-
zdrość czy nienawiść ludzką na siebie za co ściągnął...
nie boi się już ani piorunów, ani chmury gradowej, ani
przypadku, ani ludzi złych.



XXVIII. Ubezpieczenie na życie.

Nietylko od pożaru i gradobicia ubezpiecza ludzi
Towarzystwo krakowskie. Można w niem także zabez-
pieczać swe życie.

Czyżby to znaczyło, że kto zapłaci składkę, nie
umrze? Wcale nie. Wszak i dom ubezpieczając od
ognia, nie znaczy to, że dom już spalić się nie może,
tylko znaczy: że jeżeli się spali, to wartość jego po-
szkodowanemu zapłaconą będzie. Tak samo zapłacenie
składki gradowej nie chroni rolnika od gradobicia —
ale jeżeli mu grad, czy to w całości czy w części zbo-
że zniszczy, szkoda poniesiona wynagrodzoną mu bę-
dzie. Tak samo więc i z życiem ludzkim. Praca uczci-
wa każdego człowieka przynosi jemu samemu i jego
rodzinie pożytek. Owocem tej pracy żywi siebie i ro-
dzinę, kształci dzieci, a przy pomocy Bożej, jeśli mu
Bóg dłuższego życia użyczy, potrafi każdy człowiek coś
zaoszczędzić i rodzinie swej pozostawić. Jeżeli jednak
śmierć niespodziewanie przetnie pasmo życia takiego
człowieka, wtenczas rodzina zostaje pozbawioną jego
pracy i pożytku z tej pracy.

Otóż ten pożytek z pracy każdego człowieka można ocenić na pewną sumę, n. p. 200, 500, 1000 złr. i więcej, i sumę taką zabezpieczyć, a w razie jeżeli zabezpieczony ojciec rodziny umrze, to dzieciom jego wypłacone będą te pieniądze, na jakie się nieboszczyk z Towarzystwem umówił.

Różnica pomiędzy zabezpieczeniem od ognia lub gradu a zabezpieczeniem na życie jest tylko w tem: że dom zgorzały, lub zboże gradem wybite można nawet i po szkodzie dokładnie ocenić, ile przed zniszczeniem były warte — zaś wartość życia ludzkiego nigdy otaksować się nie da przez drugich — a więc sam właściciel za życia swego jeszcze podać musi: na ile je taksuje? Taksować mu wolno życie swoje taniej albo drożej, jak mu się żywnie podoba. I niekoniecznie żeby miał całą wartość życia swojego do ubezpieczenia podawać, lecz ma zupełnie wolną wolę w tem zostawioną. Wolno każdemu zabezpieczyć na wypadek śmierci 100 złr., wolno 500, 1000, a wolno i 100.000. Im więcej zechce, by zapłacono po śmierci jego rodzinie — tem większą składkę co roku płacić musi, dopóki żyje.

Druga różnica pomiędzy ubezpieczeniem od ognia albo gradu a ubezpieczeniem na życie ludzkie jest ta, że dom może nawet 200 lat stać i nie spali się, grady nie nawiedzają niektórych okolic czasem, jak daleko pamięć ludzka sięga, — ale człowiek każdy umrzeć musi, a ze śmiercią ginie także wartość tego, co ten człowiek zarabiał.

Ponieważ takie ubezpieczenie opiera się na rachunku, ile lat prawdopodobnie człowiek zdrowy żyć może, przeto musi Towarzystwo żądać od każdej osoby przystępującej do takiego ubezpieczenia świadectwa le-

karskiego, iż jest zdrowa — i musi wykluczać od ubezpieczenia takie osoby, które już przy przystąpieniu zaród chorób śmiertelnych w sobie noszą.

Ubezpieczenie życiowe bardzo podobnem z pozoru się zdaje do kasy oszczędności, gdzie także drobne wkładki urastają procentami przez długie lata do znaczniejszych kwot. Różnica przecież jest ogromna, a nawet różnic takich jest kilka. Najpierw bardzo ważna różnica jest ta: że z kasy oszczędności wolno jest właścicielowi każdej chwili wyjąć wkładki — a w Towarzystwie ubezpieczeń nie wolno — co i lepiej, bo jak nie wolno, to się człowiek obejść musi i nie straci tego, co dawniej odłożył. Różnica druga leży w tem: że do kasy oszczędności wolno włożyć lub nie włożyć — a tutaj jak się raz umowę zawarło, to już co roku *musi się* umówioną kwotę wkładać. Różnica trzecia: że kasa oszczędności odda kiedyś tylko to, co człowiek do niej włożył wraz z procentami, jakie od tych jego wkładek narosły; Towarzystwo ubezpieczeń przeciwnie, choćby nazajutrz po zapłaceniu pierwszej wkładki człowiek umarł, wypłaci zaraz rodzinie jego cały kapitał, nie ten, jaki z procentów narósł, ale ten, na jaki umowa była zawarta. Gdybyśmy mieli pewność, że pożyjemy bardzo długo jeszcze — to byłoby wszystko jedno może, czy Towarzystwu ubezpieczeń czy Kasie oszczędności powierzać corocznie do schowania kwoty, jakie nam się zaoszczędzić udało. Ale niestety nikt z żyjących pewności tej nie ma, jak długo żyć będzie, i czy będzie miał dosyć czasu z odkładanych co roku drobnych kwot uskładać dla rodziny zamierzony kapitał. Tę pewność, że rodzina nasza otrzyma tyle pieniędzy, ile uskładać dla niej pragniemy, dać nam tylko może Towarzystwo

ubezpieczeń, bo w niem rządzi ta zasada chrześcijańska *pomocy wzajemnej*, i to prawo piękne *poręczenia* wszystkich za jednego, a jednego za wszystkich: że jeżeli jeden umrze za wcześniej i nie zdoła uskładać sumy, jaką dla rodziny swej przeznaczył — to uskładają mu ją drudzy stowarzyszeni, tak jak nawzajem on byłby im dopomógł, gdyby jemu był Pan Bóg dłuższego niż im udzielił życia.

Jakież to wielkie dobrodziejstwo jest dla ludzi, szczególnie biednych, z pracy rąk żyjących, a gruntu niewiele posiadających. Żeby jaki ubogi człek, to przecież dopóki silny i zdrów, potrafi zawsze z rodziną zarobić więcej, niż zje. Jeżeli człowiek taki ma to pohamowanie nad sobą, żeby tej przewyżki nie przepił w karczmie, nie roztrwonił na jarmarku, lecz złożył co tydzień choć po kilka centów w agencji, gdzie święty Floryan nad bramą.... O ileż spokojniej umierałby kiedyś ten człowiek, gdyby wiedział, że żona i dzieci jego nie pójda na poniewierkę, że błogosławić będą zawsze jego pamięć, bo skutkiem miłości i przezorności jego otrzymają kapitał, za który grunt kupić sobie mogą, albo warsztat jaki sprawić i na nim uczciwie i spokojnie na życie zarabiać.

Wielu ludzi już zrozumiało w kraju naszym dobrodziejstwo instytucji ubezpieczeń na życie i wiele też osób bogatych i ubogich w krakowskim Towarzystwie z tego dobrodziejstwa korzysta.

Przemysłowiec bogaty tak sobie rozumuje: Mam fabrykę dużą, ale mam dwóch synów. Po mojej śmierci, jakby się dzielić chcieli, musieliby albo fabrykę sprzedać, albo jeden z nich na spłatę drugiego musiałby w wielkie wleźć długi. Wolę ja co roku niewiel-

ką składkę płacić i ubezpieczyć się na kapitał tej wartości co fabryka: to po mojej śmierci weźmie jeden syn fabrykę całą bez długów, a drugi pieniądze, za które będzie mógł drugą taką samą fabrykę kupić.

Urzędnik rozumuje inaczej: Majątku, powiada, nie mam żadnego; mam teraz lat 33, a gdybym dzisiaj umarł, zostawiłbym żonę i dzieci w nędzy. Ale za pracę moją pobieram pensję 1000 reńskich rocznie, z których wraz z rodziną żyję dostatnio. Otóż odtąd tak urządzę moje wydatki codzienne, żebym przez rok nie wydał całego tysiąca, ale tylko 950. Oszczędzone tym sposobem 50 reńskich będę składał co roku do rąk agenta Towarzystwa krakowskiego — a wtedy będę już o los moich dzieci spokojny — bo kiedykolwiek Pan Bóg śmierć na mnie spuści, dzieciom i żonie mojej wypłaci Towarzystwo 2000 reńskich. Przy takiej pomocy będzie już mogła żona moja dzieci wychować i sobie sklep jaki założyć, lub inny sposób do życia obmyśleć.

Rzemieślnik biedny powiada znowu inaczej: Choćbym od ust sobie odjąć miał, odłożę sobie jednego centa dziennie dla każdego dziecka. A za to każde z dzieci moich skoro dojdzie do dwudziestego roku życia, otrzyma od Towarzystwa posag 100 reńskich i już będzie się miało o co zacząć.

Ksiądz mówi sobie: Żony i dzieci nie mam — ale mam rodzinę ogromną, bo parafię całą. Malutką odrobinę dochodów moich poświęcę na to, żeby pamiątkę w parafii po sobie zostawić. Ubezpieczę kapitał wieczysty, od którego procenta przeznaczę na stypendya dla dzieci ubogich, które uczyć się pragną.

Z tego widzicie, że każdego stanu człowiek, bogaty czy ubogi, może z dobrodziejstwa ubezpieczeń korzystać.... A cóż dopiero rolnik, choćby i wielki nawet, który prawie zawsze obdłużoną ziemię dzieciom do podziału zostawia.... A cóż dopiero rolnik mały, włościanin, na niewielkiej roli siedzący, ale mający każdego czasu sposobność zarobić pracą ręczną lub końmi tę odrobinę pieniędzy, jaka na zapłacenie ubezpieczenia co roku jest potrzebna.

Ileż to dzisiaj nędzy po wsiach naszych! A zapobiegłoby się jej było, gdyby ojcowie nasi znali byli tę błogostawioną instytucję ubezpieczeń życiowych!

Przypatrzcie się, przypomnijcie sobie, ile to razy śmierć gospodarza, zamożnego nawet, zrujnowała gospodarstwo, a do nędzy doprowadziła pozostałą rodzinę.

Jeżeli przypadkiem w skrzyni nie znalazła się jaka dawna oszczędność, to najprzód na koszta pogrzebu idzie krowa albo jałówka z obory. Gdzie trwa jeszcze we wsi barbarzyński zwyczaj wyprawiania styp, traktowania i pojenia wódką ludzi na pogrzebie obecnych — tam i drugą sztukę bydłęcia na jarmark wyprowadzić potrzeba. A dopieroż sądowe przepisywanie dziedzictwa, zjazdy, opłaty, stemple spadkowe.... Zkąd tu brać na to wszystko? Jak kupiec jest pod ręką, to parę morgów pola sprzedaje się; — jeżeli nie, to dług zaciąga się. A żeby to jeszcze zaciągało się mądrze i rozważnie, w Kasie oszczędności albo w Towarzystwie zalickowem, na spłaty i na niewielki procent. Ale gdzież tam! Najczęściej podsunie się w samą porę niechrzotny dobroczyńca, który tak zręcznie umie rzecz przedstawić i ubrać, że i ubiera człowieka w dług lichwiarski, z którego już potem wyleźć nie sposób.

Ledwie z sądowemi sprawami skończyło się, następują splaty rodzeństwa, jeżeli gruntu nie było na tyle, żeby równo ziemią podzielić się można. Zkądże znowu bierze się na te splaty? A znowu najczęściej od lichwiarza, bądź od tego co we wsi na karczynie siedzi, bądź od takiego, który w mieście ma siedzibę.

I jeszcze dług zaciągnąć muszą dzieci niektóre na budowę chat dla siebie. I jeszcze dług na dokupienie bydła, gdy ojcowskiego na podział dla wszystkich nie starczy. I tak cała rodzina zmarłego od chwili śmierci jego opłata się w długi, od których procentów nawet nie podola opłacać — i morg po morgu sprzedaje się powoli, aż cały grunt przejdzie w ręce żydowskie, a cała rodzina chrześcijańska na nędzarzy zejdzie.

A o ileż to inaczej wyglądałaby ta rodzina i to gospodarstwo rolne, gdyby tak w parę dni po śmierci ojca i gospodarza mogła pójść do agenta Towarzystwa krakowskiego i zażądać wypłacenia sobie kapitału *kilkuset* reńskich.

Co? Wy uśmiechacie się na to? Wam się to niepodobnem zdaje? A wiecież wy wiele to na rok kosztuje, żeby 400 reńskich wypłacili dzieciom po waszej śmierci!...

Jeżeli człowiek wtedy, jak przystępuje do umowy, ma wieku lat 24, to opłacać musi corocznie po 8 zlr.

jeżeli ma lat 30	„	„	„	„	9	„	
„	„	„	40	„	„	12	„
„	„	„	50	„	„	19	„

i to opłacać musi tak długo, jak długo żyje.

Z tego porównania wymiarkujecie łatwo, że im człowiek starszy przystępuje do Towarzystwa, tem drożej płacić musi. I słusznie, bo taki prawdopodobnie

krócej już będzie żył niż młody, i mniej rat rocznych za czasu życia swojego zapłaci niż tamten.

Ale cóż to znaczy dla gospodarza, który jeszcze i żonę i dzieci podrastające ma: 8 albo 9, a choćby i 12 reńskich przez rok zapłacić? Tożto raptem 2 albo 3 centy na dzień wypada! To wszystkiego ledwie 2 albo 3 dni zarobku co miesiąc na to odłożonego!

Czyż nie warto ci, gospodarzu, co miesiąc jednego reńskiego złożyć w Agencji na to, by kiedyś, gdy ciebie nie stanie, żona i dzieci twoje od razu 400 reńskich dostały i pracy twojej zmarnić nie musieli?

W takiej chwili, kiedy rodzinie ojciec umiera, to już i 100 reńskich gdy pod ręką znajdzie, może być wielkiem dobrodziejstwem i rodzinny majątek od zagiędy uratować może. A na to, żeby 100 reńskich dzieci dostały, dość jest zarobek dzienny jednego z twych dzieci w każdym miesiącu przeznaczyć.

Pomyścież jeno nad tem, ludzie kochani, ile to tych dni, w którychby coś zapracować można, marnuje się na próżniactwie co roku. A ile znowu zarobionych pieniędzy marnujecie i trwonicie do roku: na wódczy-sko przemierzłe, na cygara i papierosy, na zbytki prze-różne, na jarmarkach, na odpustach i na rozpustach wszelkich. A ile pieniędzy topicie w loteryi głupiej, która przecie nie wam tylko kolektorowi zyski daje....

I pomyście, ilebyście temi zmarnowanemi centami lez otrzeć mogli biednym dzieciom waszym, które za tę nieopatrzność waszą, źli ludzie z gruntów wyrzucać kiedyś będą.

TRESĆ.

Historya wsi.

	str.
I. Biedna wieś	3
II. Piętnaście lat później	10
III. Wieś bogata	16
IV. Wytłomaczenie zagadki	21
V. Historya życia Janka	25
VI. Rozmowa ojca z synem	29
VII. Co tam słyhać we dworze?	34
VIII. Dalsza historya Janka	40
IX. Janek zostaje gospodarzem	43
X. Janek kapitalistą	48
XI. Janek arendarzem	53
XII. Gospoda chrześcijańska	57

Opowiadania Jankowe.

XIII. Jak człowiek dorabiał się bogactwa?	61
XIV. Ustalenie własności	67
XV. Początek władzy, rządu i prawa	71
XVI. Gawęda o podatkach i drogach	79
XVII. Trzy rodzaje przemysłu	88
XXVIII. Co to jest praca?	95
XIX. Maszyny	103
XX. Podział pracy	110
XXI. Przysługa za przysługę	118
XXII. Wartość a cena	124
XXIII. Co to jest kredyt?	130
XXIV. Co to jest weksel?	137
XXV. Potęga spółek	145
XXVI. Wzajemna pomoc	152
XXVII. Ubezpieczenie od pożaru i gradu	161
XXVIII. Ubezpieczenie na życie	170

ТРЕЩ

История на

1	История на
10	История на
10	История на
21	История на
20	История на
29	История на
34	История на
40	История на
43	История на
45	История на
53	История на
57	История на

Описание на

57	История на
67	История на
71	История на
78	История на
84	История на
90	История на
103	История на
110	История на
115	История на
124	История на
130	История на
137	История на
140	История на
152	История на
161	История на
170	История на





BIBLIOTEKA KÓRNICKA

16822